

# KULTURA

*Szkice • Opowiadania • Sprawozdania*

**PARYŻ**

**Nr 9/324**

**1974**

---



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

J. MIEROSZEWSKI :

**ROSYJSKI "KOMPLEKS POLSKI" I OBSZAR ULB**

Cz. MIŁOSZ :

**OGRÓD NAUK**

Zb. BYRSKI :

**O "DETENTE"**

B. BRODZIŃSKI :

**"SPRAWA POLSKA LTD."**



## SPIS RZECZY

|                            |                                                      |    |
|----------------------------|------------------------------------------------------|----|
| Juliusz Mieroszewski:      | <i>Rosyjski „kompleks polski” i obszar ULB</i> ..... | 3  |
| Czesław Miłosz:            | <i>Ogród nauk</i> .....                              | 15 |
| Gustaw Herling-Grudziński: | <i>Dziennik pisany nocą</i> .....                    | 35 |

### ARCHIWUM POLITYCZNE

|                   |                                     |    |
|-------------------|-------------------------------------|----|
| Zbigniew Byrski:  | <i>O „détente”</i> .....            | 45 |
| Dominik Morawski: | <i>Korespondencja z Rzymu</i> ..... | 71 |
| Brukselczyk:      | <i>Widziane z Brukseli</i> .....    | 77 |

### SĄSIEDZI

|                   |                                        |    |
|-------------------|----------------------------------------|----|
| Adam Kruczek:     | <i>W sowieckiej prasie</i> .....       | 88 |
| —                 | <i>Nowe pismo</i> .....                | 95 |
| Karol Szwedowicz: | <i>Kronika czeska i słowacka</i> ..... | 97 |

### KRAJ

|                  |                                                    |     |
|------------------|----------------------------------------------------|-----|
| Antoni Gutowski: | <i>Zbliżenie polsko-francuskie</i> .....           | 98  |
| —                | <i>Przeszkalanie polityczne księży w PRL</i> ..... | 106 |
| —                | <i>Czarna lista</i> .....                          | 108 |

### SPRAWY I TROSKI

|                    |                                         |     |
|--------------------|-----------------------------------------|-----|
| Bohdan Brodziński: | <i>„Sprawa Polska Ltd.”</i> .....       | 109 |
| Andrzej Cheiuk:    | <i>Roman Gronowski</i> .....            | 119 |
| —                  | <i>Lekarz-emigrant we Francji</i> ..... | 121 |
| —                  | <i>Próby rozkładania Polonii</i> .....  | 121 |

### KRONIKA KULTURALNA

|               |                                |     |
|---------------|--------------------------------|-----|
| Z. Rudziński: | <i>Trafność widzenia</i> ..... | 123 |
|---------------|--------------------------------|-----|

### KSIĄŻKI

|                             |                                           |     |
|-----------------------------|-------------------------------------------|-----|
| K. A. Jeleński:             | <i>Czapski nareszcie scalony</i> .....    | 127 |
| M. Broński:                 | <i>Aksamitny baryton</i> .....            | 130 |
| Maria Danilewicz Zielińska: | <i>Krajowe nowości wydawnicze</i> .....   | 132 |
| —                           | <i>Nadestane nowości wydawnicze</i> ..... | 137 |



|              |                            |     |
|--------------|----------------------------|-----|
| Zofia Hertz: | <i>Humor krajowy</i> ..... | 139 |
|--------------|----------------------------|-----|



|   |                                  |     |
|---|----------------------------------|-----|
| — | <i>Wydarzenia miesiąca</i> ..... | 140 |
|---|----------------------------------|-----|



|                                                                             |                                |     |
|-----------------------------------------------------------------------------|--------------------------------|-----|
| Z. Jasiński, A. Kamieniecki,<br>P. Korzec, A. Podgórecki,<br>Tadeusz Wyrwa: | <i>Listy do Redakcji</i> ..... | 153 |
|-----------------------------------------------------------------------------|--------------------------------|-----|

# KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ      Wrzesień-Septembre      1974

INSTYTUT



LITERACKI



## WPLĄTY NA FUNDUSZ "KULTURY"

|                                                                                                   |            |
|---------------------------------------------------------------------------------------------------|------------|
| Bogusław Borowicz, Santiago de Chile, zamiast kwiatów na grób Mariana Rawicza .....               | F. 270,00  |
| Prof. Andrzej Brzeski, Davis, Cal. (USA), po raz dwudziesty piąty .....                           | F. 100,00  |
| Prof. Zbigniew Brzeziński, Englewood, N.J. (USA), po raz dziewiąty .....                          | F. 143,00  |
| Tomira Buxell, Wellesley, Mass. (USA), po raz piąty .....                                         | F. 32,00   |
| K. A. Jeleński, Paryż, zamiast kwiatów na grób Aubersona Herberta .....                           | F. 100,00  |
| Alina i Stefan Jodłowscy, Latrobe, Pa. (USA), zamiast kwiatów na trumnę dr Ireny Cywińskiej ..... | F. 95,00   |
| Jurij Łuckij, Toronto, Ont. (Kanada), zamiast kwiatów na grób Danuty Ireny Bieńkowskiej .....     | F. 238,00  |
| Zdzisław Marek, Sydney (Australia), po raz piąty .....                                            | F. 150,00  |
| Inż. Zdzisław Pręgowski, Winterthur (Szwajcaria) .....                                            | F. 1590,00 |
| K. Rożankowski, Monachium (Niemcy Zachodnie, po raz trzeci .....                                  | F. 100,00  |
| Nina Sereba, Montreal, Que. (Kanada), po raz trzydziesty dziewiąty .....                          | F. 50,00   |
| Józef Sienkiewicz, Port Hope, Ont. (Kanada) .....                                                 | F. 24,00   |
| Janusz Zembrzusi, Paryż, po raz dwudziesty drugi .....                                            | F. 100,00  |
| K. M., Warszawa .....                                                                             | F. 110,00  |
| Bezimiennie, Toronto, Ont. (Kanada), po raz drugi .....                                           | F. 350,00  |
| Bezimiennie, Boston, Mass. (USA) .....                                                            | F. 48,00   |
| Bezimiennie, Ottawa, Ont. (Kanada) .....                                                          | F. 120,00  |

DZIĘKUJEMY!

## Rosyjski "kompleks polski" i obszar ULB

Boimy się Rosjan. Boimy się Rosjan nie na polu bitwy, bo stosunkowo niedawno odnieśliśmy nad nimi poważne zwycięstwo. Jeszcze żyją wśród nas ludzie, którzy brali udział w bitwie pod Warszawą w 1920 roku.

Boimy się rosyjskiego imperializmu — rosyjskich planów politycznych. Dlaczego Rosjanie wolą mieć państwa satelickie — jak Polska, Czechosłowacja czy Węgry — zamiast życzliwych, względnie neutralnych sąsiadów? W ramach bieżącej sytuacji nie ma logicznej odpowiedzi na powyższe pytanie. Gdyby Niemcy zachodnie miały dziś potężną armię, broń atomową i hołdowały totalnej idei odwetu — wówczas rola państw satelickich jako wału ochronnego Rosji byłaby zrozumiała. Lecz — jak wiemy — współczesne Niemcy nie mają nic wspólnego z militarystką. W mojej książce niemieckiej, która ukazała się 10 lat temu — zaryzykowałem pogląd, że czołgi niemieckie nigdy więcej nie pojawią się na przedmieściach Moskwy. W historii powtarzają się pewne układy i schematy sytuacyjne. Lecz w większości wypadków historia jest katalogiem samych premier. Historia jest fascynująca ponieważ „to samo” nigdy nie jest „to samo” i identyczne niemal sytuacje w nowych wydaniach produkują odmienne rezultaty.

Niemniej uwarunkowanie historyczne powoduje, że zbyt wielką wagę przywiązujemy do tzw. imponderabiliów a zbyt małą wagę do przemian. Zwłaszcza ludzie starsi — jak piszący te słowa — skłonni są powtarzać, że w gruncie rzeczy nic się nie zmieniło. Rosja jest imperialistyczna, bo zawsze była imperialistyczna. Instynkt imponderabiliów podszeptuje nam, że i Niemcy w rzeczywistości nie zmienili się i gdy nadejdzie sprzyjająca



koniunktura uzbroją się po zęby i sięgną po nasze ziemie zachodnie.

Polityka w 70 a może nawet w 80 procentach jest dyskusją na temat historii. Nikt z nas dokładnie nie wie o czym mówią w czasie tajnych narad członkowie biura politycznego na Kremlu. Nikt z nas nie wie co na dnie duszy myśli i planuje Breżniew. Z historii jednak wiemy co myśleli i planowali jego poprzednicy na przestrzeni ostatnich dwustu lat. Wnioskujemy więc, że Breżniew myśli podobnie jak jego poprzednicy, ponieważ „w gruncie rzeczy nic się nie zmienia”.

Oczywiście historyczne uwarunkowanie w danej sytuacji może stać w jawnej sprzeczności z rzeczywistością — lecz na ogół historia posiada większą siłę sugestii niż współczesność. Historia góruje nad współczesnością tak jak ojciec góruje nad swym nieletnim synem.

Patrzmy na Rosję obciążeni balastem historycznym. Lecz czy Rosjanie patrząc na Polskę są również obciążeni balastem historycznym?

Edgar Snow w swojej książce pt. „Journey to the Beginning” przytacza dłuższą rozmowę w cztery oczy z Maksimem Litwinowem w Moskwie. Rozmowa odbyła się bez świadków w dniu 6 października 1944 roku.

Może warto przypomnieć, że Litwinow był ożeniony z Angielką, znał dobrze Zachód i mówił płynnie po angielsku. W owym czasie jego kariera dobiegała kresu, z czego w pełni zdawał sobie sprawę.

Gdy Snow zapytał go o Polskę — Litwinow odpowiedział, że Rosjanie w żadnym wypadku nie mogą zgodzić się na powrót grupy „beckowskiej” (tak Litwinow określał polski rząd w Londynie).

Jest rzeczą interesującą, że Litwinow nie wysuwał żadnych zastrzeżeń natury ideologicznej. Nie mówił o polskich reakcjonistach, kapitalistach czy obszarnikach. Powiedział natomiast, że rząd polski w Londynie — a w szczególności Sosnkowski — reprezentuje koncepcję polskiego historycznego imperializmu i dążą do odbudowy polskiego imperium z XVI i XVII wieku. W opinii Litwinowa Beck był gotowy sprzymierzyć się z Niemcami, by osiągnąć ów cel a Polacy londyńscy w tym samym celu gotowi są sprzymierzyć się z Amerykanami.

Byliśmy u kresu sił biologicznych, wyniszczeni hitlerowską okupacją i walką podziemną — marzyliśmy o kawałku polskiego dachu nad głową nie o imperium. Lecz dla Litwinowa byliśmy potencjalnym rywalem.

Osobiście byłem zdumiony czytając relację Edgara Snow — bo wydawało mi się tragicomiczne, że doświadczony polityk mógł

nas w 1944 roku posądzać o imperializm. To tak jakby ktoś przymierzającego z głodu żebraka przestrzegał z całą powagą przed niebezpieczeństwami płynącymi z nadużywania jedła i napoju.

A jednak... przeczytawszy powtórnie wypowiedzi Litwinowa doszedłem do wniosku, że nie ma w nich nic komicznego. Litwinow patrzył na Polskę tak, jak Polacy patrzą na Rosję — z pozycji historycznego uwarunkowania.

Dla Rosjan polski imperializm jest nurtem historycznym wiecznie żywym. Nie trzeba sięgać zbyt odległych czasów by znaleźć świadków polskiej obecności w Kijowie.

Gdy Mikołajczyk powiedział Stalinowi, że Lwów nigdy nie wchodził w skład imperium Rosyjskiego, Stalin odpowiedział: „Lwów nie należał do Rosji — lecz Warszawa należała”. Po chwili dodał: „Pamiętamy, że Polacy byli kiedyś w Moskwie”.

Wielu z nas uważa, że Polacy wyleczyli się z imperializmu. Rosjanie jednak są odmiennego zdania. Uwarunkowanie historyczne sugeruje im obawę, że Polacy gdyby odzyskali niepodległość — wkroczyliby na imperialny szlak, z którym zawsze się identyfikowali.

Czy ów imperialny nurt istotnie w nas zamarł — czy historyczny rosyjski „kompleks polski” jest bez podstaw?

Nie sądzę. Wielu współcześnie żyjących Polaków marzy nie tylko o polskim Lwowie i Wilnie ale nawet o polskim Mińsku i Kijowie. Wielu uważa za ideał niepodległą Polskę sfederalizowaną z Litwą, Ukrainą i Białorusią. Innymi słowy alternatywą rosyjskiego imperializmu może być tylko polski imperializm, i zawsze tak było.

Przy tej sposobności warto może przeanalizować pewien typowy emigracyjny fenomen. Po ukazaniu się na łamach *Kultury* mojego artykułu pt. „Polska *Ostpolitik*” — otrzymałem wiele listów od Polaków z wielu krajów, którzy wyrażali pełne poparcie dla programu wyłożonego w cytowanym artykule. Nie brakło również listów od ludzi pióra. Kilku z nich zauważyło, że już dawno pogodzili się z myślą utraty Lwowa i Wilna choć na ten temat nie piszą by nie drażnić opinii publicznej.

Doprowadziliśmy do paradoksalnej sytuacji. Poglądy emigracji ewoluują i ulegają przemianom — natomiast poglądy *establishment*’u i prasy przez nią kierowanej nie uległy zmianie od 30 lat. Mało tego — mam dowody, że nawet pewni ludzie, którzy należą do emigracyjnego *establishment*’u podzielają nasze poglądy w sprawie Lwowa i Wilna, lecz nigdy nie oświadczyliby tego publicznie by nie narazić się opinii. Czyjej opinii?

Są dwie grupy ludzi, którzy odrzucają wszelką argumentację i dyskusję w tej sprawie. Do pierwszej grupy należą przede wszystkim ludzie, którzy pochodzą z Małopolski Wschodniej lub



z Wileńszczyzny. Polakom tym przywiązanie do ziemi — choć nie ojczystej lecz rodzinnej — uniemożliwia zaakceptowanie argumentów rozumowych.

Do drugiej grupy należą ludzie którzy, dla utrzymania tytułu legalizmu, redukują ideę niepodległościową do absurdalnej koncepcji restauracji Drugiej Rzeczypospolitej. Nie ma innej Polski tylko Polska oparta o Konstytucję przedwrześniową z prezydentem, sejmem i senatem. Tylko odrodzona i niepodległa Druga Rzeczypospolita mogłaby poprzez uchwały sejmu, zatwierdzone przez prezydenta, zrzec się Wilna czy Lwowa.

Wadą tej koncepcji jest fakt, że o ile można przyjąć za pewnik, że jeżeli nie my to następne pokolenia doczekają się niepodległości Polski — to również należy przyjąć za pewnik, że konstytucja przedwrześniowa nie będzie obowiązywała na terytorium Polski ani jednego dnia. Wyzwolony naród wyłoni sejm, który uchwali nową konstytucję, odpowiadającą nowym warunkom politycznym, społecznym i gospodarczym. Znakomita większość społeczeństwa tak w Kraju jak i na emigracji nie żywi na ten temat żadnych wątpliwości.

W rezultacie, choć nikt nie wierzy w przyłączenie Lwowa i Wilna do Polski — podtrzymuje się oficjalnie ów mit ze względów legalistycznych. Poza tym panuje powszechnie przekonanie, że ponieważ rząd emigracyjny oparty na legalizmie nie może prowadzić żadnej realnej polityki, jest równie obojętne czy przynajmniej się do Lwowa i Wilna czy do Mińska i Kijowa.

Otóż w rzeczywistości to nie jest obojętne. Na emigracji nie możemy przeprowadzać żadnych zmian terytorialnych lecz możemy i powinniśmy ustalić pewne zasady. Na Zachodzie powstaje nowa emigracja rosyjska. Z tymi ludźmi winniśmy nawiązać dialog i szukać porozumienia. Pierwsze pytanie w owym dialogu dotyczyć musi sprawy narodowościowej.

Nowi emigranci rosyjscy są antysowieccy. Wiemy jednak, że imperialistami rosyjskimi bywali ludzie jak najdalsi od komunizmu czy nawet socjalizmu. Dlatego sprawdzianem postawy politycznej każdego nowego rosyjskiego emigranta musi być jego stosunek do kwestii narodowościowej.

Oczywiście ten sam sprawdzian musimy stosować do nas samych. Nie możemy stać na stanowisku, że każdy program wielko-rosyjski jest imperializmem — natomiast polski program wschodni nie jest żadnym imperializmem tylko wzniosłą ideą jagiellońską.

Innymi słowy możemy domagać się od Rosjan wyrzeczenia się imperializmu pod warunkiem, że my sami raz i na zawsze wyrzeczemy się naszego tradycyjno-historycznego imperializmu we wszystkich jego formach i przejawach.

Idea jagiellońska tylko dla nas nie ma nic wspólnego z imperializmem. Jednak dla Litwinów, Ukraińców i Białorusinów stanowi najczystsza formę polskiego tradycyjnego imperializmu. Rzeczpospolita obojga narodów zakończyła się całkowitym spolonizowaniem szlachty litewskiej i najgorętsze wyznanie miłości do Litwy („Litwo Ojczyzno moja Ty jesteś jak Zdrowie”) zostało napisane w języku polskim. Polak nie może sobie nawet wyobrazić podobnej sytuacji. Czy można sobie wyobrazić Słowackiego piszącego wyłącznie po rosyjsku? Rosjanie usiłowali nas rusyfikować lecz nie zdołali odebrać nam ani jednego poety czy pisarza. Przeciwnie, nacisk rusyfikacyjny spowodował w XIX-tym wieku niebawmy rozkwit literatury i języka polskiego.

Przyjemnie jest sobie powiedzieć, że kultura polska jest atrakcyjna — dla wielu znacznie bardziej atrakcyjna niż kultura rosyjska. Lecz ten sam fakt oceniany z perspektywy litewskiej czy ukraińskiej oznacza, że Polacy są groźniejszymi asymilatorami niż Rosjanie. Trzeba tylko odpowiedniej koniunktury, by Polacy mogli w pełni rozwinąć swoje asymilatorskie skrzydła.

Rosjanie w swojej perfidnej polityce narodowościowej wygrywają atut atrakcyjności kultury polskiej. W Wilnie wychodzi codzienne pismo w języku polskim, przyjeżdżają teatry z PRL — itd., itp. Celem tej operacji nie są Polacy zamieszkali na Litwie i spragnieni słowa ojczystego. Celem tej operacji są Litwini i wyłącznie Litwini. Z punktu widzenia rosyjskiego wpływy kultury polskiej — nawet w wydaniu PRL — hamują proces wytwarzania się czysto litewskiego nacjonalizmu i rdzennie litewskiej kultury. Oczywiście wszystko co hamuje proces krystalizacji litewskiej odrębności narodowej — jest mile widziane przez Moskwę.

W Europie Wschodniej — jeżeli na tych ziemiach ma kiedyś ustalić się nie tylko pokój lecz wolność — nie ma miejsca na żaden imperializm — ani rosyjski ani polski. Nie możemy gardłować, że Rosjanie winni oddać Ukraińcom Kijów i równocześnie głosić, że Lwów musi wrócić do Polski. To jest owa „podwójna buchalteria”, która w przeszłości uniemożliwiała nam przełamanie bariery historycznej nieufności pomiędzy Polską a Rosją. Rosjanie podejrzewali, że jesteśmy anty-imperialistami lecz tylko w stosunku do Rosjan — tzn. że imperializm rosyjski pragniemy zastąpić imperializmem polskim.

Jeżeli dla uproszczenia obszar obejmujący Ukrainę, Litwę i Białoruś określimy literami ULB — to należy stwierdzić, że w przeszłości — a poniekąd i dziś — obszar ULB był czymś więcej niż „kością niezgody”, pomiędzy Polską a Rosją. Obszar ULB determinował formę stosunków polsko-rosyjskich skazując nas albo na imperializm albo na satelictwo.



Jest szaleństwem przypuszczać, że poprzez uznanie problemów ULB za wewnętrzno-państwową sprawę rosyjską — Polska może wyprostować swoje stosunki z Rosją. Rywalizacja pomiędzy Polską a Rosją na tych obszarach miała zawsze na celu ustalenie przewagi a nie dobrosąsiedzkich stosunków polsko-rosyjskich.

Z punktu widzenia rosyjskiego, wcielenie obszarów ULB do imperium rosyjskiego jest niezbędnym warunkiem umożliwiającym zredukowanie Polski do statusu satelickiego. W perspektywie Moskwy Polska musi być satelicka w takiej czy innej formie. Historia uczy Rosjan, że Polska prawdziwie niepodległa sięgała zawsze po Wilno i Kijów i usiłowała ustalić swoją przewagę na obszarach ULB. Gdyby powyższe dążenia historyczne Polaków zostały uwieńczone powodzeniem — byłoby to równoznaczne z likwidacją pozycji imperialnej Rosji w Europie. Innymi słowy, Polska nie może być prawdziwie niepodległa jeżeli Rosja ma zachować status imperialny w Europie.

Z polskiego punktu widzenia sprawa kształtuje się analogicznie. Szukaliśmy przewagi na obszarach ULB — czy to na drodze wojskowej czy wysuwając plany federacyjne — ponieważ historia uczy nas, że Rosja dominująca na tych obszarach jest rywalem nie do pokonania. Z rąk zwycięskiego rywala nie można oczekiwać niczego innego prócz niewoli.

Chciałbym podkreślić dwa punkty. Po pierwsze — nie jest rzeczą możliwą dyskutowanie stosunków polsko-rosyjskich w oderwaniu od obszarów ULB — ponieważ stosunki polsko-rosyjskie były zawsze funkcją sytuacji jaka w danym okresie historycznym panowała na tych obszarach.

Gdyby nie było Hitlera, gdyby nie było drugiej wojny światowej, gdyby Niemcy byli pokojowo nastawionymi dobrymi Europejczykami — niepodległość Polski byłaby mimo to zagrożona ze strony Rosji, ponieważ w 20-tym roku odnieśliśmy zwycięstwo pod Warszawą lecz *nie pod Kijowem*. Po śmierci Stalina skończyłyby się czystki i likwidowanie najlepszych oficerów sowieckiej armii, Rosja podjęłaby wyścig zbrojeniowy, który w konsekwencji Polska musiałaby przegrać. Wcześniej lub później militarna przewaga Rosji nad Polską byłaby tak znaczna, że Moskwa — z pomocą lub bez pomocy Niemiec — narzuciłaby nam swój protektorat. To po prostu leżało w kartach i nie brakowało w Polsce pisarzy politycznych, którzy z tego zdawali sobie sprawę. Adolf Bocheński świetny publicysta, który poległ pod Anconą — zgodnie ze swą tezą, że „z tej wojny nie należy wracać” — w książce wydanej przez Jerzego Giedroycia w początkach ery „Nowych Niemiec” — kiedy jeszcze nikt w Europie nie zdawał sobie sprawy kim jest Hitler i jakie są jego plany — doradzał porozumienie z Niemcami. Celem owego porozumie-

nia byłoby oderwanie od Rosji Ukrainy. Zawsze chodzi o Ukrainę, Litwę i Białoruś, ponieważ sytuacja na tych obszarach determinuje stosunki polsko-rosyjskie.

I punkt drugi. Wydaje mi się, że o ile Rosjanie Ukraińców nigdy nie doceniali i nie doceniają ich nadal — o tyle zawsze przeceniali i nadal przeceniają Polaków. Widzą nas zawsze jako rywali aktywnych lub tylko potencjalnych — niemniej zawsze jako rywali. Chruszczow zezwolił wprowadzić na wywiezienie Panoramy Racławickiej ze Lwowa, lecz równocześnie odradzał kategorycznie udostępnienie Panoramy polskiej publiczności. Uważał bowiem, że Panorama Racławicka przypominać będzie Polakom zbrojne powstanie przeciwko Rosji. Słynny epizod z wystawieniem mickiewiczowskich „Dziadów” był na tym samym tle.

Osobiście „wydarzenia grudniowe” na wielką skalę wydają mi się daleko bardziej prawdopodobne w Polsce niż wybuch zbrojnego powstania przeciwko Rosji. Na emigracji nie ma ani jednego polityka, który by nawoływał Polaków w Kraju do powstania. Natomiast Rosjanie boją się nie tyle społecznej rewolucji w Polsce ile narodowego powstania. Wierzą również, że rewolucja robotnicza zmierzająca do obalenia partyjnego przywódcy i jego reżymu — zatraciłaby w przeciągu kilku dni cechy gospodarczo-społeczne i przekształciłaby się w ogólnonarodową rewoltę przeciw Rosji.

Musimy również pamiętać, że Polacy a nie Rosjanie przeżyli szok Powstania Warszawskiego, szok porzucenia Polski przez sojuszników zachodnich, szok okupacji kraju przez wojska sowieckie. Wojnę przegraliśmy totalnie, ponieważ nie ostał się nawet skrawek niepodległej Rzeczypospolitej. Runęła w gruzy nasza tradycyjna koncepcja Polski jako bastionu cywilizacji zachodniej. Zostaliśmy zdradzeni przez naszą własną historię, której budowaliśmy ołtarze w literaturze, w malarstwie, w muzyce. Dokonaliśmy najstraszniejszego odkrycia jakie naród może dokonać a mianowicie, że Historia jest brulionem zapisków z „martwego domu” a nie żywą przeszłością potwierdzającą się w teraźniejszości. W takich warunkach Polakowi trudno było nie stać się historycznym rewizjonistą. Nie dziwota, że nawet pisarze katolicy i nie komuniści, odzegnujący się nawet od socjalizmu — na gruzach „egzotycznych sojuszków” — głosili pogląd, że sojusz ze Związkiem Sowieckim stanowić musi kamień węgielny polskiej polityki. Była to świadoma rezygnacja z postawy rywala i przyjęcie postawy wasala.

Natomiast musimy pamiętać, że owe traumatyczne doświadczenia były czysto jednostronne i dotyczyły tylko Polaków a nie Rosjan.

Nie ma przedmiotu, który określa się optymistycznie mianem



„historii powszechnej”. Nie tylko nie ma historii powszechnej — ale nie ma nawet historii europejskiej. Istnieją tylko historie polska, rosyjska, francuska, niemiecka itd. Bitwa pod Wiedniem z królem Sobieskim na pierwszym planie widziana przez historię polską mało przypomina bitwę pod Wiedniem w przekazie historii niemieckiej.

Historia jest w biegu zatrzymana polityką. Dlatego pisarz polityczny musi umieć patrzeć na historię z lotu ptaka. W interesującym nas przedmiocie polityk musi umieć spojrzeć na ciąg wydarzeń zarówno oczami Polaka jak i oczami Rosjanina. Polityka jest bowiem dalszym ciągiem historii i nie można zrozumieć polityki rosyjskiej nie rozumiejąc jak Rosjanie odczytują historię. Naród polski odgrywał zawsze poważną rolę w historii rosyjskiej i jest rzeczą niezbędną byśmy dokładnie poznali perspektywy poprzez które Rosjanie na nas patrzą.

Sytuacja w końcowym okresie drugiej wojny światowej przypominała sytuację po bitwie pod Jeną. Napoleon panował nad całą Europą i nie pobite pozostały tylko dwa państwa, tj. Rosja i Anglia. Napoleon był w Moskwie — Hitler był na przedmieściach Moskwy. W obu wypadkach głównymi sprzymierzeńcami Rosjan były klimat i przestrzeń. Na ludzi z Zachodniej i Środkowej Europy przestrzeń rosyjskie wywierają wpływ trudny do opisanie. We Francji czy w Niemczech sto kilometrów to jest ogromna odległość — w Rosji sto kilometrów to jest nic. W pamiętniku jednego z niemieckich oficerów natknąłem się na określenie, że Rosja jest krajem bez horyzontu. Za widnokresem, jak się do niego dotrze, są nowe pola, wzgórza i rzeki — a za nowym widnokresem są znowu pola, wzgórza i rzeki i tak bez końca, tydzień po tygodniu, miesiąc po miesiącu. Cytowany oficer niemiecki pisze, że nawet w lecie, po wielu tygodniach marszu, owa niekończąca się nigdy przestrzeń rosyjska w najtwardszym człowieku wywołuje w końcu poczucie bezsilności.

Rosjanie ponieśli ogromne straty. Lecz historia ich nie zdradziła — to znaczy współczesność potwierdziła przeszłość. Armie Hitlera podobnie jak armie Napoleona zmożone klimatem i przestrzenią rosyjską zostały pobite i odepchnięte daleko poza granice imperium rosyjskiego.

W Polsce przewrót technologiczny — lotnictwo i czołgi — wytrącił nam z ręki tradycyjną naszą broń tj. kawalerię. Mieliśmy niewątpliwie najlepszą kawalerię w Europie ale w naszym wypadku współczesność nie potwierdziła historii. Przeciwnie, tradycja okazała się bezżebną staruszką wobec zmotoryzowanych kolumn pancernych, które powały nas w przeciągu 17 dni.

Wszystko co powyżej napisałem ma na celu zilustrować fakt, że historia nie zdradziła Rosji lecz przeciwnie potwierdziła tra-

decyjne rosyjskie założenia. W rezultacie Rosjanie — w przeciwieństwie do Polaków — uważają, że od czasów bitwy pod Jeną nic się nie zmieniło. Rosja ma inny ustrój, lecz jak dawniej jest imperialna i niepokonalna. Z naszego polskiego świata wypadło dno — jakby to obrazowo powiedziało się po angielsku. Lecz z rosyjskiego świata rewolucja nie wybiła dna, ponieważ Rosja jest i pozostała historycznie identyczna, tzn. imperialistyczna i zaborcza.

Weźmy jeszcze inny przykład. Rewolucja i klęska jakie nastąpiły w imperium otomańskim w rezultacie pierwszej wojny światowej — pozbawiły Turcję jej historycznej identyczności. Turcja przestała być mocarstwem imperialnym. W konsekwencji, współcześni Turcy myślą zupełnie inaczej niż myśleli ich dziadowie i pradziadowie jeszcze kilkadziesiąt lat temu. Natomiast rewolucja październikowa nie odebrała Rosji jej imperium i nie zmieniła na jotę rosyjskiej historycznej dyspozycji. Stalin po drugiej wojnie światowej zachowywał się i działał jak car i samodziśca Wszechrosji — symbol i reprezentant imperialnej idei rosyjskiej.

Wszyscy o tym wiemy natomiast niewielu z nas zdaje sobie sprawę, że ów rosyjski historyczny konserwatyzm obejmuje również ocenę Polski i Polaków. Litwinow mówił o odbudowie polskiego imperium z XVI i XVII wieku co nam wydaje się komiczne, lecz dla Litwinowa — w przeciwieństwie do nas — wiek dwudziesty był dalszym ciągiem XVI i XVII wieku z tą samą tradycyjną problematyką, nie wyłączając problematyki polskiej. Podobnie jak carowie, Stalin, Litwinow i Breżniew uważali i uważają, że na obszarach Ukrainy, Litwy i Białorusi mogą panować albo Polacy albo Rosjanie. Nie ma historycznego trzeciego rozwiązania — istnieje tylko wybór pomiędzy imperializmem polskim a rosyjskim.

Rosjanie nas przeceniają, ponieważ patrzą na nas z rosyjskiej historycznej perspektywy. Polacy natomiast — choć są dumni a częściej jeszcze sentymentalni na temat swej przeszłości historycznej — uważają równocześnie, że owa imperialna chwała nie ma nic wspólnego z dzisiejszą rzeczywistością.

Zachowujemy się tak jak szlachcic, który stracił swój majątek. Niedołężna gospodarka, przeciwności losu, a przede wszystkim zły sąsiad, sprawiły, że utraciliśmy „majątek”, który się nam należał zgodnie z prawem boskim i ludzkim. Pocieszamy się jednak, że „sprawiedliwość dziejowa” ukarała Ukraińców, Litwinów i Białorusinów, bo dobrych panów polskich zamienili na złych panów sowieckich.

Przez trzysta lat mieliśmy przewagę na Wschodzie. Jeżeli pokój Grzyńtowski (1 maja 1686 r.) uznać za punkt zwrot-



ny w dziejach stosunków polsko-rosyjskich — należy stwierdzić, że obecnie Rosja od 300 lat ma przewagę na Wschodzie. Owa „alternatywność” — albo my albo oni — uniemożliwia znormalizowanie stosunków pomiędzy Polską a Rosją. Owa „alternatywność” powoduje, że Polacy podobnie jak Rosjanie — nie wierzą w trzecie rozwiązanie, i ponieważ *tertium non datur* — akceptujemy satelictwo jako ponury lecz aktualny stan rzeczy. W systemie „albo my albo oni” tym razem na wierzchu są oni.

Jest jednak różnica pomiędzy Polakami a Rosjanami. Przewagę Rosjan potwierdziła Historia. Natomiast nasze walki, powstania, nawet zwycięstwa — Historia obróciła w niwecz. Trzymamy się systemu „albo my albo oni”, bo nie znamy i nie mamy innego systemu. Lecz większość Polaków nie wierzy już w ten system, nie wierzy byśmy kiedykolwiek mogli zdobyć przewagę nad Rosją. Dziekiem owej niewiary jest mentalność satelicka i serwilizm.

Ja również nie wierzę w system „my albo oni” — nie wierzę byśmy byli kiedykolwiek w możności odepchnąć Rosję z rogatek Przemysła pod Smoleńsk. Uważam również, że system powyższy — choć głęboko historycznie zakorzeniony — jest dziś anachronizmem, barbarzyńskim anachronizmem. Ukraińcy, Litwini i Białorusini w dwudziestym wieku nie mogą być pionkami w historycznej grze polsko-rosyjskiej.

Pragnęłam wykazać, że system „my albo oni” — choć czerpie swą moc z wielowiekowej tradycji — jest w gruncie rzeczy zatrutym źródłem. Musimy szukać kontaktów i porozumienia z Rosjanami gotowymi przyznać pełne prawo do samostanowienia Ukrańcom, Litwinom i Białorusinom i, co również ważne, musimy sami zrezygnować raz i na zawsze z Wilna, Lwowa i z jakiegokolwiek polityki czy planów, które by zmierzały do ustanowienia w sprzyjającej koniunkturze naszej przewagi na Wschodzie kosztem cytowanych powyżej narodów. Tak Polacy jak i Rosjanie muszą zrozumieć, że tylko nie-imperialistyczna Rosja i nie-imperialistyczna Polska miałyby szansę ułożenia i uporządkowania swych wzajemnych stosunków. Musimy zrozumieć, że każdy imperializm jest zły, zarówno polski jak rosyjski — zarówno zrealizowany jak i potencjalny, czekający na koniunkturę.

Ukrańcom, Litwinom i Białorusinom musi być przyznane w przyszłości pełne prawo do samostanowienia, bo tego wymaga polsko-rosyjska racja stanu. Tylko na tej drodze byłoby możliwe pogrzebanie katastrofalnego systemu „my albo oni” — systemu, który dziś oferuje Rosji sojusz z satelicką Polską lecz równocześnie sprawia, że gdyby jutro wybuchła wojna rosyjsko-chińska — znakomita większość Polaków życzyłaby zwycięstwa Chińczykom.

Z powyżej przeanalizowanych przyczyn tzw. kwestia narodowościowa jest podstawowym problemem nie tylko rosyjskim lecz rosyjsko-polskim. Tylko radykalne rozwiązanie tego problemu władne jest przekształcić stosunki polsko-rosyjskie.

Wyda się, że rośnie procent Rosjan, którzy zdają sobie sprawę z powyższego zagadnienia. Jeszcze raz pragnę podkreślić z naciskiem, że mentalność „my albo oni” musi wygasnąć nie tylko wśród Rosjan lecz również wśród Polaków. To jest proces dwustronny. Polacy czekający cierpliwie na chwilę odwetu i restaurację „przedmurza” — podsycają intensywnie imperializm rosyjski.

Na wstępie tego artykułu wspomniałem M. Litwinowa, dla którego historyczny system „my albo oni” był w roku 1944 równie żywy i aktualny jak w okresie ubiegłych 300 lat. Litwinow uważał, że trzeba finalnie dokończyć dzieła zapoczątkowanego rozejmem Andruszowskim (30. I. 1667 r.) kiedy Polska oddała Moskwie Smoleńsk, Czernichowskie, Siewierszczyznę, Siewież i Kijów.

Dokładnie w trzydzieści lat po rozmowie Edgara Snow z M. Litwinowem, wnuk tegoż Maksima Litwinowa — Paweł Litwinow nawiązał kontakt z paryską *Kulturą* i przybliżył się do naszego punktu widzenia.

Wreszcie ostatni punkt tych rozważań. Polacy odnoszą się dziś z niechęcią do wzniosłych haseł, do sloganów, do wszelkiego typu romantycznej frazeologii. Nie mogę jednak oprzeć się wrażeniu, że w swoim anty-romantyzmie Polacy wylewają dziecko wraz z kąpielą. Polityka narodu w niewoli musi łączyć ludzi o różnych przekonaniach i dlatego winna być oparta o ideał moralny, który by oczyszczał nasz program niepodległościowy i nadawał mu etyczny wymiar. Owego moralnego, ponad-narodowego wymiaru brak jest wszystkim współczesnym programom niepodległościowym.

Nikogo nie można porwać ideą wzrostu ekonomicznego czy hasłem „kolorowa telewizja w każdym domu i samochód przed każdym domem”. Choć wszyscy pragną samochodów — nikt nie jest gotów umierać za samochody i kolorowe telewizje. W Wietnamie, na Cyprze, na Środkowym Wschodzie, w Północnej Irlandii, w Angoli czy w Mozambiku — ludzie umierają dla często mylnych lecz żarliwie wyznawanych idei.

Wśród współcześnie żyjących Polaków — tak w Kraju jak i za granicą — nic, dosłownie nic nie jest żarliwie wyznawane. Ludzie bezideowi („śmierć frajerom”) są całkowicie bezbronni wobec przemocy i stanowią klasyczny materiał do masowej fabrykacji niewolników.

Czytając „Archipelag Gułag” musi się dojść do wniosku, że



owe gigantyczne, wielomilionowe łagry byłyby nie do pomyślenia bez współpracy łagierników. Filozofia „śmierć frajerom” wyznawana przez znakomitą większość łagierników w kombinacji z przeemocą władz sowieckich — czynią z „Archipelagu Gułag” prosperujący *business*.

Oczywiście największymi frajerami są wyznawcy hasła „śmierć frajerom” i „Archipelag Gułag” stanowi monumentalne potwierdzenie powyższej tezy.

Idea samostanowienia i wolności dla pobratymczych narodów oddzielających nas od Rosji — z równoczesnym szczerym zrzeczeniem się jakichkolwiek planów imperialistycznych — do których to planów zaliczyć należy nadzieję ułożenia się z Moskwą ponad głowami i kosztem owych narodów — tak pojęty program mógłby przywrócić polskiej polityce niepodległościowej wysoki motyw moralny, którego dziś jej nie dostaje.

Co my mamy do przeciwstawienia „Archipelagowi Gułag” — jeżeli uznać go za symbol systemu? Nie mamy Sołżenicynów — ale mamy Iwaszkiewiczów, apostołów licencjonowanego sukcesu. Na emigracji mamy zaciekle antykomunizm, który nie produkuje niczego poza zwierzęcą nienawiścią do Rosji. Owemu antykomunizmowi brak jest wymiaru moralnego, ponieważ stopiony jest z egoizmem narodowym, a nawet z ciasnym nacjonalizmem. „Gułag” nas interesuje tylko o tyle, o ile w tej piramidzie uwięzionych ciał i dusz dopatrzeć się można zapowiedzi rozkładu Rosji co z kolei umożliwiłoby nam przywrócić Polsce Wilno, Lwów a może coś więcej.

Powinniśmy wrócić do Mickiewicza. On lepiej i prawdziwiej niż my rozumiał słowo „wolność” i moralny tego słowa wymiar.

Juliusz MIEROSZEWSKI

## Ogród nauk

*Saligia*

S uperbia  
A varitia  
L uxuria  
I nvidia  
G ula  
I ra  
A cedia

W średniowieczu pierwsze litery siedmiu grzechów głównych składały się na słowo *saligia*, uważane za podwójnie użyteczne, bo i pozwalało łatwo nazwać siedmiu grzechów czy raczej wad (*vitia capitalia*) zapamiętać i podkreślało ich łączność. Tyle wiedziałem, ale skusiło mnie niedawno żeby zajrzeć do paru encyklopedii i sprawdzić co też mają one o *saligii* do powiedzenia. W żadnej z nich nie znalazłem o tym słowie nawet wzmianki. Co więcej, milczą o nim encyklopedie katolickie i słowniki teologiczne terminów. Osoby duchowne nie lubią już grzechami się zajmować, jakby chciały przeprosić świat za to, że przez wiele stuleci to właśnie uważały za jedno ze swoich głównych zadań. Nawet o pojęciu grzechu odzywają się półgębkiem, nie są więc skłonne w redagowanych przez siebie kompendiach i katechizmach przypominać o dawnych klasyfikacjach.

W poszukiwaniu pewnej książki poświęconej dziejom grzechów głównych udałem się tedy na Pagórek Teologiczny. Gdyż Berkeley oprócz ze wszech miar sławnego uniwersytetu posiada również kilka wyższych szkół teologicznych różnych wyznań, niedaleko siebie położonych, z pięknym widokiem na Zatokę San



Francisco. Współpracują ze sobą w duchu ekumenicznym i z bogatych swoich zbiorów bibliotecznych korzystają wspólnie. Najbardziej znana z tych szkół jest międzywyznaniowa Pacific School of Religion. Jej to profesorem był nieżyjący już Earl Morse Wilbur, który, żeby napisać swoją dwutomową *History of Unitarianism*, nauczył się po polsku, nie bez racji, skoro niemal połowę jego dzieła wypełniają podróże i dysputy polskich Arian.

Księgę o grzechach głównych znalazłem, ale była na składzie (*in storage*), gdzie trzymane są książki rzadko potrzebne, skąd należy wyciągnąć wniosek, że przedmiot nie cieszy się popularnością ani u przyszłych pasterzy ani u ich nauczycieli. W istocie lista grzechów głównych, ułożona przez eremitów Egiptu w IV wieku, zawsze była po troszę zabytkiem historycznym, skoro zostawały nazwy a ciągle zmieniały się znaczenia. Z dzieła dowiedziałem się, że słowo *saligia* upowszechnił Henryk z Ostii w XIII wieku, ale że długo współzawodniczyło z nim inne, *siaagl* (superbia, invidia, ira, acedia, avaritia, gula, luxuria), a więc oznaczające inną kolejność tych samych wad. Jednakże *saligia* miała wyższość przynajmniej ze względów mnemotechnicznych i w okresie kontrreformacji przejęli ją Jezuici.

Jako dziecko z lekcji katechizmu nie wyniosłem większych moralnych korzyści. Może w ogóle dzieci do przyjęcia tak zawilej wiedzy nie są przygotowane, a poza tym, jeżeli weźmiemy za przykład polskie nazwy grzechów głównych, zbyt dużo na tych lekcjach nasuwało się dziwacznych skojarzeń.

1. Pycha zamiast *superbia*. Pych, puch, pyza? Pyszałkowaty-pyzaty? Dęcie się ponad stan? To ktoś inny, pan jakiś, pyza-pycha w kryzie, na pewno nie ja — czyli do siebie nie da się tego stosować. Pycha od razu, przez sam swój dźwięk, jest zaszeregowana, natomiast *superbia*, jako właściwość Lucyfera, ma i cechy poważne, podobnie jak angielskie *pride*, francuskie *orgueil*, niemieckie *Stolz*, starocerkiewne *gordost*.

2. Łakomstwo jako *avaritia*. Widziałem w tym wykroczenie polegające na wylizywaniu słoików po konfiturach czy też na nieposkromionej żądzy deseru, który może dzisiaj nie stanowi problemu, ale w moim dzieciństwie na stole pojawiał się rzadko. I ktośby mi wtedy wyjaśnił, że taka chętką słodyczy była dźwignią ponurych dziejów naszej cywilizacji, że ona to popchnęła do lichwy i zakładania manufaktur, do podboju Ameryki, do uciemięczenia chłopów w Polsce, do genialnego pomysłu na jaki wpadli pobożni mieszczanie Amsterdamu używając swoich okrętów do handlu niewolnikami? Deseru zawsze chcieli możni tego świata, pewnie. Gdyby to jednak były przynajmniej łakomczuchy, a więc istoty goniące za zmysłowymi przyjemnościami, byłoby

jeszcze pół biedy. *Avaritia* jest jednak namiętnością raczej ascetyczną, jak wskazuje francuskie *avarice* i niemieckie *Geiz*. Czyżby *L'Avare* Moliera należało tłumaczyć: *Łakomczuch*? Angielskie *covetousness* bliższe jest chciwości niż skąpstwa, ale także surowa to żądza, na pieniądź wyłącznie skierowana. Oba znaczenia, skąpstwa i chciwości, przekazuje starocerkiewne *sriebrolubje*, dosłowny przekład greckiego *filarguria*.

3. Nieczystość zamiast *luxuria*. To chyba ma coś wspólnego z niemyciem się? Z dotykaniem „miejsc nieskromnych”? Ale łaciński wyraz oznaczał bujność, płodność, obfitość, roślinności przede wszystkim, później bujność nadmierną np. w sposobie wyrażania się, także zbytek, nadmierny przepych i rozpustę. Francuskie *luxure* coś z tych znaczeń zachowało, choć oznacza tyle co polska rozwiązłość i rozwiązłość, nie nieczystość, byłaby lepszym polskim odpowiednikiem. Porzucając tutaj łacinę i posługując się starogermańskim *lust*, język angielski zanadto się od pierwotnego sensu oddalił, choć naprowadza na ten sens przymiotnik *lusty* — bujny, krzepki, kiedyś też używany jako: igrający, wesoły. Angielskie *lust* czyli pożądlivość wskazuje jakim przemianom ulegały zbliżone do siebie pojęcia zależnie od języka i obyczajów, zwłaszcza jeżeli zestawimy to ze starocerkiewną nazwą tego grzechu: *blud* (a więc po prostu błąd) wziętą, z pominięciem łaciny, wprost z greckiego *porneia*. Nieczystość natomiast zdaje się być po prostu przekładem z niemieckiego *Unkeuschheit*.

4. Zazdrość zamiast *invidia*. Zupełnie niejasne to było dla mnie słowo. Dzisiaj wiem, że dało mu początek łacińskie *in-videre* czyli za-źrzeć, a więc to samo co za-widzieć (w starocerkiewnym *zawist*). Inne języki mniej albo bardziej podkreślają wolę, pragnienie, choć trudno orzec czy francuskie *envie*, angielskie *envy*, niemieckie *Neid* dostatecznie oddają sens łacińskiego terminu obejmującego też nienawiść i obmowę.

5. Obżarstwo i pijaństwo zamiast *gula*. Pierwotnie po łacinie szyja, później też żarłoczność albo i łakomstwo. Obżarstwo i pijaństwo nasuwały obraz zastawionych stołów, brzuchatych rechoczących i bełkoczących mężczyzn; najoczywistej grzech dorosłych. Teraz dopiero zastanawiam się dlaczego w polskim języku użyto aż dwóch słów żeby *gula* przetłumaczyć. W żadnym ze znanych mi języków pijaństwo wśród grzechów głównych nie figuruje. Starocerkiewne *czrewougodje* czyli dogadanie brzuchowi ułożone zostało na wzór greckiego *gastrimargia* i najbliższe byłoby polskiego „popuszczania sobie pasa” zarówno w jadłach jak w napitkach. W ogóle z tą wadą coś się w biegu historii niespodziewanego stało, może dlatego, że kiedyś, dawno, więcej ludzi mogło sobie na *gulę* pozwolić niż w ciągu następnych stuleci. Różne



chudogęby oblizywały się na myśl o raz kiedyś napchaniu sobie brzucha i powstała cała poezja półgęsków, kiełbas, wędzonych szynek, baryłek piwa. Niby grzech, ale nagrodą za wstrzemięźliwość podczas Wielkiego Postu coś było jeżeli nie obżarstwo i pijaństwo? I czyż coś naprawdę ujemnego jest we francuskiej nazwie *gourmandise*? Przeciwnie, jeżeli ktoś jest *gourmand* to bardzo dobrze, znaczy to, że rumiany, serwetę zawiązuje pod szyję i zna się na kuchni oraz winach czyli nie nędzarz. To jeszcze nie *gourmet* czyli smakosz, ale prawie. Nie korzysta z takich przywilejów niemiecki *unmässig*, a jeszcze inny jest angielski *glutton*, gardziel nienasycona, oddający się *gluttony* czyli wszystkimżerstwu.

6. Gniew zamiast *ira*. „Wybuch gniewu” — nie było trudno sobie przedstawić co to jest. Był to więc krótkotrwały stan fizyczny wyłamujący się w gwałtownych czynach (Król Bolesław Śmiały wpadający do kościoła i w przystępie gniewu mordujący Stanisława Szczepanowskiego). Zresztą *ira* w przekładzie nie nastrocza większych trudności. *Anger*, *colère*, *Zorn*, starocerkiewne *gniew*.

7. Lenistwo zamiast *acedia*. Polski język nie jest tutaj odpowiadający za śmieszne nieporozumienie. Wyraz nie jest łaciński tylko wprost przez łacinę z greki pożyczony: *akedia*, i dałby się przełożyć jako obojętność. Ale dla eremitów IV wieku *akedia* była głównym niebezpieczeństwem, pokusą demona najbardziej dotkliwą w południe, kiedy pod wysokim słońcem cała natura odpoczywa w ciszy i bezruchu. Wtedy mnicha nawiedzały smutek i nuda. Próbował z tym walczyć modlitwą ale dręczyło go poczucie bezsensu wszystkich jego starań i umartwień. Jeżeli dał się pokonać, porzucał swoją grootę i biegł chociażby do grotu sąsiedniej, żeby nie być sam ze sobą. Jeżeli ulegał takim atakom często, musiał wrócić pomiędzy ludzi, do miast. *Akedia* była więc groźną przeszkodą dla ludzi oddanych intensywnemu życiu duchowemu. Niemal miejsca udzielały jej i później, w średniowieczu, instrukcje zakonne. Łączono ją często z *tristitia* czyli *lupe* czyli smutkiem, jako że najłatwiej ją wyrazić słowami: „nic nie warto”. Tylko stopniowo nastąpiło przekształcenie *akedii* w wadę (fizycznej?) ośpałości i gnuśności. Pierwotnego znaczenia nie przekazuje ani francuskie  *paresse*, ani angielskie *sloth*, ani niemieckie *Trägheit*. Doskonale przekazuje tylko starocerkiewno-słowiańskie *unynje*. Oczywiście co to takiego „lenistwo” nie miałem pojęcia, poza jedną jego odmianą tj. moją zrozumiałą odrazą do „twardej konieczności” czyli do odrabiania lekcji.

Dzisiejsza niechęć duchownych do klasyfikowania grzechów jest o tyle zrozumiała, że cała ta wielka budowla rozróżnień,

konceptów i sylogizmów została wzniesiona dość późno, ostateczny kształt zyskując w kazuistyce jezuickiej. Choć niewątpliwie wpłynął tutaj i prestiż badań naukowych, które stawiają sobie za zadanie rozebrać na kawałki pluszowego niedźwiadka żeby zobaczyć jak jest zrobiony. Ów pluszowy niedźwiadek, czyli człowiek, nie jest przez psychologów rozpatrywany jako splot zła i dobra czyli wartości, ale jako teren pewnych „zjawisk”. Zarazem biedne grzechy, w zestawieniu z bujną fauną i florą odkrytą wewnątrz człowieka, stały się takimi abstrakcjami jak emigracyjne rządy czy wygnani monarchowie.

A jednak. *Sed contra*, jak mawiał Tomasz z Akwinu. W każdym z nas różne ciekawe ciągi przyczyn i skutków da się wytropić ale niech tym zajmuje się kto inny, nie my sami. Kiedy jesteśmy sami ze sobą, nasze zło i dobro nas niepokoi a nie ciekawostki czyli skąd i dlaczego. A gdyby tak sprawdzić czym dla mnie dzisiaj są grzechy główne, tak mgliste i niewyraźne w dzieciństwie? Nie byle jakie to zadanie, bo oznaczałoby, że odczytuje się nową treść w starej *saligii* czyli, znajdując jej okazałe formy w sobie samym, przywraca się ją do jej smętnej godności.

Siedem grzechów głównych, stwierdzmy na wstępie, uważano najwyżej za bodziec do czynów skazujących na wieczne potępienie, ale ani żaden ze składników siódemki ani cała *saligia* nie musiały prowadzić do ostatecznej zguby. Gdyż *vitia capitalia* były mniej czy bardziej powszechnymi objawami zepsutej ludzkiej natury, a natura ta nie jest aż tak zepsuta żeby nie zostało dla niej żadnej nadziei. Toteż w *Boskiej Komedii*, kiedy Dante i prowadzący go Wergili po przebyciu Piekła w środku kuli ziemskiej wynurzają się po przeciwnej jej stronie i zaczynają wspinać się na górę Czyścica, natrafiają tam na siedem tarasów, z których każdy jest zamieszkały przez dusze pokutujące za jeden z siedmiu grzechów głównych. Kolejność tych tarasów dostosowana jest do wzoru nie *saligia* ale *siiaagl* i uzasadnienie Dantego wydaje mi się przekonywujące. Kilka tercyn z pieśni siedemnastej ma tu szczególną wagę i warto je zacytować w przekładzie dosłownym. Wergili, kiedy są na tarasie czwartym, tak wyklada:

„Ani Stwórca ani stworzenie, mój synu, zaczął, nie były nigdy bez miłości, albo naturalnej albo z ducha; i wiesz o tym. Naturalna jest zawsze bez błędu, ale ta druga może błędzić przez wybór przedmiotu (*per malo obietto*) czy też przez nadmiar albo niedostatek siły. Kiedy dąży do Pierwszego Dobra i we wtórnym utrzymuje miarę, nie może być przyczyną złej uciechy; ale kiedy ku złu się zwraca albo idzie za swoim dobrem z większą niż



należy się skwapliwością czy też z mniejszą, przeciwko swojemu sprawcy występuje. Możesz zrozumieć więc, że miłość musi być w tobie ziarnem wszelkiej cnoty i wszelkiego czynu, który zasłuży na karę”.

„Miłość która porusza słońce i gwiazdy” jest więc samym rdzeniem każdej rzeczy i każdej żywej istoty. W porządku Natury (*amore naturale*) nie podlega moralnym ocenom. Upuszczony z ręki kamień spada bo tak chce prawo ciężenia, zwierzę poluje na inne zwierzę bo tak nakazuje mu, jak to zaczęto mawiać później, instynkt. Natomiast miłość w porządku duchowym, właściwa człowiekowi, jak też aniołom (*amore d'animo*) może się mylić. Powołaniem jej jest dążyć do pierwszego dobra tj. do źródła wszelkiego dobra tj. do Boga (*primo ben diretto*). Pomyli się, jeżeli uzna za swoje dobro coś co jest z głównym jej celem sprzeczne, ale również jeżeli sama jest za silna albo za słaba. I siedem tarasów Czyśćca stanowi ilustrację takich pomyłek. Trzy najniższe oznaczają miłość znieprawioną tj. taką, która dążyła do mylnego celu. Dusze, które spotykają tam Dante i Wergili, cierpią bo za życia igła magnetyczna ich miłości (czyli Wola) zwracała się ku nim samym: *superbia, invidia, ira*. Czwartym jest taras *akedii* czyli miłości niedostatecznej, ospałej, tej, która z czasu danego śmiertelnym nie umiała należycie skorzystać. Trzy najwyższe tarasy, a więc już bliżej Ziemskiego Raju, który znajduje się na szczytowym płaskowyżu czyśćcowej góry, wyznaczone są jako miejsce pokuty duszom których miłość była nadmierna, bo z jej nadmiaru pochodzą *avaritia, gula i luxuria*. Dość to enigmatyczne, bo chciwcy, żarłoki i rozpustnicy wychodzą na swoich wadach stosunkowo lepiej niż inni. Ich potężna wola życia zdaje się być odśrodkowa, nie dośrodkowa tzn. że skierowana jest na świat zewnętrzny, na jego zabór, niejako z zapomnieniem o samym zaborcy: pieniądź dla chciwca albo skąpca symbolicznie streszcza rozkosze ziemi; pieczenie przykuwa uwagę żarłoka, bo przecie nie myśli on o swoim smaku, w pieczeniu smak mieszka; piękna dziewczyna czaruje zdobywcę obietnicą czegoś tajemniczego, niezaznanego. Jeżeli tak, jeżeli odśrodkowa wola życia jest pogonią za istnieniem jako urokiem, przekraczając pewną miarę może ona znaleźć nasycenie tylko w *primo ben diretto* czyli w Bogu ale wtedy, jako że jej dużo, zaprowadziłaby w świętość. Świętość jednak trudna, stąd te trzy górne tarasy. Czyli że miłość skierowana, by tak rzec, na zewnątrz, ku rzeczom branyim zmysłami, nie jest błędem, najwyżej jej nadmierna łączliwość skłaniałaby do udzielenia rady: albo bądź świętym, albo musisz tej twojej miłości mieć mniej. Dostojewski w *Braciach Karamazowych* idzie wiernie za Dantem: *avaritia, gula i luxuria* zarówno starego Karamazowa jak Dymitra błędną

wobec prawdziwie ciężkiej skazy, *superbii* Iwana, z którą sprzymierza się *akedia* Smierdiakowa\*.

Dante w *Purgatorio* znajduje swoje własne wady na tarasie pychy, następnie zazdrości i wreszcie rozwiązłości. Jeżeli ktoś zdobywa się jak on na nazwanie własnego zła to już dużo, nie udałoby mu się to zresztą gdyby nie pomoc Beatryczy i Wergilego. Większość z nas, zwykłych śmiertelników, ani własnych mroków nie zna, ani nie potrafi ich nazwać. Z tego i z innych względów analizy jakie nastąpią nie zasługują na miano wyznań.

### *Superbia*

Jeżeli jesteś jednym z, dajmy na to, tysiąca działających w twoim czasie poetów, myślisz o tym co stanie się z waszymi utworami za lat sto czy dwieście. Albo wszystkie wasze nazwiska będą wymieniane tylko w przypisach do intelektualnej historii okresu. Albo jeden z was wzniesie się ponad mody i zbiorowe nawyki, natomiast reszta, choć zdawała się tzw. indywidualnościami, złoży się na chór posłuszny dyrygentowi, który wycisza jakiegokolwiek zbyt niezależne głosy, tj. stylowi epoki. Ten jeden poeta to ty — bo ty jeden masz rację. Ależ co poezja ma wspólnego z mieniem racji? Bardzo dużo. Układ słów oznacza wybór, wybór oznacza sąd, i poza twoimi słowami ukrywa się milczący osąd mnóstwa spraw ludzkich z jakimi miałeś do czynienia. Jeżeli w twoim osądzie (świadomym, półświadomym albo nieświadomym) masz rację, przebijesz się przez kokon opinii powszechnie w twojej epoce przyjętych, inni natomiast w nim ugrzęzną. Racje bowiem nie są sobie równe i błąd na krótko tylko korzysta z tego samego przywileju co prawda. Czyżby więc istniały w zastosowaniu do twórców wyobraźni i języka absolutne kryteria? Niewątpliwie. Ależ jak to może być, przecie jednemu podoba się to, drugiemu co innego, przecie *de gustibus non est disputandum*? Wszystko co zalicza się do dzieł ludzkiego ducha podlega ścisłej hierarchii. Nasze sądy o współczesnych nam dziełach są chwiejne i niepewne, bo tylko czas prawdziwą hierarchię obnaża spod zasłon i stosów połączanego rupiecia. Niemniej ty, w chwili kiedy trzymasz pióro i układasz wiersz, jesteś o swojej racji mocno przekonany — jak też o błędnych założeniach wszystkich twoich rywali. A czyż nie ma konfraterni bardzo różnych ale wzajemnie siebie szanujących poetów? Są takie konfraternie.

\* *Saligia* w zastosowaniu do Dostojewskiego to pomysł Sergiusza Hessena (przedruk jego pracy z 1928 roku w zbiorze *O Dostojewskom. Statii, Providence, 1966*).



Jednakże w samym akcie pisania zawiera się triumf twojej władczości i wiesz dobrze, że wtedy głosowi swojego tylko dajmona ufasz.

Niewykluczone, że tak działo się dotychczas dlatego, że nielicznych wielkich zwykła była wieńczyć „sława wiekopomna”. Czytałem gdzieś przepowiednię, że nastąpi czas kiedy każdy człowiek będzie sławny — raz w życiu, na piętnaście minut. Zważywszy, że czynność (pisanie, malowanie, rzeźbienie etc.) wysuwa się na pierwszy plan, a nie wyniki, przepowiednia rychło może się spełnić. Wielomilionowe masy twórców o sławie ulotnej zastąpiłyby wtedy nielicznych wybranych. Ja jednak wychowałem się jeszcze na tradycyjnych wierzeniach i dlatego skłonny jestem grzech *superbii* uznać za chorobę zawodową. Ograniczając jego sens do pychy, pominęlibyśmy całą wieloznaczność jego skutków, bo duma i pewność siebie są niezbędne dla poety, który chce czegoś dokonać i nie ustąpić ze swego.

W różnych fazach życia różne miałem opinie o poezji i literaturze, mógłbym się więc pomylić rzutując wstecz swoje dzisiejsze poglądy. W zawodzie „pisarza” widzę dzisiaj jakąś żenującą błazenadę. Kiedy się czyta ogłaszane teraz dzienniki różnych mistrzów pióra, ogarnia nas litość: oni naprawdę uważali siebie za „wielkich”. Iluż to z nich kłaniało się próchnu, swojemu rozgłosowi podtrzymywanemu przez parę kawiarni i garstkę prasowych wycinków? Tak jest teraz, ale ten mój niezbyt życzliwy stosunek do zawodu był, jak się zdaje, dawno już przygotowany, we wczesnej młodości. Już wtedy poezja, nie mówiąc o literaturze w ogóle, to było *za mało*. Załóżmy, że jesteś — potencjalnie — lepszy od twoich rywali (o czym nie wątpię). No to co? Wśród ślepców jednooki jest królem i czyż będziesz dumny z tego tytułu? Bez wątpienia chciałem być poetą znakomitym. Ale nie wydawało mi się to dostateczne. Gdybym dążył do napisania pewnej liczby doskonałych wierszy, złożyłbym dowód umiarkowanej tylko *superbii*, miałem jej jednak w sobie dosyć żeby mnie wynosiła poza jakiekolwiek pisarstwo.

Nie przypisywałem sobie wybitnych zdolności i talentów z wyjątkiem jednego, którego i teraz nie umiałbym określić. Była to bardzo szczególna odmiana inteligencji zdolnej kojarzyć dane nie kojarzone przez innych. Czy też była to odmiana wyobraźni uwrażliwionej zwłaszcza na obyczaje i instytucje. Tak czy owak, słyszałem ciągle w sobie ostrzeżenie: *to nie może trwać*. A jeżeli we wszystkim co mnie otaczało była jakaś nierealność, czy utwory w środku tej nierealności pisane mogły być realne? I zresztą odnosiło się to nie tylko do Polski, także, choć z innych nieco względów, do całej Europy. Ortega Y Gasset porównuje gdzieś artystę urodzonego w nieprzychylnej epoce do drwala o potęż-

nych mięśniach i z ostrą siekierą, który znalazłby się na pustyni. Tego porównania wówczas, w młodości, nie znałem, gdybym znał, moja autoironia wyraziłaby się w słowach: „Też się wybrał, z tą swoją siłą, kiedy nie ma ani drzewa”.

Nalegało sięgnąć w ten wymiar gdzie rozstrzygały się losy i całej realności i poezji. Jednakże nie był on wówczas słowom dostępny. W dodatku moich wierszy nikt nie rozumiał albo, co chyba ważniejsze, mnie się wydawało, że nikt ich nie rozumie, bo czułem się najzupełniej wyobcowany, i to tym bardziej, im bliżej do roku 1939. Teraz przedstawia mi się to następująco. Polska społeczność ma bardzo silne poczucie sakralności i tym tłumaczą się szczególne przygody Polaków w stuleciu daleko posuniętej desakralizacji. Chodzi tu jednak o sakralność tak przywłaszczoną przez jedną boginię, Polskość, że na nic jej już poza tym nie wystarcza. Wymiar który niejasno ukazywał się moim oczom w latach trzydziestych nie przylegał do ogólnopolskiego wymiaru, to też miejsce moje było wśród „obcych”, czy dlatego że Żydzi, czy dlatego że komuniści albo komunizanci. Dokądkolwiek się jednak zwróciłem, nigdzie nie czułem się w domu. Gust do „rzeczy ostatecznych” nadał kierunek całemu mojemu życiu, chociaż mocą różnych geograficzno-psychologicznych dziwów tonacja polsko-katolicka nie dominowała w tej mojej religii.

Czy więc wyobraźnia miała rację ostrzegając mnie, że to nie może trwać? Wypada wprowadzić tutaj rozróżnienie. Wychwytyjąc „czarne” strony rzeczywistości, umożliwiała pesymistyczną diagnozę, ale spróbuję trochę podważyć pochlebną dla mnie opinię, że był to poetycki dar proroczy. Kto wie czy nie bardziej istotne było tutaj odrzucanie życia w ogóle, jego karanie za to, że jest *nierozumne*. Ten nierozum, zarówno w jednostkowym, biologicznym, życiu jak zbiorowym, ma różne stopnie nasilenia, od takich, które dają się nazwać (np. absurdy gospodarcze, nieudane instytucje polityczne etc.) do zupełnie nieuchwytnych, tyle że sprzecznych z naszą potrzebą całkowitego ładu. Czy więc obalenie istniejącego porządku nastąpiłoby czy nie, zawsze przedstawiałoby mi się jako z góry uzasadnione.

Moja *superbia* domagała się kary i karę wreszcie ściągnęła. Bo kiedy już w wieku dojrzałym otwiera się usta i słyszy się siebie uchem tych do których się przemawia, ale co się słyszy? — niezrozumiały bełkot, za karę powinno to być poczytane. Po kolejnych podrywach gniewu (bo ostatecznie nie żądałem dużo) musiałem uznać to zamurowanie mnie w samotności za sprawiedliwe i dla mnie pedagogicznie korzystne. Kiedy pisze się po polsku, nie trzeba mieć złudzeń. Gdyby polski obyczaj szacunku dla literatury-świętyni narodowej nie siedł w parze



z zupełnym lekceważeniem spraw ducha, ziemia byłaby za pięknym miejscem pobytu.

Żeby być uczciwym: uchylam tutaj zaledwie rąbka, świadomy mnóstwa powikłań, które pomijam, bo jestem posłuszny dyscyplinie języka. Ograniczam się do *superbii* w jej dwojakich, ujemnych i dodatnich skutkach. Czyż często nie zastępuje moralności? Jak wtedy kiedy zabrania nam pewnych czynów, bo one są poniżej tego co o sobie, godnym tylko czynów najwyższych, myślimy? I czyż bez *superbii* obywa się ktoś kto stawia tylko na swój upór? Samotność wcześniej czy później wpędza nas w kryzysy, które nie mogą być rozwiązane inaczej niż jako ponowne narodziny, zrzucenie skóry węża, tak że co nas dotychczas męczyło przestaje nas obchodzić. Co prawda wolę wierzyć, że moja *superbia* spełniała przy owych narodzinach funkcję położnej, ale że, niezależnie od niej, bardziej szlachetne działały tutaj postacie.

### *Invidia*

On ma to, co ja powinienem mieć, mnie to się należy, nie jemu — oto model zazdrości. Nie to, że ja chciałbym być nim, bo wręcz przeciwnie — on jest niższy ode mnie a niesprawiedliwie został wynagrodzony i na pewno, z powodu swojej niższości, nie umie nawet tego ocenić (ja, jako wyższy, umiałbym). Córka pychy, zazdrość, jest aż humorystycznie powszechną wadą literatów i artystów. Np. każda wieść o wyróżnieniu innych powoduje u nich mniej czy bardziej ukryte zgryzoty. Co prawda zasięg i natężenie zazdrości trudno w samym sobie odgadnąć, bo umie się ona maskować. Pochodząc z głębokiej europejskiej prowincji i emigrując trzy razy, najpierw do Warszawy, potem do Paryża, potem do Ameryki (zawsze z buławą marszałka w tornistrze?) musiałem zazdrości w sobie przechowywać sporo. Była jednak, bądźmy sprawiedliwi, miarkowana przez wyjątkową zdolność uwielbienia, tak że surowo sądząc jednych (licznych), kłęczałem przed wybranymi w pokorze, absolutnie przekonany o swojej zupełnej niższości (rzadko byli to zresztą „pisarze”).

Porzućmy jednak dziedzinę sztuki i literatury. Moje stulecie należałoby nazwać wiekiem *invidii* i zaraz wyjaśnię dlaczego. Ruchliwość społeczna, kiedy wielkie masy ludzkie w krótkim czasie, nagle, zmieniają zawód, strój, obyczaj, sprzyja naśladownictwu. Silne przedziały kastowe imitację kiedyś utrudniały (np. mieszczanin udający szlachcica był ośmieszany). Naśladownictwo znaczy przyglądanie się drugiemu i chęć żeby mieć tyle ile on posiadał (pieniędzy, ubrań, swobody etc.). Otóż tutaj pojawia się

osobistość szerząca terror — jest nią w każdym człowieku „ja-dla-innych” pastwiące się nad „ja-dla-siebie”. Można sobie przedstawić stan, w którym człowiek jest względnie obojętny na sposób zachowania się innych, czy dlatego, że za wysokie progi (np. nosząc ludowe stroje, bo tylko miejscy ludzie fabryczne ubrania noszą), czy też dlatego że, dobrze osiadły w swojej jedyności, spokojnie powiada sobie: „to nie dla mnie”. Jednak w dwudziestym wieku jesteśmy siłą zmuszani do wstydu naszego szczególności. „Ja-dla-siebie” jest zresztą zawsze wstydem i winą, choć może z tym dawać sobie radę lepiej lub gorzej. Kiedy wkładają mu bez ustanku w głowę, że inni korzystają jak należy z życia, człowiek nie zastanawia się nad ułudnym charakterem tego obrazu pokazującego ludzi z zewnątrz tj. tak że każdy jest „ja-dla-innych”. Rozgląda się wokoło i zaczyna zazdrościć: ten tutaj, nędzny stwór, a przecie ile otrzymał, jak obdarowany — on nie jest poniżej normalności, ja jestem poniżej. Ta „normalność” czyli „ja-dla-innych” stanowi zresztą sekret rozpowszechniania się „nowej etyki” czyli cech „społeczeństwa przyzwyczajającego”. Każdy z nas ma jakieś „powołanie”, w czym zawiera się odstępstwo od normy, apel zwrócony do tej a nie innej osoby. Przedmiotem zazdrości stają się inni nie jako Karol, Piotr czy Ignacy, ale jako zobaczona z zewnątrz „normalność”, której rzekomo mamy za mało. Tzw. urzeczowienie, naśladownictwo i *invidia* są ze sobą ściśle związane.

Czy jednak chęć, żeby stać się „takim jak wszyscy” naprawdę oznacza, że się zazdrości? Chyba tak. Ja nie mam tego co on ma, mnie to się należy, bo jeżeli ja to mieć będę, to jeszcze, prócz tego, będę mieć więcej (siebie, swoją jedynność, oczywiście). „Normalność” będzie dodana do mojej jedyności, podczas kiedy, w moim mniemaniu, esencja tego drugiego człowieka w niej się wyczerpuje.

Jeżeli przyjąć podział zazdrości zależnie od jej zasięgu — albo tylko nieduża grupa, np. zawodowa, albo „ludzie w ogóle”, to ten drugi rodzaj jest bardziej niebezpieczny. Łatwo o błędy kiedy nie chcemy przyjąć własnego, tylko nam danego, przeznaczenia tj. kiedy nie możemy pogodzić się z myślą, że niektóre odmiany tzw. trybu życia są poza naszą możliwością i byłyby nam nawet przykre. Jeżeli usiłujemy dostosować się, objawiają się nam różne nędze „człowieka tłumu”.

### *I r a*

Ba, gdybyż to staromodny tylko gniew nas nawiedzał. Żle jest spurpurowieć na twarzy ze złości, jeszcze gorzej w przystę-



pie szafu walnąć kogoś po głowie obuszkami i zabić. Nawet jednak jeżeli ktoś nie nosi ze sobą obuszka, bywa że zna spóźnione żale pasjonata, kiedy to nic już nie da się naprawić. Ale oprócz tego odwiecznego gniewu, inny, nowoczesny, pojawił się kiedy za zło zaczęliśmy czuć się odpowiedzialni jako członkowie społeczeństwa i uczestnicy historii. Flaki się w tobie przewracają, zębami zgrzytasz, zaciskasz pięści — ale milcz, bo znaczysz zero i niczego nie zmienisz. I zapytujesz siebie: „Czy ja jestem obłąkany czy oni są obłąkani? Może to ja, bo żyją sobie i ani w nich oburzenia ani lęku wobec własnej współodpowiedzialności”. Kiedy urodzimy się ze skłonnością do gniewu i to urodzimy się w tym pięknym stuleciu, co począć, jak dawać sobie radę? Oczywiście każdy człowiek otrzymuje wychowanie, sam pobyt wśród innych go kształci. Spostrzega, że ryczeć i tłuc głową w ścianę mało pomaga; jeżeli jest poetą, przekonuje się, że wrzask jest mało skuteczny. Więc gniew schodzi w podziemie, stamtąd wynurza się tylko w przebraniu, przekształcony w ironię, sarkazm albo w tzw. kamienny spokój, po którym nieraz nie domyśleć się, że kryje się za nim furia.

Całe moje świadome życie spędziłem na takich manewrach z własnym gniewem, nigdy, i aż do dzisiaj, nie rozumiejąc w jaki sposób godził się z moją (właściwie) społeczną naturą. Jakże zresztą zrozumieć to współistnienie w nas sprzecznych porywów i nawyków? Niemniej flaki mi się przewracały czy przed 1939 rokiem czy podczas wojny czy później. Jakże to możliwe, ktoś słusznie zapyta, równać to co nieporównywalne, historyczne okresy i ustroje o mniejszym nasileniu zła, z takimi w których zło dochodziło do swego paroksyzmu? Niestety, prawda jest taka, że wszelka społeczność ludzka jest wielowarstwowa i wielomiejscowa. Co obraża nasze poczucie moralne nie odbywa się we wszystkich warstwach i miejscach równocześnie. Nawet tam, gdzie większa część ludności zdycha z głodu, są piękne dzielnice zamieszkałe przez sytych, słuchających dobrej muzyki i zajmujących się, dajmy na to, logiką matematyczną. Nie należy też sobie wyobrażać, że nawet ci, którzy zostali połknięci przez smoka nie zaznają chwil doskonałej pogody. Tak na przykład jedno z moich wspomnień szczęścia to ów dzień latem 1941 roku kiedy po wizycie u chłopskiego pisarza Józefa Mortona w Chrobrzu koło Pińczowa (jechało się tam dziwną, kręcącą się po trawiastych górach wąskotorówką), wylądowaliśmy z Jerzym Andrzejewskim na jakiejś stacyjce pod Krakowem, skąd do miasta szło się piechotą. Zatrzymaliśmy się w karczmie przydrożnej gdzie — w ogródku — grała wędrowną cygańska kapela, po czym powoli, chwiejnymi nieco krokami, wchodziliśmy w pierwsze ulice, gdzie wszystko tak w porównaniu z Warszawą wyglądało, jakby inny

to był kraj i inna era. Kawiarnia artystów na Łobzowskiej swoim gwarem i wielobarwnością tłumy przypominała Montparnasse w okresie jego największej sławy. Kelnerką która podeszła do naszego stolika była żona naszego kolegi, warszawskiego poety, Żydówka. Więc trwało jeszcze — choć w dziesięć dni później wielka łapanka dowiodła jak złudne są takie oazy.

Nie tylko wielowarstwowość i wielomiejscowość ludzkiej społeczności działa jako ogólne prawo. Innym prawem jest kierunkowość naszej uwagi, jako że umysł przekształca i tasuje jakiegokolwiek „dane”. Tam gdzie jeden widzi krzywdy wołające o pomstę do nieba, drugi nie widzi nic, gdzie jeden nie zdradza chęci do buntu, drugi strzela i podkłada bomby. Moje myślenie o gniewie jest silnie naznaczone przez lata spędzone w Ameryce i dwie strefy czasu i przestrzeni, europejska i amerykańska, wzajemnie się uzupełniają. Amerykańscy terroryści niezbyt się różnią od pewnej poetki dość popularnej w warszawskich kawiarniach przy końcu lat trzydziestych. Ówczesna Polska do gniewu dawała sporo powodów, ale poetka (z inteligenckiej rodziny) tak była naładowana nienawiścią, że ustrój według niej był winien wszystkiemu — i temu co rzeczywiście dałoby się usunąć i temu co w Polsce było nie do usunięcia, i temu co jest niemożliwe do usunięcia w żadnym życiu zbiorowym. Ona to napisała nierozważne zdanie: „zmieniliśmy zabór rosyjski na zabór polski” (że niby ta niepodległa Polska po roku 1918 nie lepsza od carskiej Rosji), ale za dużo miała z powodu tej swojej nierozwagi wycierpieć, żeby warto jej było to dzisiaj wypominać. Jej nienawistne wiersze zasługują jednak na wzmiankę, bo w nich nasz, znany nam, dwudziestowieczny gniew zwraca się równocześnie przeciwko instytucjom i przeciwko, można podejrzewać, samemu istnieniu czegokolwiek. Młodzi Amerykanie z zamożnych białych rodzin, przejęci losem Czarnych z getta nie mniej niż rosyjscy nihilści byli przejęci losem chłopów, wykazują nieograniczoną zdolność pompowania się rewolucyjną retoryką, ale nie wolno tego traktować lekko. Narzucające się analogie z *Biesami* Dostojewskiego są być może uzasadnione na głębszym niż stosunki społeczne poziomie — i to może najbardziej poprzez postać Kiryłowa czyli człowieka, który zadaje sobie śmierć bo, jak mówi, Boga nie ma a *powinien* być. Czy gniew, potężny demon naszej epoki, jest prometejskim porywem w imię miłości do ludzi, czy zgłoszeniem pretensji do świata zbyt niesprawiedliwego żeby żyć było warto? Chyba jedno i drugie, choć niejasne są tutaj ich proporcje.

Gniew uciśnionych, gniew niewolników łatwo zrozumieć, szczególnie jeżeli samemu żyło się przez kilka lat w skórze podczłowieka. Jednakże głośniejszy był w moim stuleciu gniew uprzywilejowanych wstydzących się swego przywileju. Z tym gniewem



jestem niezgorzej obznajmiony. Bardzo ubogi jako młody człowiek, wiedziałem jednak, że te parę złotych w kieszeni są dla mnóstwa ludzi w Polsce niemal bogactwem, zresztą już w końcu lat trzydziestych zarabiałem dużo i mogłem podgrywać eleganckiego snoba. A znowu w Ameryce mogłbym służyć za (wątpliwy) argument obrońcom klasycznego kapitalizmu kiedy twierdzą, że w nim „lepszy człowiek wygrywa”, bo moja praca nie była niedoceniona. A przynajmniej, obracałem się, w moim Berkeley i w mojej Kalifornii wśród podobnych do mnie, którym się udało. „Należy gryźć rękę, która nas karmi” rzekł do mnie jeden z nich. Może. Ale jeżeli tak, to zawsze pamiętając o fałszu w jaki wpadali nieraz ludzie dobrze odżywieni i rumiani udając, że cierpią.

### *Acedia*

Nikt już nie potrafi nazwać tej wady po prostu lenistwem i kiedy jak kiedy, ale dzisiaj wróciła do swego pierwotnego znaczenia: strachu przed pustką, apatii, smutku. Nie samotni eremici doznają jednak jej ukąszeń ale wielomilionowe masy. Doskonali reakcjonista powiedziałby, że dla ich dobra powinno się było trzymać je w niedostatku i analfabetyzmie, tak żeby bicz elementarnej potrzeby zostawiał im krótkie chwile odpoczynku ale nie rozmyślań, i żeby uchroniły się od wpływu półinteligentów posługujących się słowem drukowanym. Stało się inaczej i choć model zmienia się zależnie od kraju i ustroju, w ogólnych zarysach zostaje ten sam tj. pojawił się człowiek przeciętny umiejący pisać, czytać, posługiwać się motocyklem czy samochodem. Tudzież nieprzygotowany do duchowego wysiłku i podległy władzy półinteligentów, ładujących mu głowę podrobionymi wartościami.

Nie wdychajmy do dawnych dobrych czasów, bo dobre nie były. Sakralne bytowanie średniowiecznego miasta, neurojone, bo przecie został ślad w architekturze i sztuce, może najwyżej dostarczyć wskazówki na odległą przyszłość, kiedy po obecnej fazie przejściowej możliwy będzie ruch wstępujący, podobny, ale drugiego stopnia.

Na razie trwa era znieprawiania umysłów, co może być nieuniknioną ceną płaconą za otwarcie dostępu wielu ludzkim istotom, nie tylko jak dawniej, z wąskiej warstwy uprzywilejowanych. Dostępu do czego? Nie do „kultury” — ta w najlepszym razie przypomina szczelnie zamknięty żelazny kufer do którego zapomniano dostarczyć klucza. Jeżeli wolno spodziewać się dostępu, to do „samodzielnych bojów” ludzkiej osoby. Pograżona w plemiennych obyczajach, jednostka kiedyś tego nie potrzebowała ale już dzisiaj każdy zaczyna być eremitą na pustyni Egiptu

i podpada pod prawo wyboru — albo wspinanie się w górę albo zejście w takie czy inne, że posłużę się rosyjskim słowem, *skotstwo*, co, chociaż znaczy zbydlęcenie, gotowi jesteśmy, wbrew lingwistom, łączyć z greckim *skotos* czyli ciemność.

Chaos ocen uniemożliwia dzisiaj wyraźne rozróżnienia, tak że hołdy składane są wielkościom pozornym, rozślawionym bo jaskrawie i dobitnie przedstawiają modne tendencje. Ten wiek jest poza tym wiekiem potworów — rzadko takie oglądała ludzkość — ale także, jakby dla równowagi, wydał niemało postaci olbrzymiego formatu, którym nie wstyd jest składać hołdy w pokorze. Umysłowy dystans pomiędzy nimi i zmotoryzowanym człowiekiem tłumu jest prawdopodobnie większy niż pomiędzy średniowiecznym teologiem i np. członkiem cechu bednarzy. Dla ścisłości: nie przesądza tutaj jeszcze o niczym poziom wykształcenia, bo również wielu laureatów Nobla, w jednej dziedzinie nauki, nie różni się umysłowo, poza swoją specjalnością, od swoich najmniej wyćwiczonych bliźnich. Jacques Maritain mówił, że nadają ton tej epoce ludzie o słabej głowie i czułym sercu albo ludzie o mocnej głowie i nieczułym sercu, natomiast mało jest takich, którzy by czułe serce łączyli z mocną głową. Nie ma lepszego na to przykładu niż rynek w Ameryce rządzący i językiem słów i językiem obrazów. Głupia szlachetność i nieszlachetna chytryść handlowa tak zostały ze sobą sprzężone, że mierząc pisma, filmy, książki, programy telewizyjne ich wpływem wychowawczym, trzeba mówić po prostu o masowej zbrodni przeciwko temu, co, niedokładnie ale nie bez racji, nazywa się „godnością człowieka”.

Niestety, kto nie zleniwia się, bo wie, że czyha na niego, jak na każdego, *acedia* czyli *unynje*, spostrzega wkrótce, że dystans pomiędzy nim i jego współczesnymi rośnie z każdym rokiem, jeżeli nie miesiącem. Praca umysłu ma to do siebie, że te same czynności wymagają coraz mniej czasu tzn. wyrabia zdolność skrótów, dróg na przełaj. Wskutek tego traci się smak do słów i obrazów dostarczanych przez rynek, stąd też niemałym problemem jest nowy arystokratyzm umysłów wybrednych, które jednak, jak to już napomknąłem gdzie indziej, poruszają się w innej strefie niż pół wieku temu — wtedy była to „awangardowa” literatura i sztuka, która więcej obiecywała niż udało się jej spełnić.

Z temperamentu gorliwy i pilny, pracowałem tak dużo, że, zdawałoby się, nie powinienem siebie obwiniać o *unynje*. Jednakże nie zrobiłem tego co mogłbym a przyczyną było i wadliwe wykształcenie i stany depresyjne, które uniemożliwiały skuteczny opór wobec urojeń mojego czasu. Nie znaczy to oczywiście, że lepiej bym wyszedł na wczesnym przybraniu zbroi, tak żeby nic



z dwudziestego wieku mnie nie zarażało, jak to zrobił pewien mój znajomy z młodości, zajmujący się już wtedy wyłącznie Platonem. Błędny i jałowy byłby to wybór. Tutaj *nota-bene* należałoby powołać się na burzliwość historii mało przychylne lepsze-  
mu rozeznaniu. Ale leniwiec tylko ośmieli się zrzucić odpowiedzialność na coś co jest poza nim.

Zmaganie się z osaczającą nas nicością nie jest nowe i człowiek był wystawiony na te próby w ciągu tysiącleci. Nigdy jednak chyba, od czasów cesarskiego Rzymu i cywilizacji hellenistycznej, nie był tak bezbronny. Są to następstwa przewrotu naukowego rozmiennego na drobne i działającego na wyobraźnię ludową w tej postaci. Możliwe, że olbrzymia większość ludzi podda się takim zniżającym naciskom, szukając najwyżej pociechy w cudownych eliksirach sprzedawanych przez hinduistycznych, buddyjskich czy satanicznych kaznodziejów.

### *Avaritia*

Zdawałoby się, nic powszechniejszego i nic bardziej klasycznego, od wieków. A jednak, jeżeli chciwość pieniędzy popychała do podbojów, do ucisku, jeżeli doszczętnie wytępiła wiele gatunków zwierząt i zagroziła całej planecie chemicznym zatruciem wód i powietrza, nie przybiera dzisiaj *avaritia* takich tylko form jakie były znane Dantemu. Wtedy ta wada cechowała zawsze daną, poszczególną, osobę, dzisiaj przesuwają się na mechanizmy od poszczególnych osób niezależne, a stosuje się to i do innych grzechów głównych, jakby wymykających się nazwaniu skoro oddzielają się od człowieka. Np. czy to skutek chciwości wielka korporacja naftowa zanieczyszcza swoimi tankowcami oceany? Jeżeli odpowiemy twierdząco, to dopatrzmy się chciwości tam gdzie nie ma żadnej osoby, a więc ani winy ani skruchy. Dyrektorzy? Ale oni działają nie jako ludzie tylko jako funkcja ciała zbiorowego, które nic innego nie ma na celu poza mnożeniem zysków. Za decyzje powzięte w imię innego celu niż zysk są karani. Mogą wprawdzie wyrzec się posad i zająć się czymś innym, nie zmieni to jednak działań ciała zbiorowego, które ustępuje jedynie przed siłą z zewnątrz.

Być może położenie dyrektorów takiej korporacji jest znamienne dla różnych, też znacznie niższych, szczebli społecznej drabiny. Ten czy ów Jones, Dupont albo Kowalczyk po cichu marzy o cnocie, trawki jadłby, wodę źródlaną by pił, chodziłby w worku przepasanym sznurem, przy czym ta jego tęsknota do ideału franciszkańskiego może być zupełnie szczerą, niestety został „schwytany” i nie ma odwrotu.

Nowe, bezosobowe odmiany chciwości mogłyby od biedy

uchodzić za jedną z przyczyn dla których przestała być ona tematem literackim. *Avaritia* jako złowroga namiętność bohaterów powieści ma całą swoją historię, mniej więcej równoległą z dziejami tzw. powieści realistycznej. Defoe, Dickens, Balzac, Zola znajdują na Zachodzie następców również w początku naszego stulecia, głównie wśród pisarzy amerykańskich. W Rosji *sriebrolubje* rozpoczyna swoją literacką karierę *Skąpym rycerzem* Puszkina, a niepoślednie miejsce zajmuje w biografii Dostojewskiego (chciał wygrać milion w ruletkę) oraz w prawie wszystkich jego utworach. Przewrót w technice powieściowej jakiego byliśmy świadkami przypaść na czas kiedy obok chciwca indywidualnego działał już chciwiec zbiorowy, bardzo trudny do opisanego. Ale też sama ucieczka od realiów życia sprawiła, że powieść przestała jakoś mówić o pieniądzu. I kiedy dzungla ludzka poraża nas dzisiaj swoim dzikim rozrostem, literatura, zajęta biernymi doznaniem i wrażeniami jednostki, stroni od wulgarnych pytań: „Kto z czego żyje, kto za co jest płacony?” Rzecz charakterystyczna, gniew intelektualistów amerykańskich, z rzadkimi wyjątkami niezależnych od rynku wydawniczego, bo żyjących z uniwersytetów, omija główny węzeł tj. rynek, a nawet, przeciwnie, godzi we wszelkie ograniczenia jego wolności, choć ta wolność w praktyce służy handlarzom-demoralizatorom. Działą prawdopodobnie tutaj potężne *tabu*, jeden z najbardziej tajemniczych społecznych termostatów, mocą którego rewolucyjny gniew na wszystko za co odpowiedzialność ponosi *avaritia* zostaje zmieniony w towar czyli tej samej *avaritii* pomaga.

Bardziej niż inne wady, ta właśnie, czy też jej brak, odsyła nas do niejasnych praw osobistego przeznaczenia. Sukces albo przegrana, mierzona pieniądzem, nie zdają się mieć jednoznacznego związku z chciwością czy skąpstwem, choć może najbardziej wolna od *avaritii* jest grupa pośrednia, tych którzy nie są powołani ani do ubóstwa ani do bogactwa. W tej pośredniej grupie sprawdza się na ogół zasada: mieć będziesz dokładnie tyle pieniędzy ile potrzebujesz, ale pod warunkiem, że ci na nich nie zależy.

### *G u l a*

Przykro myśleć o wszystkich pra-pra-dziadach oddających się obżarstwu i pijaństwu, i w ogóle przykro jest myśleć o genach, jakie się w sobie nosi. Świadomość, że ma się w sobie geny słowiańskie jest o tyle przygnębiająca, że „gust do kiszonych ogórków i do wrzasku” zdaje się ciążyć jak nieodwracalna *karma* i że skłonność do uctowania nie obywateli się bez konsekwencji,



które następnie odsyłane są zgrabnie do różnych geopolitycznych przyczyn. Prosty rachunek czasu spędzanego na ucztowaniu i przez to traconego dla myślenia, w ciągu stuleci, może tutaj wiele wyjaśnić. Idylliczne ucztowanie świadczyć może o niezdolności zniesienia świata takiego jaki jest, o tęsknocie do świata złagodzonego, zarazem jest jednym z głównych motywów pogardy wobec samych siebie, bo odraza do pijaków na ulicy zrasta się jakoś z odrazą do własnego zachowania się w niedawnej przeszłości. Niska samo-ocena, uzasadniona zresztą nie tylko tym, również zbiorową nieudolnością (tak że jedynie jednostki są energiczne) prowadzi z kolei do odruchów paranoidalnych — odrazę do siebie przerzuca się na „nich”, jakichkolwiek, którzy są wszystkiemu winni. W pewnym sposobie ucztowania należy przy tym dopatrzyć się czegoś innego niż sam gwar, głupie przechwałki i bełkoty. Nie tyle tu ważna nietrzeźwość, ile co wskutek niej się odsłania. A odsłania się wtedy u wszystkich ludzi mniej więcej to samo plus szczególne właściwości danego społeczeństwa. Te drugie właśnie mogą być powodem niskiej samo-oceny.

Pułapek zastawianych przez *gulę* starałem się unikać, z różnym powodzeniem. Niech to będzie uznane za zbyt już daleko posunięty zmysł praktyczny, ale odkryłem że można „skorzystać na nieprzyjaciela” tj. poddawać refleksji to co ujawnia się ile razy przebierzemy miarę. A ujawniają się odruchy, zachcianki, urazy i egotyzmy zbyt dla nas niepochlebne żebyśmy lubili o nich wiedzieć.

### *Luxuria*

Kiedy dochodzi do nieczystości czy rozwiązłości, każdy nadstawi ucha, trzeba więc z góry zapobiec takim oczekiwaniom. W braku innych ponęt, przede wszystkim ponęt samej pisarskiej sztuki, literaci prześcigają się dzisiaj w „szczeroci” i prawdopodobnie można by było wprowadzić nowy podział na styl wysoki i styl niski na tej podstawie. Szanujący się autor nie zniża się do takich sposobów, z czego zresztą wynika, że nie warto czytać tzw. beletrystyki bo w niej tylko bardzo nieliczni utrzymują się w granicach wysokiego stylu.

Marzenia o człowieku szczęśliwym, wyzwolonym, od dawna zwracają się przeciwko zakazom i hipokryzji, która chciałaby zapomnieć o władzy jaką ma nad nami *libido*. Pozbycie się hipokryzji niewiele jednak jeszcze rozwiązuje. D. H. Lawrence powiada, że pierwszy akt seksualny Adama i Ewy po Grzechu Pierworodnym nie różnił się niczym, fizjologicznie, od tego co robili wiele razy przed tym. Różnica polegała na tym, że teraz

każde z nich *widziało* tj. było świadome i swojego ciała i ciała swego partnera jako Innego, co więcej, świadome, że partner jest inną świadomością. Dlatego to po raz pierwszy poczuł wstyd, uświadomili sobie, że są nadzy i schowali się przed wzrokiem Boga. „A któż ci powiedział, że jesteś nagi?” — zapytał Adama Bóg. D. H. Lawrence szukał powrotu, chciał żeby człowiek był niewinny jak *przed* spożyciem owocu z Drzewa Wiadomości Dobrego i Złego. Nie tutaj miejsce na zastanawianie się w jakim stopniu może się to nam udać. Sam splot w Księdze Genezy: dwoje, jabłko czyli świadomość, wstyd, poucza, że w każdym razie słowa nasze nie potrafią zamieszkać w ogrodzie Edenu i że dziedzina literatury czyli dzieł umysłu może być w najlepszym razie strefa pograniczna, a więc to, co jest zaledwie *w pobliżu* miłości i śmierci w ich aspekcie niewinnie-fizjologicznym.

„Wyzwolenie seksualne” w drugiej połowie naszego stulecia ma niektóre cechy zagadkowe. Gwałtowność jego można chyba tłumaczyć reakcją na cały wiek dziewiętnasty, bo nie na okres bezpośrednio poprzedzający, skoro np. już lata mojej młodości tak znowu purytańskie nie były. Zgódźmy się, że przewroty obyczajowe nie odbywają się szybko, bo trzeba nieraz dekad tam gdzie tzw. masy dopiero przejmują jakiś wzorzec ogólny. Nawet jednak jeżeli z tym się zgodzimy, „wyzwolenie” zastanawia jakąś swoją frenezją, jakby to była „uczta w czasie dżumy”, czy że śmierć grożąca jednostce nabrała większej grozy, czy że dżuma ma zniszczyć gatunek. Frenezja ta ma swoje siedlisko nie tyle w gruczołach ile w umyśle, który wypełnia się ruchomymi obrazami bez ustanku narzucanymi z zewnątrz, podległymi z kolei dynamice swoich własnych form, to znaczy dawka jaskrawości musi być ciągle zwiększana. Taka frenezja nie może się zatrzymać i niewykluczone, że sama się zniszczy powodując złowrogą nudę. Możliwe jednak, że zapowiada nowy przewrót, który byłby dość paradoksalnym skutkiem tęsknot do niewinności i normalności. Pisano już zresztą w *science fiction* o takich obrazowo-węchowo-dotykowo sprowokowanych wyładowaniach zastępczych.

W *Boskiej Komедii* Beatrycze jest potężnym symbolem czyli dokładnie w tym samym stopniu rzeczywistą osobą i rzeczywistą ideą miłości ponadcielesnej, albo też ani jednym ani drugim, bo pojawia się zamiast nich, tak że nie mogą być rozdzielone. Ona też prowadzi Dantego na szczyty — dosłownie, bo na górę Raju Ziemskiego i wyżej — obejmując przewodnictwo tam gdzie kończy swoją rolę Wergili czyli naturalne czarnoksiężstwo sztuki.

Dzisiejsza wrogość wobec wszelkiej ascezy i nawet szczególnej zaciekłość z jaką się ją ośmiesza stanowi dostateczny powód żeby wyjawic pewien sekret. Boskie Sztuki Wyobraźni, jak je nazywał Blake, są posłuszne wezwaniom Erosa a zarazem niechętnie popę-



dowi prokreacji, rzeklibyśmy, zazdrosne. Konflikt jest całkiem poważny, bo sztuki żądają od swoich wiernych ciągłego dążenia bez nasycenia i narzucają im, czy chcą oni czy nie chcą, własną klasztorną regułę. Istnieje po temu dostateczna ilość świadectw, przy czym życiorysy artystów i osób mających doświadczenia mistyczne mogą być tutaj cytowane razem, skoro chodzi o to samo. Barwa i wyrazistość wszelkich „widzeń” we śnie albo na jawie zależy od szeregu warunków, jednym z nich jest wysoki próg erotycznej energii. „Niespełniona” miłość, poczynając od prowansalskich dam, które opiewali trubadurzy i ich florenckiej siostry, Beatrycze, po romantyczne biografie, świadczy, że cała dualistyczna tradycja, platońska, później odradzająca się u Albigenów, odpowiada jakiejś prawdzie naszej natury. Może nie naszej tj. nie człowieka w ogóle? Z dwóch rodzajów totalizmu, „przywalaający” byłby trwalszy niż „zakazujący”, bo w tym pierwszym sztuki wyobraźni uwiędłyby same.

Czesław MIŁOSZ

## Nowość

TOM 245 — BIBLIOTEKI « KULTURY »  
CZESŁAW MIŁOSZ

# GDZIE WSCHODZI SŁOŃCE I KĘDY ZAPADA

P o e z j e

Str. 96.

Cena F. 15 (dol. 3,50).

## Dziennik pisany nocą

Neapol, 9 czerwca 1974

W roku 1911 Paul Klee zilustrował *Kandydę*; jego rysunekczki są jakby opowieścią o konikach polnych. Utrafił w sedno tekstu Voltaire'a. *Kandyd* ma rytm oszalałej skakanki. Wszystko idzie ku lepszemu na tym najlepszym ze światów; to Pangloss. Wszystko idzie ku gorszemu na tym najgorszym ze światów; to Martin. Optymizm jest manią zapewniania że rzeczy układają się dobrze, gdy układają się źle; to sam, zmądrzały nieco, *Kandyd*. Przeznaczenie? Jeżeli istnieje, zna je tylko Bóg, tracimy więc niepotrzebnie czas na jego odgadywanie. Systemy filozoficzne? Przelewanie z pustego w próżne. Tkwi jakiś sens w tym co robimy? Hm, hm. A zatem czym jest nasze życie? Nałogiem skakania z miejsca na miejsce w pogoni za chimerami. Co pozostaje człowiekowi rozumnemu? Uprawiać własny ogródek.

Ktoś zauważył że od połowy XVIII stulecia — poprzez wojny, rewolucje i inne kataklizmy — największą trwałość zachowała końcowa melancholijna wskazówka Voltaire'a. Uprawiać własny ogródek, czyli nie dać się za nos wodzić „metafizyce”, mierzyć życie metrem „konkretną” pracy, uwolnić się od „transcendencji” dobra i zła. Długonogi *Kandyd* uTOROWAŁ drogę nowoczesnemu człowiekowi racjonalnemu.

Dziś czyta się wolterowskie arcydziełko, zastępując w wyobraźni koniki polne Klee szarańczą. *Il faut cultiver notre jardin* w dwa stulecia od narodzin słynnej maksymy oznacza nie tylko wypiąć się na „metafizykę” i „transcendencję”, wżerać się w małe z każdym dniem i wyżarte już prawie poletko, lecz nie widzieć i nie chcieć widzieć niczego i nikogo poza sobą samym. Współczesnym suplementem do *Kandydy* jest książeczka Konrada Lorenza *Die acht Todsünden der zivilisierten Menschheit*.



Z ośmiu grzechów głównych naszej cywilizacji najcięższy jest drugi, sformułowany przez Lorenza po angielsku: *not to get emotionally involved*. Nie dać się emocjonalnie wciągnąć, uwikłać, w nic co nas bezpośrednio i natychmiast nie dotyczy, w żaden sposób nie dopuścić by nam ktokolwiek czymkolwiek przeszkodził w uprawianiu własnego ogródka. Lorenz jednak, ze swoimi grzechami głównymi, należy do wymierającego gatunku wolterowskich Martinów; w opłotkach ogródków chętniej słucha się echa nauk nieśmiertelnego doktora Panglossa.

15 czerwca

Obojętne jak to nazwiemy — martwą pogodą, depresją, czy czarną passą. Choćby się przeżywało takie okresy regularnie, za każdym razem odzywa się w nas głos: nie, z tego już nie wybrnę, to koniec. Groza martwej pogody, próżni której nie zakłóca najłżejszy podmuch wiatru, tkwi właśnie w przekonaniu o jej nieodwracalności. Nie pomagają doświadczenia przeszłości, próby pocieszeń: „bywało gorzej a jednak mijało”, autoperswazje: „trzeba cierpliwie przeczekać”. Więcej nawet — pocieszenia drażnią i rozjątrzają (zwrócił na to uwagę bodaj Kirkegaard). Na depresję nie działają środki uśmierzające, skoro jej istotą jest ciągłość bólu. Gdy stan depresyjny przedłuża się w rozpacz, duszę ogarnia noc. Czasem zapala się w niej światełko wiary; częściej dojrzewa samobójstwo, które być może wolno określić jako akt religijności negatywnej. Człowiek jest porażony (i przerażony) poczuciem własnej skończoności. I dwójako na nie reaguje: albo z pokorą oddaje się w ręce Boga, albo z wściekłością kieruje rękę przeciw sobie.

20 czerwca

De Custine: „Europa — mówi się w Petersburgu — wkracza na drogę, którą poszła Polska: osłabia się czczym liberalizmem, gdy my pozostajemy silni właśnie dlatego że nie jesteśmy wolni. Z cierpliwością zносimy nasze jarzmo. Kiedyś każemy Europie zapłacić za naszą hańbę”.

Bardziej efektowne niż prawdziwe, ale coś w tym jest. Tak zresztą w większości wypadków odczytuje się „profetycznych” pisarzy politycznych.

23 czerwca

O tradycji „czczego liberalizmu” można by do rana. Świeży

przykład, list Brodskiego. Sześć lat temu, gdy był jeszcze w Rosji, zaproszono go do udziału w Festiwalu Dwóch Światów. Związek Pisarzy Sowieckich, do którego zwrócili się organizatorzy Festiwalu w Spoleto, odpowiedział że poety o takim nazwisku nie ma w ZSSR. W tym roku, ponieważ wygnanego z Rosji poety nazwiskiem Brodskij łatwo już było odnaleźć w Stanach, zaproszono go ponownie do udziału w Festiwalu. Przyjął zaproszenie. Anulowano je w kilka dni później pod naciskiem ultimatum sowieckiego: albo Brodskij, albo nasz balet na którym wam chyba zależy. Oczywiście wygrał balet. „Nie odczuwam goryczy wobec tego incydentu i nie chciałbym, aby interpretowano mój list jako skargę ofiary. Doskonale rozumiem postępowanie władz sowieckich. Znacznie mi trudniej zrozumieć postępowanie organizatorów Festiwalu”.

Zaprzyjaźniony dziennikarz włoski przysłał mi odpis tego listu z jednym słowem komentarza: Spoleto. Nie „kiedyś” każemy Europie zapłacić za naszą hańbę”; ratalna zapłata odbywa się od bardzo dawna, ostatnio wzrosła jedynie wysokość rat.

7 lipca

Cudowna historia Petera Schlemihla Chamisso, nowela o człowieku który diabłu sprzedał swój cień, była różnie interpretowana. W ładnym szkicu Tomasza Manna o Chamisso czytam o pierwotnej interpretacji, którą szybko zarzucono: człowiek bez cienia to człowiek bez ojczyzny. Chamisso był Francuzem zadowolonym w Niemczech, gdzie zapuścił korzenie i wyrósł na wybitnego pisarza niemieckiego (w ówczesnej Europie nie nadużywano pojęcia „wykorzenienia”, jest ono faworytem naszych czasów; przypominam sobie że Kissinger, gdy był dyrektorem Harvard Summer School, załatwił odmownie moje zgłoszenie opinią: *rootless exile*; jego sowieccy koledzy po fachu ryczą w podobnych okolicznościach: *biezrodnyj kosmopolit*). Ustalono w końcu klucz, który w braku cienia kazał widzieć brak „solidnej” pozycji społecznej. Pierwotne wytłumaczenie wydaje mi się bliższe prawdy. U pozbawionych fizycznie ojczyzny rodzime korzenie przechowują się dobrze aż do śmierci, a bywa i tak że w obcej glebie puszczają nowe oryginalne pędy. Natomiast z cieniem jest rzeczywiście gorzej. Trudno to wyjaśnić, może nawet nie sposób wyjaśnić nie odwołując się do bardzo mglistych doznań, ale sam dość wyraźnie odczuwam utratę cienia. I często jak tępo obolałe miejsce po amputacji (w noweli Chamisso diabeł odcina Schlemihlowi cień nożycami). Nie chodzi o to, że cienie emigrantów politycznych są tropione i ciachnięciami urzędowych



nożyc odcinane w kraju. Chodzi o coś niejasnego właśnie, co napętnia mnie jak Schlemihla goryczą i zazdrością ilekroć przeglądam się intensywniej mojemu włoskiemu otoczeniu. Jest w noweli Chamisso znaczący epizod. Schlemihl błaga znajomego malarza, by mu domalował sztuczny cień. Malarz patrzy nań przenikliwie i wzrusza ramionami: „Według mnie najsensowniejszą rzeczą jaką może uczynić człowiek, który nie posiada cienia, jest wystrzegać się słońca”. Człowiekowi wyzutomu z cienia zaleca się przebywanie w cieniu.

Jeszcze *à propos* „wykorzenia”. Conrad, nazywany Kosmopolakiem przez Andrzeja Bobkowskiego, rozmawiał i pisał po polsku niezmiernie rzadko (od Russella wiem że powożąc pokrzykiwał na konia w „dziwnym języku”, podobno też majaczył po polsku w agonii). Na początku lat dwudziestych Leon Piwiński posłał mu odbitkę szczotkową swego przekładu *Il Conde*, z prośbą o rzucenie okiem. Conrad, nie bez onieśmielenia, odesłał szczotki z propozycjami poprawek. Wszystkie świadczyły o znakomitym wyczuciu „starego języka”.

10 lipca

Nareszcie zmęczyłem nową ogromną powieść Elsy Morante, pisarki którą cenię i lubię, pod bardzo ambitnym tytułem *La Storia*. Recenzenci pieją z zachwytu, przeważnie bałamuctwa o posmaku zorganizowanego klakierstwa. Morante ma dar narracji „bajkowej”, delikatny i uroczy, niezwykle na tle współczesnego włoskiego realizmu (jeśli nie liczyć Calvino z najszcześliwszego okresu). Wydarzenia lekko przymglone w czasie, ograniczona ilość postaci, wątków i motywów — i cud mityzacji spełnia się na naszych oczach, opowiadanie jak gdyby opowiada się „samo” poprzez medium poety. W *La Storia*, powieści o gwałcie zadawanym ludziom przez Historię, jest tego mało, skąpe przebliski dawnej świetności. Całość rozlewa się po naszej nieostygłej wciąż epoce, płynie leniwie płytką wodą relacji raz po prostu gazetowej raz zbyt manierycznej, zatapia tak u Morante naturalną konstrukcję „bajkową” odcinkowym *roman-fleuve*. Smutne rozczarowanie. Co tutaj zapisuję na wypadek windowania *La Storia* do nagrody Nobla. Że pierwszy byłem przeciw.

19 lipca

Każda dobra proza ma swój kanon, ale przy określaniu go uciekamy się zwykle do skrótów obrazowych czy metaforycznych.

Jaki jest kanon *Archipelagu*? Kruczek pisze o „blasku” prozy Sołżenicyna: ostatnie słowo jakim ja bym ją określił. Zwłaszcza teraz, przeczytawszy drugi tom, widzę prozaika kopiącego z uporem i gniewem twardą, skamieniałą, zamrożoną ziemię, która kryje kości milionów zamęczonych i zamordowanych. Nawet wyrazy pisane wielkimi literami (słyszę od M. że zgorszyły one wykwintnych literatów paryskich w telewizyjnej debacie o książce) spełniają w tym obrazie swoją rolę: są, co pewien czas, jak uderzenia kilofem lub łomem. Dla mnie, co tu ukrywać, lektura dusząca: znowu inny świat, zakopany archipelag umarłych, wynurza się z pamięci.

Tłumaczyć taką prozę jest imprezą równie katorżniczą, jak pisać ją. Zajrzałem do dwóch przekładów: włoskiego i angielskiego, poprawnych czyli nijakich. Nikt do pasa nie dosięgnie naszemu Kaniowskiemu, tłumaczowi świetnemu, o uchu wyczulonym na najdrobniejsze odcienie sołżenicynowskiej kopaniny. Naturalnie zawodowi pchlarze, perfekcyjniści i strażnicy polszczyzny wylizanej, zapolują na błędy i potknięcia. Tysiące czytelników, dziesiątki albo i setki tysięcy słuchaczy polskiego *Archipelagu*, zaciągnęły wobec Kaniowskiego dług wdzięczności.

20 lipca

Sołżenicyn powiada: „W NRF w 1966 roku liczba ukaranych sądownie przestępców hitlerowskich doszła do osiemdziesięciu sześciu tysięcy. A my głosujemy, że za mało! U nas natomiast skazano około dziesięciu osób... Tymczasem gdyby osiemdziesiąt sześć tysięcy zbrodniarzy hitlerowskich przetłumaczyć na nasze proporcje, byłoby u nas ćwierć miliona własnych zbrodniarzy. Nie szukaliśmy ich, nie ciągaliśmy ich po sądach; boimy się jątrzyć ich rany... Oto zagadka: dlaczego Niemcy otrzymali przywilej ukarania swoich zbrodniarzy, a my Rosjanie nie?”.

Za swoisty symbol uważa Sołżenicyn „prześniętego naszą krwią Mołotowa”, który codziennie rano wychodzi statecznym krokiem z domu i wsiada do długiej limuzyny. Mógłby dodać, że po przeciwnej stronie symbolicznym odpowiednikiem Mołotowa jest Hess od trzydziestu lat więziony w pustym Spandau. Nikomu do głowy nie przyjdzie na Zachodzie powiedzieć głośno: dosyć, zwolnić go, odsiedziało już swoje. Beata Klarsfeld planuje porwanie gestapowca Lischki. Żebyż przy okazji padło choć jedno, czysto platoniczne, słowo o Lischkach z NKWD wygrzewających stare spracowane gnaty na ławkach miast i miasteczek sowieckich! (Sołżenicyn: „Mamy obowiązek wszystkich ich znaleźć i wszystkich postawić przed sądem. Sądzić trzeba już nie tyle ich,



ile ich zbrodnie. Niech każdy z nich powie: tak, byłem katem i mordercą"). Symboliczny jest również Nixon, który składa hołd w Chatyniu odwrócony plecami do Katynia. Jakby jego ręką Breżniew trzasnął w mordę rodaków ofiar katyńskich, dla przypomnienia im „na jakim świecie żyjemy”.

Ten świat ze łatwo zbyć „odwieczną mądrością” o zwycięzcach i pokonanych. Zawziętość, z jaką ściga się i oskarża wyłącznie zbrodniarzy hitlerowskich, ma rzecz prosta swoje uzasadnienie polityczne w sprawiedliwości egzekwowanej przez zwycięzców od pokonanych. Ale ani to nie wyczerpuje sprawy, ani nie wyjaśnia całego zjawiska. Z psychologicznego, moralnego i prawnego punktu widzenia jednokierunkowa zawziętość w stosunku do Niemców jest formą kompensacji: świadomej lub prawie w bloku sowieckim, pół- lub podświadomej na Zachodzie. Jeżeli istnieje w ogóle coś takiego jak „sumienie świata”, musi ono być chore. W trzydzieści lat po wojnie Niemcy, jedyni winowajcy naszej historii, są ciągle plastrem na chore „sumienie świata”. I prawdopodobnie nie prędko przestaną nim być, bo mało jest widoków na to by „sumienie świata” wróciło do względnego zdrowia.

### Dragonea, 23 lipca

Wakacje zacząłem od krótkiej wycieczki. Świątynie w Paestum, ze stadem bawołów na łące od strony Agropoli: jak stary sztych, odkurzony strugą porannego światła. Potem *Parco Marino*, Park Morski, w Castellabate. Niegdyś takie morze oglądało się w okolicach Neapolu. Dzisiaj premiuje dwustukilometrową wyprawę w probówce „rezerwatu”.

Wieczorem wizyta sąsiadów. Wino prowadzi tu zawsze do opowiadań o olbrzymich węzach: z rogami na łbie i bez, opierzonych i nie, pokrytych łuską twardości pancerza, pijących spokojnie wodę w strumieniu i atakujących przechodnia, postrzelonych i chybionych. Dragonea jest wierna swojej nazwie, którą zrodziła legenda o siedmiogłowym smoku w grocie na drodze do Opactwa w Cava.

Jeszcze w zeszłym roku zastanawiałem się co najbardziej wzrusza mnie w Dragonei, co (powiedziałbym nawet) pozwala mi w dzień po przyjeździe „wysapać się nerwowo”. Dwie rzeczy: gdy po północy *Casa Rossa* tonie w ciemnościach, jakby uniosły się do góry mosty zwodzone łączące ją ze światem, a psy po tamtej stronie wawozu odzywają się natrętnym szczekaniem; i gdy wstaje świt za Górą Krzyżową — ospały, przetarty, triumfujący. Teraz wiem dlaczego. Po śmierci matki takie były kilka

lat klamry mojego życia w S. Dojeżdżałem do szkoły w K. pociągiem, wiosną wychodziłem z domu ze świtem, przecierał się podczas mojego marszu przez las, wybuchał jasnością kiedy biegiem wpadałem na stację, widząc dym pociągu za wzgórzem w stronie R. Do S. wracałem o zmroku i natychmiast waliłem się spać. Budziłem się po północy do odrabiania lekcji. Nasz dom był pograżony w ciemnościach, odcięty od świata, za stawem i za rzeką szczekały psy. Więc to tak, więc w Dragonei przyłapuję ocalały kawałek mojego cienia w przeszłości? Więc ta wypływała resztką wzrusza mnie i pozwala mi wydłużyć oddech?

### 26 lipca

Pisząc w dzienniku o *Poncjuszu Piłacie* Caillois i o „piłatowym” wątku w *Mistrzu i Małgorzacie*, nie wiedziałem że przed laty sporą sławą cieszył się *Prokurator Judei* Anatola France’a. Współczesnym France’a podobało się widocznie jego „proste rozwiązanie sprawy”. Rzecz dzieje się „u wód” w Baia, uzdrowisku pod Neapolem. Na starość Piłat leczy tam swoją podagrę, nudzi się piekielnie, szuka towarzystwa, jest upozowany na urodzonego i zgorzkniałego z wiekiem pechowca. Znajduje towarzystwo w osobie przypadkowego spotkanego obywatela nazwiskiem Lamia, znajomego z judejskich czasów. Zaprasza go na obiad. Przy butelce *Falerno* narzeka na rozmaite niepowodzenia, palcem wskazuje winnych swojej „złamanej kariery”. Do głosu dochodzi Lamia. Z judejskich czasów najlepiej pamięta czerwonołusą tancerkę syryjską. Ach co za babka, co za babka, palce lizać! Włóczył się za nią z miejsca na miejsce, stracił dla niej głowę. I pewnego dnia stracił ją również z oczu. Podobno przystała do gro madki oberwańców, zapatrzonych w młodego cudotwórcę galilejskiego. Na imię mu było Jezus. Pochodził z Nazaretu, ukrzyżowano go w końcu za jakąś zbrodnię. Poncjuszu, przypominasz sobie tego człowieka? Piłat długo myśli, pociera z wysiłkiem czoło i odmrakuje w odpowiedzi: Nie przypominam sobie.

Nowela France’a byłaby niezła w przeróbce scenicznej na deskach teatrzyku studenckiego. Ale *habent sua fata libelli*. Joyce w liście z Rzymu do brata donosi, że opowiadanie *Umarli*, ostatnie z cyklu *Dublinczyków*, napisał pod wpływem utworu France’a. Nie wymienia jego tytułu. Wszechwiedzący Ellmann sugeruje (czy na podstawie innych materiałów bezspornie ustala), że tym utworem był *Prokurator Judei*. Jeśli tak, to Joyce zapożyczył od francuskiego ironisty tylko jeden motyw, który zresztą jest jedynym poetyckim motywem *Prokuratora Judei*: rozmijan



się i przelotnego momentu wstrzymania czasu w klepsydrze z osypującym się piaskiem.

30 lipca

Michała Chmielowca wszyscy zgodnie nazywają w artykułach pośmiertnym człowiekiem pięknym i czystym, i mają rację. Nawiazaliśmy znajomość korespondencyjną tuż przed wojną. Był filarem krakowskiego tygodnika *Nasz Wyraz*, w którym i ja coś wydrukowałem. Zapowiadał się na tęgą krytykę poezji, ze skłonnością do analiz „laboratoryjnych”; na niego, wśród najmłodszych, „stawiał” Irzykowski. Po wojnie rozpisano w Rzymie konkurs na omówienie dowolnie wybranej książki z listy wydawniczej *Biblioteki Orła Białego*. Jedną z prac, nadesłana bodaj z Indii, była poświęcona mojej książeczce *Żywi i umarli*. Brzmiała jak list do Biura Poszukiwań Zaginionych. Jej autor wzywał autora książeczki do odnowienia znajomości. Odnaleźliśmy się, do pierwszego spotkania doszło jednak dopiero po paru latach w Londynie. Na zakończenie długiej rozmowy powiedział z uśmiechem, tak u niego przyjaznym i serdecznym, że co w literaturze nie nadaje się do czytania i powtarzania w myśli jako szczególna odmiana modlitwy, dziękczynnej czy bluźnierczej lecz angażującej całego człowieka, nie jest warte papieru na którym zostało napisane. Złagodził później swoje wymagania i oczekiwania, ale pozostał mu z nich w głębi ducha pobłażliwie sceptyczny dystans wobec pisarstwa własnego i innych.

2 sierpnia

„Człowiek, jak wiadomo, może być księciem lub ostatnim z jego sług. W państwie nowoczesnym powiedzielibyśmy: sekretarzem generalnym, lub ostatnim z jego nie-wyborców. Nie ma potrzeby rozwodzić się która z tych dwóch możliwości jest prawdopodobniejsza. Położenie nieboraka na najniższych szczebelkach drabiny społecznej wyraża się absolutną niemocą. Kto znajduje się najniżej żyje w smutku, gdyż podporządkowano go wszystkim, a sam nie panuje nad nikim. Jeśli natomiast ma pod sobą choćby jedną istotę, świat zmienia się w jego oczach. Zdaje mu się że rozrzedziła się naraz struktura społeczna, że jego dolna granica oddaliła się o długość konia, o wysokość krowy, o wielkość psa. Kto przez całe życie czuł się psem, w dniu gdy mu darują psa może wreszcie rozkazami i kopniakami trzymać w ryzach kogoś innego. A ponieważ może go nawet zabić, jest cał-

kiem prawdopodobne że sobie to zakonotuje w pamięci na długo. Od czasu do czasu ulży sobie kopniakiem, ale po sekundzie ogarnie go litość. Litość, narodziła się litość! Współczucie! Biedne, kochane bydlę, do nogi, w gruncie rzeczy jesteśmy w tej samej sytuacji!”

Kluczowy fragment znakomitej powieści Ludwika Vaculika *Świnki morskie*. Vaculika, który był autorem *Dwóch Tysięcy Słów*. Powieści, którą oczywiście cenzura praska ze zgrozą odrzuciła i skazała na żywot w przekładach.

Fragment jest wykładem filozofii ogólnej leczenia ludzkiej „niemocy absolutnej” za pomocą zwierząt. W powieści ilustracją fabularną filozofii „socjalistycznych” *under-dogs* są nie psy, lecz świnki morskie. Vaculik uzyskuje w ten sposób coś w rodzaju „efektu Gullivera”. Kto na kim przeprowadza eksperymenty? Bohater na świnkach morskich, czy świnki morskie na bohaterze? Prawda, następuje upragnione „rozrzedzenie struktury społecznej”, kopany może też kopać, dręczony może też dręczyć, zachcianka litości staje się odkupionym od państwa za parę groszy (w sklepiu gdzie państwo sprzedaje swoim obywatelom zwierzątka domowe) ochłapem człowieczeństwa. Ale nad powieścią Vaculika wisi niewypowiedziany sąd świnek morskich: ten ogromny, obrzydliwy, ugniatany przez innych, sfrustrowany cham usiłuje naszym kosztem odzyskać twarz, którą możemy mu przywrócić tylko w jeszcze większym i obrzydlivszym wymiarze chamskim.

Pisarze czescy, zapewne dlatego że dłużej i bardziej na serio od polskich brali „socjalizm” według scenariusza Starszego Brata, są zacieklejsi i docieklwsi w jego demaskowaniu. W Polsce takie próby (skromniejszego formatu) widać w *Kalaliach* Madeja i u młodych poetów: Krynickiego, Bierezina, Barańczaka, Mroзовskiego.

5 sierpnia

Słowo *Golem* użyte jest w Piśmie Świętym raz, w jednym z psalmów. Współczesny komentator wyjaśnia: coś bezkształtnego, egzystencja która poprzedza esencję. W praskiej legendzie *Golem* był robotem, stworzonym przez rabina Löwa: posłusznym rozkazom, dopóki ma w zębach kartkę z magiczną formułą stworzenia; niszczącym na oślep wszystko dokoła, zbuntowanym przeciw własnemu stwórcy, gdy kartka wypada mu z zębów. Za pośrednictwem *Golema* dałoby się opisać przygody egzystencjalizmu w jego przeróżnych wcieleniach. Jesteśmy w fazie zgubionej



kartki. Wolność obojętności, wolność najniższego rzędu, podsyca pasję ślepego zniszczenia.

6 sierpnia

Nie widziałem wczoraj gazet. W dzisiejszych — masakra pod Bolonią, wybuch bomby w wagonie pociągu Rzym-Monachium, dwanaście osób zabitych. Wstrząsające sprawozdania; w artykułach i oświadczeniach urzędowych powtarza się wciąż zwrot „strategia napięcia”: kraj, w którym słychać codziennie gospodarcze i polityczne trzeszczenie w szwach, jest nękany terroryzmem przez tajną i pozbawioną wszelkich skrupułów centralę faszystowską, w nadziei że pęknięcie jednego szwu będzie dla wojskowych ostrogą do zamachu stanu. Nie wierzę w włoskich pułkowników, ale mniejsza o to (mogę się przecież mylić). W „strategii napięcia” razi mnie tendencja do ujmowania zjawisk głębszych, i właśnie przez to bardziej niepokojących, w kategoriach wyłącznie gry. Nawet gdyby przyjąć (a tym razem rzecz wydaje się niemal pewna) że bombę podłożył „bojowiec” z Brygad Czarnych, nie przestanę myśleć o ich zrostach i splotach z Brygadami Czerwonymi. Istotne są narodziny nowego typu wilka stepowego we Włoszech: nienawidzi wszystkich i wszystkiego trawiony gorączką na pograniczu obłądu, zabijanie traktuje jak igraszkę jeśli nie jak emocjonujący sport, pożera łapczywie literaturę o masowych mordach i eksterminacjach, pluje na religię, gardzi „frazesami i hipokryzją demokracji”, przemierza sobie tylko znanymi tropami fanatyzmu pustynię moralną. Prasa podaje sporządzony przez policję *identikit* rysunkowy dynamitarda; uderza w nim zupełna bezużyteczność, mydlenie oczu pozorami śledztwa, brodzenie po omacku w ciemnościach. Żaden dziennik włoski nie pokusił się o *identikit* psychologiczny czarno-czerwonego wilka stepowego. Wygodniej pisać o „strategii napięcia”.

A *vox populi*? Wybrałem się do baru na rynečku dragoniejskim. Nie mówiono tam o „strategii napięcia”, mówiono (a raczej krzyczano) cały czas o karze śmierci. Że trzeba ją niezwłocznie wprowadzić, że schwytanego potwora trzeba bez sądu powiesić, że w ogóle czas już najwyższy by na włoskich placach miejsce pomników i fontann zajęły szubienice. Nie poznaje się przeciętnych Włochów, łagodnych z usposobienia, niechętnych ekstremom... Zachodnia, spóźniona wersja *Biesów*.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

## Archiwum polityczne

### O "détente"

Nie ma sensu mówić o rozpadzie czy kryzysie tzw. polityki *détente*. Jeśli ma ona oznaczać odprężenie na zasadzie wzajemności, to można przyrównać ją do ozdobnego tytułu wytłoczonego na odkładce książki, której nikt nie napisał. Pozostała nazwa i pozór, że coś w istocie przełomowego nastąpiło.

Że nic nie nastąpiło w kierunku odprężenia między Sowietami a Ameryką, dowodzi blisko 2 i pół letni okres, który dzieli nas od przedostatniej wizyty Nixona w Moskwie. Na ten temat pisano już tak wiele, że właściwie nie należałoby już pisać wcale, gdyby nie wydarzenia ostatnich miesięcy, które dla celów niniejszego artykułu warto przypomnieć. Jako dowód bezgranicznej łatwowierności nie tylko amerykańskich polityków ale i organów wywiadu wojskowego USA w przyjmowaniu solennych zapewnień Breżniewa z okresu pierwszego moskiewskiego spotkania na szczycie, może służyć ich pierwsza reakcja na wybuch wojny na Bliskim Wschodzie w październiku 1973 roku: „Gdy sowieckie samoloty rozpoczęły ewakuację rosyjskich rodzin z Egiptu 4 października na 2 dni przed atakiem egipskim na Izrael, niektórzy specjaliści amerykańskiego wywiadu odczytali to jako sygnał dalszego zaostrzenia się stosunków sowiecko-arabskich, którego pierwszy akt (w postaci wyrzucenia sowieckich ekspertów i doradców z Egiptu — dop. Red.) rozegrał się w 1972 roku. Rankiem 6 października, już w dniu wybuchu wojny, najbardziej autorytatywne raporty wywiadu amerykańskiego sugerowały, że konflikt nie jest nieunikniony. Gdy wojna wybuchła, kolejne raporty przekazały informację, że to Izrael zaatakował państwa arabskie<sup>1</sup>”.

1. Artykuł Theodora Drapera, *Commentary*, czerwiec 1974, str. 38. Według innej relacji, przedstawionej w *New York Time Magazine* z dn. 23-go



Jak wynika z zacytowanego ustępu, ani politykom ani wojskowym z wywiadu nie przyszła do głowy myśl o możliwej nielojalności ze strony sowieckich partnerów *détente*. Otrzeźwienie przyszło później — gdy trzeba było zapobiec lądowaniu w Egipcie 50-tysięcznej armii sowieckich spadochroniarzy, co w efekcie zmusiło Stany Zjednoczone do zarządzenia pogotowia sił lądowych, morskich i powietrznych.

Historia ostatnich dwóch lat — włączając w to sowieckie wysiłki rozszerzenia wojny na Bliskim Wschodzie i późniejsze próby Gromyki w Damaszku storpedowania misji Kissingera — powinna ukazać politykom amerykańskim — jak sowiecka strona rozumie *détente*. Czy ukazała — nie wiem. Nie wskazują na to ani głosy większości senatorów ani kongresmenów, nie mówiąc już o telewizji amerykańskiej, która atakuje Nixona za wszystko co zrobił i czego nie zrobił, z wyjątkiem *détente*. Odprężenie z Sowietami — to złote jabłko, które należy zachować jako trwałą zdobycz polityki amerykańskiej, nawet po pozbawieniu Nixona Prezydentury i ewentualnym zamknięciu go w kryminale.

Obecne skuteczne eliminowanie Sowietów z krajów arabskich nie jest oczywiście wyłącznym rezultatem zdolności dyplomatycznych Kissingera i inicjatywy Nixona, ale działaniem starej i do znudzenia powtarzanej zasady: że dyplomacja, nie wsparta siłą, nie znaczy nic. Gdyby nie minowanie portu w Haiphongu w 1972 roku, po którym Sowiety musiały położyć uszy po sobie; gdyby nie zarządzony przez Radę Obrony Stanów „alert” w październiku 1973 roku, nawet setce Kissingerów nie udało się przeciągnąć Sadata i innych władców arabskich na swoją stronę. Sama arogancja i brutalność Sowietów — której przywódcy arabscy mieli powyżej uszu — nie wystarczyłaby. Potrzebna była alternatywa. Tą alternatywą mogły być Stany Zjednoczone, które przynajmniej w pewnym momencie przestały zachowywać się jak pokorne psisko trzymane na łańcuchu *détente*, ale potrafiły jeszcze pokazać pazury. Wyeliminowanie wpływu Rosji z krajów arabskich — o ile zostanie ostatecznie sfinalizowane — uznać należy za jej największą klęskę ostatniego dwudziestolecia.

Jak widać z tego *détente* — które po nieprzyjemnych doświadczeniach amerykańskich z ub. roku na Bliskim Wschodzie

czerwca 1974, pióra Marvin'a i Bernarda de Kalb, wprawdzie wywiad wojskowy Stanów Zjednoczonych nie miał wątpliwości ani co do zbliżającej się wojny na Bliskim Wschodzie ani kto w niej będzie napastnikiem, natomiast liczył na interwencję pokojową ZSSR. Kompletnym zaskoczeniem były sowieckie transporty broni od pierwszego dnia konfliktu, nie mówiąc już o wysiłkach Breżniewa, aby wciągnąć do czynnej akcji jak największą ilość państw arabskich, wśród nich — Algierię.

stało się swym własnym zaprzeczeniem — dało wcale niezłe rezultaty jeśli chodzi o ukrócenie prób ekspansji sowieckich.

Żeby jednak *détente* przestała być tym, czym chce je widzieć Politbiuro — czyli zwołna postępującą kapitulacją Zachodu wobec Rosji — potrzebna jest ze strony kontrahentów wola przeciwstawienia się groźbom i szantażom. Można by sądzić, że ostatnie wydarzenia z tego rejonu świata powinny być źródłem inspiracji dla Europy Zachodniej. Niestety, tak nie jest. Europa jest w dalszym ciągu nie tyle partnerem w *détente* — ile obiektem cierpliwych zabiegów sowieckich. Oczywiście skłócone kraje Europy Zachodniej, nie rozporządzając tą potęgą militarną, którą dysponują Stany, nie mogłyby równie skutecznie jak Ameryka przeciwstawić się Rosji.

Dyskusowanie możliwości przeciwstawienia się Europy Zachodniej Rosji w takim kontekście, jakby w ogóle nie istniało już NATO, a w Europie nie było dywizji amerykańskich, może wydawać się dziwne. Niestety, takie są realia chwili obecnej i na razie niewiele je zmieniły deklaracja brukselska krajów NATO z okazji wizyty Nixona w drodze do Moskwy, oraz wizyty i konsultacje Kissingera z premierami i ministrami Włoch, NRF, Belgii i prezydentem Francji. Jeśli Europa Zachodnia z Francją na czele, przerażona groźbą arabskiego embarga naftowego, nie życzyła sobie żadnej ingerencji Stanów, pragnąc za wszelką cenę dogadać się z arabskimi władcami — i to nie zbiorowo, ale indywidualnie — to można sobie wyobrazić jaką panikę zapanowałaby w wypadku jakiegoś szantażu ze strony znacznie potężniejszego kontrahenta jakim są Sowiety. *Albowiem sedno sprawy nie tkwi ani w słabości ani w rozbiciu Europy. Jedno i drugie to tylko skutki jej absolutnej niechęci do podejmowania jakiegokolwiek ryzyka konfrontacji z sowieckim imperium.* Nie należy też zbyt serio brać niektórych deklaracji mężów stanu i publicystów jakoby wierzyli szczerze w to, że ekspansjonizm sowiecki stracił ducha agresji i przestał być groźbą dla Zachodniego świata. Kto nie chce walczyć z napastnikiem — zwłaszcza gdy ten nie przykładą mu noża do gardła, ale używa bardziej subtelnych metod — temu najwygodniej jest udawać, że nie dostrzega jego zaborczych zamiarów.

Z drugiej strony te same Stany Zjednoczone, które na Bliskim Wschodzie przeprowadziły grę dyplomatyczno-wojskową niemalże bezbłędnie, są w dalszym ciągu oficjalnym rzecznikiem owego urojonego *détente*, które w przypadku Europy może być tylko instrumentem szantażu w rękach Sowietów. Dysproporcja między potencjałem Ameryki i Europy Zachodniej są zbyt wielkie, żeby doświadczenia blisko-wschodnie mogły znaleźć pełne zastosowanie w tym rejonie świata, który z punktu widzenia na-



wet najbardziej egoistycznie pojętych interesów Ameryki jest dla niej wielokrotnie ważniejszy od państw arabskich. Nawet przy uwzględnieniu wszystkich implikacji naftowych, które rykoszetem rzutują tak fatalnie na stosunki Europy Zachodniej ze Stanami.

Dla KPZS — porażka blisko-wschodnia nie jest jednak nadmiernie ciężkim ciosem. Jest po prostu jednym krokiem w tył, co zdarzało się już nieraz w historii ZSSR. Zresztą przywódcy na Kremlu potrafią robić dobrą minę do złej gry zwłaszcza wobec własnego narodu, któremu np. rozdzielenie sił izraelskich od syryjskich przedstawiono jako sukces pokojowej polityki Sowietów. W czasie wizyty Nixona w Moskwie u Breżniewa obydwaj panowie tak byli rozpromienieni, jakby w ogóle nic się w ciągu ostatnich kilku miesięcy nie zdarzyło i jakby obecność Nixona była normalną kontynuacją tak chwalebnie zadzierzgniętych węzłów przyjaźni sprzed dwóch i pół lat. Bo też to co oferował Moskwie Nixon w imieniu amerykańskich producentów — od których miał niewątpliwie coś w rodzaju *carte blanche* — jest znacznie więcej niż rekompensatą za blisko-wschodnie przykrości. W całej sprawie wznowienia kontaktów handlowych nie jest ważna taryfa najwyższego uprzywilejowania — czyli to na jakich warunkach Sowiety będą eksportować do Stanów, bo w ogóle ważny jest nie sowiecki tylko amerykański eksport<sup>2</sup>.

Umowy handlowe zawierane przez ZSSR i amerykańskie firmy, których wszystkie szczegóły nie są na razie znane, nie ograniczają się, rzecz jasna, do eksportu artykułów przemysłu konsumpcyjnego. Amerykańscy biznesmeni gotowi są sprzedać wszystko: od Pepsi Cola do najbardziej nowoczesnych urządzeń z zakresu elektroniki. Nie można się im dziwić, ponieważ profesją ich jest zysk, a nie troska o to co będzie z nimi i z ich pieniędzmi w bliżej nieokreślonej przyszłości. Ale owi energiczni biznesmeni mają za sobą błogosławieństwo Prezydenta i Sekretarza Stanu. Poprawiają oni skutecznie liczne „niedociągnięcia” gospodarki sowieckiej, przede wszystkim zaś jej infrastrukturę, która pozostała jedną z najdotkliwszych pięt achillesowych Kraju Rad. Poza telekomunikacją, która ulegnie znacznej modernizacji (znając sowiecką hierarchię celów, nie ma wątpliwości, że głównie pod kątem widzenia potrzeb przemysłu i wojska), Amerykanie zamierzają sprzedać najnowocześniejsze maszyny do rozbudowy maksymalnie przelotowej sieci drogowej. Wystarczy spojrzeć na mapę Północnej i Środkowej Syberii, żeby przekonać się

2. Tylko taryfa najwyższego uprzywilejowania i ewentualne kredyty federalne dla finansowania dostaw amerykańskich firm wymagają parafy Kongresu. Poza tym wystarczają zwykle licencje eksportowe, które wydaje Sekretarz Handlu. Długa lista tzw. towarów strategicznych, objętych kiedyś embargiem eksportowym do ZSSR, została od dawna wydatnie zredukowana.

jak ta sieć ubogo się prezentuje i że jedyną arterią łączącą Ocean Spokojny z centralną Rosją jest wciąż ta sama kolej transsyberyjska zbudowana za cara (dopiero w roku 1976 Sowiety rozpoczynają budowę 3.000 kilometrowej kolejowej magistrali, która ma połączyć Ust-Kut nad Leną z Komsomolskiem. Zakończenie budowy przewiduje się na rok 1990). Wszystko to z pomocą *détente* ma ulec poprawie.

Spotkanie moskiewskie Nixona, którego drugą część zaaranżowano nie w samej Jałcie, ale na jej przedmieściu (by uniknąć nieprzyjemnych skojarzeń z dawną Jałtą, którą obecny prezydent 30 lat temu niemiłosiernie skrytykował), skwitowane zostało po jego powrocie przemówieniem, które swoją beztreściwością można chyba tylko przyrównać do 1-majowych przemówień przywódców Polski Ludowej. Cokolwiek jednak we wspólnym protokole, przemówieniach, toastach powiedziano, obiecano i zagwarantowano na temat pokoju — co do którego nikt nie wątpi, że obydwie strony go pragną, choć każda co innego pod słowem „pokój” rozumie — jeden fakt pozostał bezsporny. Żeby zachować istniejący podział świata na sfery wpływów, potrzebna jest absolutna chęć nie jednego ale co najmniej dwóch, jeśli nie trzech supermocarstw. W każdym razie co najmniej obydwu najważniejszych partnerów: Stanów Zjednoczonych i ZSSR.

USA — w których opinia publiczna ma decydujące znaczenie, chce zachować istniejący podział świata i czyni wszystko, aby go utrwalić. ZSSR — w którym opinia publiczna nie liczy się wcale — twierdzi również, że chce, ale czyni coś wręcz przeciwnego. ChRL — w której opinia publiczna liczy się akurat tyle co w ZSSR albo jeszcze mniej — upiera się, że nie jest supermocarstwem, ale czyni to głównie dlatego, by zaakcentować swój formalnie dysydencki stosunek wobec istniejącego podziału świata. ChRL — deklaruje przy każdej okazji, iż jest przeciwna obecnemu międzynarodowemu *status quo*. Nie wydaje się jednak, żeby tej rewolucyjnej retoryce przywódców chińskich odpowiadały jakieś ważniejsze posunięcia w polityce międzynarodowej. Chiny są ekonomicznie i militarnie zbyt słabe i czują się zbyt zagrożone przez Rosję, by mogły realnie myśleć o wywróceniu obecnego międzynarodowego *status quo*. Dlatego oświadczenia chińskich mężów stanu nie zobowiązują do niczego. Zagrożone przez Sowiety, muszą własnemu bezpieczeństwu podporządkować interesy „Trzeciego Świata”, co czynią zresztą bez wielkiej frustracji. To czego naprawdę szczerze pragną to osłabienia — a być może i starcia z powierzchnią ziemi — ZSSR, ponieważ w przeciwnieństwie do wielu naiwnych polityków Zachodu nie mają złudzeń co do polityki ekspansjonistycznej Rosji. W efekcie — to najbardziej w swych deklaracjach rewolucyjne państwo świa-



ta, pragnąc zahamować globalne apetyty Sowietów, staje się — chcąc nie chcąc — ku wstydu wielu jego ultralewicowych entuzjastów, czynnikiem międzynarodowej stabilizacji w najbardziej zapalnych rejonach świata. Pomoc dla krajów arabskich w ich ostatniej wojnie napastniczej była czysto moralna — czyli żadna.

Pozbawiony amerykańskiego poparcia militarnego, rząd sajsański przeżył ponad półtora roku i z powodzeniem odpiera ataki Hanoi, z którymi przez długie lata wojny nie mogły uporać się Stany Zjednoczone. Któż mógł sądzić, że rząd premiera Lon Nola w Kambodży, zainstalowany przez Stany Zjednoczone, utrzyma się ponad pół roku, mimo braku ochrony amerykańskiego lotnictwa i ustawicznych ataków Kmer Rouge? To wszystko nie mogło odbyć się bez aktywnie stabilizującej roli Chin w Południowo-Wschodniej Azji. Chiny zadeklarowały już od ponad 2 lat temu swe stanowisko. Nie mając przy globalnych ambicjach Rosji żadnej możliwości zapewnienia sobie wpływów w Płd. Wschodniej Azji i musząc w tej sytuacji wybierać pomiędzy Stanami a ZSSR, wolała z dwojga złego obecność na Pacyfiku floty amerykańskiej niż sowieckiej.

Dla przeciętnego amerykańskiego obserwatora wydarzeń na świecie jedno nie może się pomieścić w głowie: dlaczego ZSSR, ze swą niekończącą się listą chronicznych niedomagań ekonomicznych, ma być zainteresowany dalszą ekspansją? Lista niedomagań sowieckiej gospodarki po blisko 60-letnim okresie władzy wydaje się przeciętnemu człowiekowi z Zachodu albo niewiarygodna albo — jeśli ją uznać — stanowi dowód kompletnej niewydolności sowieckiego systemu.

Jeśli ZSSR boryka się z takimi problemami, jeśli mimo rosnących wskaźników produkcji margines przemysłowy między zaawansowanymi państwami Zachodu nie maleje a rośnie, to oczywiście — w przekonaniu nie tylko Amerykanów ale ludzi na Zachodzie — Związkowi Sowieckiemu potrzebna jest stabilizacja, a nie podboje i ekspansja. Nawet jeśli nie identyfikuje się ZSSR z jej ludnością (bo takich naiwnych już nie ma) ale z jej najwyższą władzą państwową — to przecież zarówno jednym jak i drugim powinien być potrzebny — pokój.

W schemat ten można było z biedą wierzyć w pierwszym okresie postalinowskim, a przynajmniej do końca panowania Chruszczowa. Wówczas nadzieje na poprawę bytu ludności, którym w szczególności dał wyraz XXII Kongres Partii, jaśniały jeszcze niecałkowicie zmąconym blaskiem. Sądzono, że skrzywienia polityczne i — mówiąc delikatnie — niedomagania ekonomiczne ustroju, są następstwem nie struktury samego systemu, ale zwyrodnienia policyjno-administracyjnych Stalina. Że gdy jedno się

wyprostuje — wyprostują się i te drugie, a dobrobyt sowiecki znacznie rosnąć jak na drożdżach. To było dawno, ale to była prawda. To znaczy prawdziwe były nadzieje. Po latach łataniny, reorganizacji i decentralizacji, liberalizacji i deliberalizacji okazało się, niestety, że nic wyprostować się nie da. Od szeregu lat w sposób niemal maniacki ekonomiści w służbie komunistycznego państwa usiłowali wprowadzać kapitalistyczne zasady rentowności w strukturę ekonomiczną, która, podporządkowana politycznym interesom biurokracji, z założenia ich nie znosi. Nawroty do tzw. liberalizacji w gospodarowaniu, kolejne odwroty przy akompaniamencie wzajemnych oskarżeń o „rewizjonizm” i „dogmatyzm”, czasem przypominają dom wariatów, czasem — doprowadzają do groźnych wydarzeń jakich widownią było Wybrzeże w roku 1970. W pewnym lapidarnym skrócie, w okresach tzw. gospodarczych reform, wygląda to czasem jakby władze Partii pragnęły zachować polityczną superstrukturę komunizmu, wyrastającą z ekonomicznej bazy kapitalizmu. Marzenie nieziszczalne. W rezultacie bardziej realnie myślący aparatczycy najwyższego szczebla doszli do trafnego wniosku, że system komunistyczny, żeby istnieć, musi pozostać w stanie chronicznego niedowładu. Uznanie tej prawdy (oczywiście na wewnętrzny użytek władzy) stało się, jak sądzę, kamieniem węgielnym polityki KPZS na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Na tym tle zrodził się też całkiem nie najgorszy pomysł, że rozwinięte kraje kapitalistyczne mogą pełnić funkcję dofinansowywania kulejącej gospodarki w drodze kredytów inwestycyjnych i towarowych — od dostaw zboża i Pepsi Cola do budowy fabryk chemicznych i samochodowych. Innymi słowy, tego czego nie wyprodukuje system komunistyczny — dostarczą kapitaliści. Tym ostatnim powierzono funkcję pomocniczą w zaopatrzeniu Sowietów. Doskonale z tym harmonizuje idea położenia jeszcze większego nacisku na technologię wojenną. Wraz bowiem z uznaniem prawdy o nieuleczalnych niedomaganiach sowieckiej ekonomii — która nie może zaspakajać codziennych, rosnących potrzeb obywateli, uznano drugą niezaprzeczną prawdę. Jest nią fakt, że wydzielona dziedzina gospodarki sowieckiej — ta, która funkcjonuje dla wojny, mogła się popisać znacznie efektywniejszymi osiągnięciami niż fabryki butów, tekstyliów, pasty do zębów czy płyt gramofonowych. Artykuły sowieckiego przemysłu zbrojeniowego, jak również dziedziny przemysłu ciężkiego związane z produkcją strategiczną, osiągnęły w świecie prawie najwyższy standard zarówno pod względem ilości jak i jakości. Stały się czymś w rodzaju sowieckiego *spécialité de la maison* tak — jak kiedyś były nimi szwajcarskie zegarki. To, że przemysł sowiecki mógł pracować tak przykładowie, stanowiąc wzór dla innych krajów



niewyspecjalizowanych należycie w produkcji środków zniszczenia, świadczy niewątpliwie o korekcie komunistycznej gospodarki, boć przecież ekonomia wojny to też jakaś ekonomia. Nie warto zastanawiać się jak doszło do tego, że w kołchozach pracuje się źle i niewydajnie, a w wytwórni najbardziej skomplikowanych i niezawodnych w swej celności rakiet — tak bardzo efektywnie, o czym przekonali się ostatnio, bezpośrednio na swej skórze, czołgiści i piloci izraelscy, a pośrednio — ku swemu niemiłemu zdumieniu — również i wojskowi amerykańscy w Pentagonie. Faktem jest, że złego rozeznania w tej idei usprawnienia, przynajmniej jednej gałęzi gospodarki, nie było. Okazało się bowiem, że jest to przemysł „kluczowy”. W tym sensie, że stanowi jeden z ważnych kluczy do panowania nad światem<sup>3</sup>.

Czy jednak przywódcy sowieccy zaczęli myśleć o rozszerzeniu swej potęgi nad światem wyłącznie dlatego, że ich kulawy system okazał się prężny — w tej jednej właśnie dziedzinie, w której, jak się zdaje, „dogonił i przegonił Zachód”? Sądzić należy raczej, że już od chwili skonsolidowania swej władzy, myśleli oni o podporządkowaniu sobie innych narodów. Przez kilka dziesiątków lat idea ta była o tyle nierealna, że będąc słabymi i zagrożonymi przez imperializm zachodni, bardziej musieli myśleć o własnej obronie i przetrwaniu niż o zdobyczach. W konkretny kształt przyoblekać się zaczął ów dawny cel o ostatecznym „zwycięstwie komunizmu”, gdy z jednej strony zyskali odpowiednie narzędzie w postaci technologii wojny i sprawnego przemysłu zbrojeniowego, z drugiej zaś — gdy zarysowywać się zaczęła coraz wyraźniej niemoc świata kapitalistycznego, nękanego społecznym fermentem. Choć wynika ona z odmiennych przyczyn niż kryzys ekonomiczny lat trzydziestych, niemniej czyni go coraz bardziej bezbronnym w konfrontacji z Sowietami. Tej hipotezie, wspartej w moim przekonaniu wieloma faktami, przeczy inna — dość na Zachodzie rozpowszechniona. Zwolennicy jej twierdzą, że, choć imperializm sowiecki istniał w mniej lub bardziej aktywnej postaci (w zależności od okoliczności dziejowych) zawsze, jego skinetyzowanie nastąpiło nie w wyniku opanowania nowoczesnej technologii wojny, ale w rezultacie innych przyczyn. Tymi przyczynami miała być rzekoma konieczność skanalizowania nieroz-

3. Oczywiście nie może być mowy o usprawnieniu wyłącznie przemysłu zbrojeniowego *sensu stricto*, ponieważ jego rozwój związany jest z szeregiem gałęzi przemysłu ciężkiego. Produkcja środków wytwarzania miała, jak wiadomo, zawsze w strukturze gospodarki komunistycznej priorytet, ale byłaby to również klasyfikacja nieadekwatna, ponieważ nie wszystkie środki wytwarzania służą produkcji wojennej. Odwrotnie — mogą być niektóre wyselekcjonowane dziedziny przemysłu konsumpcyjnego lub usługowego ważne dla rozwoju potencjału wojennego.

wiązalnych problemów ekonomicznych, socjalnych i narodowościowych na innej drodze — na drodze ekspansji sowieckiego państwa i pobudzeniu nacjonalizmu rosyjskiego. Choć obydwie próby wytłumaczenia ekspansjonizmu sowieckiego nie wykluczają się nawzajem, nie wydaje mi się, żeby rosnący imperializm Moskwy był rezultatem jakiejś ekonomicznej lub społecznej konieczności. Nie występują tu w ogóle żadne konieczności. Raczej prawidłowości psychologiczne, które w motywacjach ludzkich — zwłaszcza na szczytach władzy — powielają się w historii dziesiątki, jeśli nie setki razy. Za przyjęciem tej drugiej hipotezy przemawiają dwie racje. Po pierwsze sędzę, że wszelkiego rodzaju ekspansjonistyczne namiastki — mające zastąpić normalne, ludzkie potrzeby obywateli sowieckich — w jakiegokolwiek szaty „wyzwoleńcze” czy „obronne” się je przybierze, nie chwyciłyby zbyt posłusznej ale apatycznej opinii sowieckiej, po drugie, nie są one zupełnie potrzebne dla wytłumaczenia globalistycznych tendencji kierownictwa KPZS.



Chęć panowania nad częścią lub całością świata istniała zawsze w głowach wszystkich monarchów, wodzów i dyktatorów. Ilekroć władza ich była silna i niekontrolowana, ilekroć z powodzeniem potrafili wyeliminować konkurentów, tylekroć myśleli o podbojach — czyli o rozszerzeniu swej władzy. Żli czy dobrzy — według ówczesnych kryteriów moralności — nie troszczyli się zgoła o los swych poddanych. Co najwyżej dbali o ich żołądki i to głównie wówczas gdy wypadało ich przybrać w mundury i dać do ręki broń. Świat był wówczas okrutny — na pewno okrutniejszy od sowieckich przywódców, ale i nie znający hipokryzji. Nie „wyzwalano” nikogo — a jeśli — to bardzo rzadko. Czasami walczone za „prawdziwą wiarę”, ale przeważnie solidnym bodźcem była nadzieja łupu. Jeśli zaś władca chciał mieć armię posłuszną i zdyscyplinowaną, posługiwał się armią zaciężną. Najemnicy byli najlepszymi fachowcami. Kosztowało to dużo, ale się opłacało.

Wybitni demokratyczni politycy bywają nieraz wykształconymi znawcami historii. Przeważnie trwa to tak długo, póki nie opuszczają swych uniwersyteckich katedr. Wówczas — jako twórcy historii zapominają o jej naukach, popełniając, jak sędzę, jeden ważny błąd. Swym kontrahentom, dzierżącym niekontrolowaną władzę, przypisują bezzasadnie takie same racjonalne motywy postępowania, którymi sami się kierują. Dzięki temu zapominają o starej, aż do znudzenia wytartej, prawdzie, o roli jaką w motywacjach ludzkich gra pragnienie władzy, która, będąc sama



w sobie celem, nie wymaga żadnych dodatkowych racji. Ignorowanie tej równie starej co elementarnej reguły, utrudnia rozszyfrowanie zamiarów przywódców ZSSR, nie zobowiązanych do liczenia się z tysiącami względów, które muszą mieć na uwadze ich kontrahenci.

Tu wypada przypomnieć, że opinia publiczna, jako czynnik obejmujący szerokie warstwy ludności, jest historycznie zjawiskiem stosunkowo nowym. W okresie Europy feudalnej, do wybuchu Rewolucji Francuskiej a nawet później, państwa feudalne prowadziły ze sobą ustawiczne wojny, nie pytając się własnej ludności o zdanie. Były to wojny decydowane przez monarchów, książąt i feudalne elity, stanowiące na Zachodzie chyba nie więcej niż ułamek procentu całej ludności. Mieszkańcy tych krajów, będący wówczas bezkształtną masą niezdolną do wyrażenia ani protestu ani aprobaty, traktowali wojny ze wszystkimi ich klęskami z takim samym poddaniem — jak katastrofy żywiołowe.

Przegląd ostatniego kilkusetlecia do roku 1789 — jest właściwie bezustanną historią wojen, mających u swych źródeł jeden najzupełniej niezakamuflowany powód: rozszerzenie władzy monarchów nad tą czy inną częścią Europy lub Ameryki w drodze podbojów lub rzadziej — w sposób niezbyt skuteczny i trwały — poprzez małżeństwa dynastyczne. Dopiero wojny napoleońskie stały się pierwszymi wojnami, w których podboje zaczęły być kamuflowane celami wyzwoleniczymi. Od tego czasu wojny zaczęły wymagać ideologii.

To, co w naszych rozważaniach jest najważniejsze dla ukazania właściwej paraleli między odległą feudalną przeszłością a współczesnością sowiecką — to dobrze znane historykom zjawisko, iż przez długie wieki nie było na świecie opinii publicznej, która mogła wpływać na politykę władców. Jeśli wyłączy się krótki i burzliwy okres rewolucji cromwellowskiej, to można z niewielkim błędem przyjąć, że opinia publiczna od czasów greckiej i rzymskiej demokracji kształtować się zaczęła po raz pierwszy we Francji na krótko przed Wielką Rewolucją. O ile w czasach samej Rewolucji i w okresie Bonapartego była ona w fazie embrionalnej, wchodząc w stan recesji w latach Świętego Przymierza, o tyle późniejsza rewolucja przemysłowa w Europie i Ameryce wzmocniła i uwielokrotniła jej rolę. Kapitalizm europejski i amerykański stworzył klasę robotniczą i zawodową inteligencję jako odrębną warstwę. Dzięki tym właśnie czynnikom rola opinii publicznej rosła coraz bardziej.

Wiek XIX, a zwłaszcza jego drugie półwiecze można by przedstawić jako okres fermentu, w którym dawne elitarne koła — relikty ustępującego feudalizmu — powoli ulegały wpływom opinii publicznej. Nowe instytucje kapitalizmu nie zdołały zmo-

nopolizować władzy w tym stopniu jak to miało miejsce w czasach feudalnych. Społeczeństwo kapitalistyczne, jak powszechnie wiadomo — i jak to trafnie i od dawna stwierdzili marksiści — było organizmem zbyt złożonym. Ten organizm z jego skomplikowanymi procesami produkcji, usług i dystrybucji wymagał ludzi wolnych, a więc takich, których głos musiał się liczyć. Zdemonizowany przez marksistów kapitalizm tworzył więc sam, i dalej tworzy, regulatory, które ograniczają władzę jego czołowych reprezentantów, nie wykluczając bynajmniej tego, że może być w bliższej lub dalszej przyszłości zastąpiony innym ustrojem — bardziej odpowiadającym obecnym potrzebom społeczeństw zachodnich. Model jego jest nieznany. Można jednak z dużym prawdopodobieństwem przesądzić, że niewiele będzie miał on wspólnego z systemem sowieckim lub chińskim. Oczywiście opinia publiczna nie zawsze była dźwignią racjonalnej kontroli, zabezpieczającej przed nadmierną koncentracją władzy. Była często kapryśna, urabiana strategią demagogów i często jej głos był głosem samobójczym, czego dowodem były Włochy faszystowskie i hitlerowskie Niemcy, których przywódców wyniósł do władzy właśnie *vox populi*. Niemniej w krajach zaawansowanego kapitalizmu opinię publiczną można było eliminować tylko na stosunkowo krótki okres czasu.

*Obecnie nigdzie we współczesnym świecie poza obozem komunistycznym, nie występuje kombinacja dwóch cech: zmonopolizowanej władzy, nie liczącej się z opinią publiczną, której towarzyszy wysoki potencjał przemysłowy.* Współistnienie tych dwóch zjawisk nie występuje w żadnym z niekomunistycznych krajów.

Sprężenie zacofania cywilizacyjno-przemysłowego z utrzymaniem opinii publicznej w letargu, bez względu na to jakie ma przyczyny, stanowi pewnego rodzaju kląpę bezpieczeństwa dla innych krajów<sup>4</sup>. Nieskrępowani opinia publiczną przywódcy typu np. Boumedienne czy Kaddafiego, rządzący samowładnie bądź wespół z nieliczną elitą, mają ograniczoną możliwość zaspakajania swych ambicji władzy, wynikającą z ich zacofania przemysłowo-cywilizacyjnego. Gdyby było inaczej, każde z państw, którymi kierują, stałoby się dla reszty świata — nie mówiąc już o bezpośrednich sąsiadach — ładunkiem wybuchowym.

Ale zrównoważenie ambicji władzy poprzez hamulec przemysłowo-militarnego zacofania istnieje tylko w świecie niekomu-

4. Ta kłapa bezpieczeństwa ogranicza się tylko do prób terytorialnej ekspansji, nie zaś do prób narzucenia swej woli innym państwom w dziedzinie politycznej, jak to wyraźnie wykazała polityka państw produkujących naftę, typu Arabii Saudyjskiej, Kuweitu i kilku mniejszych emiratów na peryferiach półwyspu arabskiego.



nistycznym. Natomiast w niektórych krajach komunistycznych dzieje się odwrotnie. Monopolowi władzy towarzyszy wysokie zaawansowanie cywilizacji przemysłowej — i to w tych przede wszystkim dziedzinach, które w nomenklaturze komunistycznej służą sprawie „obrony kraju”. Oczywiście stopień tego zaawansowania jest różny. Inny w Bułgarii, a inny w NRD i Czechosłowacji. Ponieważ jednak hegemonem tych krajów jest ZSSR, jego model jest najważniejszy.

Spółecznie i ekonomicznie Sowiety mają za sobą daleką drogę od feudalizmu carskiego. Jeśli natomiast chodzi o zmonopolizowanie władzy, to despotyzm Partii przekracza rozmiary carskiego samodzierżawia. Wynika to z logiki totalitarnego państwa. Partia, komunistyczna u władzy oprócz środków policyjnych ma do dyspozycji wszystkie dziedziny życia, a przede wszystkim — ekonomię. Partia ponadto nie tylko troszczy się o to co się dzieje w mózgach obywateli, ale stara się tę myśl kształtować, głównie przy pomocy masowych środków propagandy, których głos dociera zarówno do mieszkańca Moskwy jak i Kamczatki.

Fakt, że strona komunistyczna potrafi, jak dotychczas, skutecznie paraliżować własną opinię i izolować ją od udziału we władzy, zaś świat kapitalistyczny uzależniony jest w swych decyzjach od tysiąca czynników, licząc się przede wszystkim z wolą swych obywateli, daje Sowietom i ich satelitom przewagę decyzyjną. Jest to oczywista cena wolności, której ani rządy ani ludy Zachodu nie zamierzają się wyrzec za cenę zapewnienia sobie przewagi nad Sowietami. W tych warunkach coraz większa ilość ludzi, będących u władzy na Zachodzie uznaje, że jedynym wyjściem jest konieczność pokojowego współistnienia i że konieczność tę druga strona przyjmie na zasadzie uznania międzynarodowego *status quo*. Gdy zaś, przytomniejąc, dostrzegają, że choć Sowiety, godząc się na współistnienie, starają się wszelkimi środkami podział światu naruszyć, próbują swemu przeciwnikowi narzucić własną logikę. Sądzą, że polityka ekspansji musi mieć u swych źródeł wyłącznie wewnętrzne trudności. W konsekwencji wierzą, że pomoc okazana Sowietom w rozwiązaniu ich problemów ostudzi nie tylko ich imperializm, ale — być może — przyczyni się do złagodzenia postępowania władz komunistycznych wobec ich własnych obywateli.

W tej wierze popełniają niemal ten sam tragiczny błąd, który ich poprzednicy popełnili na przełomie lat dwudziestych i trzydziestych. Sądzą, że Sowiety wyposażone obficie w artykuły przemysłu konsumpcyjnego z pomocą Zachodu — a więc w to wszystko czego nie może im dać ekonomia komunizmu — wzbogacone ponadto nowoczesną amerykańską technologią, zostaną „obłaskawione” i zaakceptują istniejący podział świata, a

wraz z nim wieczysty pokój. W latach pierwszych sowieckich pięciolatek wierzono, że rewolucja komunistyczna straci, dzięki pomocy kapitału zachodniego, ducha rewolucyjno-ofensywnego. Błąd w rachubach polegał nie na tym, że go nie straciła, ale na tym, że straciłaby go i tak, nie na skutek pomocy Zachodu, ale w wyniku wewnętrznych procesów biurokratyzacji ZSSR.

Rewolucyjno ofensywne państwo, które w pierwszych latach swego burzliwego istnienia mogło urzec wizję przyszłości i bojowym romantyzmem wielu ludzi na świecie, przekształciło się w biurokratycznego molocha, którego imperializm przez długie lata hamowany był jedynie militarną słabością. Obecnie tę słabość Sowiety mają poza sobą. Błąd *détente* różni się jednak od błędów poprzedniej generacji polityków Zachodu. Różnica polega na tym że, w przeciwieństwie do wczesno-rewolucyjnego ekspansjonizmu, który uwiłd naturalną śmiercią, obecny sowiecki imperializm, *nie mający nic wspólnego z żadną rewolucją* — nie wygaśnie nigdy. Nawet przy dalszym „opieraniu” się biurokracji i nasycaniu rynku sowieckiego inwestycjami i kredytami amerykańskimi. Wspieranie chronicznie kulawej ekonomii ZSSR przez kapitalizm w niczym nie przyczyni się do ostudzenia zaborczości Sowietów, ponieważ zaborczość ta nie wynika z żadnego ekonomicznego przymusu.



Ilekoć dyskutuje się problem *détente* w stosunkach Wschód-Zachód, często jako jedyną zastępczą alternatywę wysuwa się „zimną wojnę”. Obracanie się w granicach tych dwóch alternatyw jest oczywistym nonsensem. Jeśliby nawet przez „zimną wojnę” rozumieć permanentną ofensywę Zachodu przeciwko komunizmowi, z wyłączeniem użycia środków militarnych, to zaniechanie jej nie oznacza wcale konieczności programu pomocy Sowietom w formie kredytów inwestycyjnych. To ostatnie, jak starałem się przedstawić, jest po prostu dopełnianiem przez kapitalizm zachodni tych funkcji ekonomicznych, do których system komunistyczny nie jest zdolny. Dzięki temu Sowiety będą mogły jeszcze w większym stopniu niż dotychczas wyspecjalizować się w produkowaniu środków wojny, co wzmoże ich możliwości szantażu wobec poszczególnych ogniw zjednoczonego niegdyś obozu antykomunistycznego a obecnie rozbitego na wzajemnie konkurujące ze sobą człony.

Metoda różnicowanych presji, środków nacisku i zastrasznień stosowana bezpośrednio lub pośrednio przy pomocy koniunkturalnych sojuszników Sowietów wobec Zachodu, pozostaje bowiem w oczywistym związku nie tylko z rozkładem NATO, ale



z procesami dezintegracji, którym podlegają społeczeństwa demokracji kapitalistycznych.

To co mogłoby te procesy powstrzymać i postawić — zwłaszcza Amerykę — w stan pogotowia<sup>5</sup> to jakiś nieocapatrny krok Sowietów w formie zupełnie już niezakamuflowanego aktu agresji. Wychodząc z założenia, że czas pracuje dla nich, że Zachód kapitalistyczny podlegać będzie postępującej atrofii, Sowiety unikają zbyt drastycznych posunięć. Wierzą, że ich cierpliwość zostanie nagrodzona, że świat zachodni sam dojrzeje do tego, aby wpaść w ich ręce nie tylko bez użycia środków masowej zagłady (coż komu po cmentarzach?), ale nawet bez rozlewu krwi, którego opinia Zachodu pragnie uniknąć za wszelką cenę. Ostatnio zresztą, według słów senatora W. Fulbrighta, przewodniczącego Komisji Zagranicznej Senatu U.S. „*détente* jest niczym innym jak regulowaniem różnic pomiędzy supermocarstwami w taki sposób, by nie doprowadziły one do wojny nuklearnej<sup>6</sup>”. Jeśli wszelako zredukować *détente* do tak ograniczonych celów, których oficjalną wykładnią nie jest zresztą sen. Fulbright, to można śmiało uznać, że podobne zadania spełniał układ stosunków w okresie „zimnej wojny”. Politycy i wpływowi publicyści zachodni nie doceniają przy niekwestionowanej słabości Zachodu, oczywistych atutów, jakimi państwa demokracji kapitalistycznych dysponują wobec komunistycznych krajów, a przede wszystkim — Sowietów. Wypada więc sformułować, lub po prostu przypomnieć, najważniejsze atuty, które wzmacniają pozycję Zachodu wobec ZSSR.

Podstawowym elementem słabości komunizmu jest to co przejawia się w stale powracających próbach zreformowania struktury ekonomicznej, bez naruszania monopolu władzy Partii. Jest to nic innego jak refleks zjawiska, będącego głównym konfliktem systemu komunistycznego epoki post-industrialnej. Robotnicy przemysłowi w zaawansowanym przemysłowo i cywilizacyjnie społeczeństwie, bez względu czy jest ono — kapitalistyczne czy komunistyczne, mają pełną świadomość wagi swych funkcji i jeśli system pozbawia ich wpływu nie tylko na losy kraju, ale przede wszystkim prawa do poprawy ich bytu w formie strajku, to bez względu na rodzaj presji policyjno-administracyjnej, stosowanej przez Państwo, dojrzewać w nich będą uczucia buntu, które w ostateczności doprowadzą do odrzucenia dyktatury elity partyjnej. Wydarzenia w krajach kapitalistycznych tego typu co Por-

5. Oczywiście mam na myśli nie „alert” strategiczny typu zarządzanego przez Prezydenta Stanów, ale uświadomienie sobie w pełni przez społeczeństwa zachodnie groźącego im niebezpieczeństwa.

6. *Congressional Records*, Nov. 9, 1973.

tugalia stanowią dla Sowietów takie same groźne memento jak dla frankistowskiej Hiszpanii, choćby *Prawda* moskiewska piała z zachwyty nad upadkiem dyktatury, a komuniści portugalscy przyłączyli się do rządu de Spinali.

Próby zachwiania struktury władzy w komunistycznych reżymach miały jak dotychczas miejsce jedynie w krajach satelickich, dominowanych gospodarczo i militarnie przez Sowiety, co z reguły przesądzało ich szanse. Gdyby natomiast procesy rebelii zaczęły aktywizować się w ZSSR, skutki ich byłyby nieobliczalne, ponieważ kwestia interwencji obcej nie wchodziłaby w rachubę ani jako realna groźba ani jako szantaż. Jak dotychczas kolejne kierownictwa KPZS skutecznie zapobiegają uzewnętrznianiu się wszelkich prób buntu robotniczego. Sowiecka klasa robotnicza jest bierna, co nie oznacza, że nie rozwijają się w niej procesy rebelii. W Rosji są i będą one przebiegać bez żadnych zwiastunów aż do chwili samego wybuchu. Wynika to z mechanizmu sowieckiego systemu totalitarnego, który w odróżnieniu od obecnych ekip rządowych w Polsce i na Węgrzech, stara się nie tylko zdławić, ale uczynić niedostrzegalnymi wszelkie objawy niezadowolienia. Wyjątek stanowią dysydenci-intelektualiści, którzy choć sygnalizują niebezpieczeństwo i wołają na alarm, nie odzwierciedlają w istocie stanu umysłów sowieckiego społeczeństwa<sup>7</sup>. Rząd i kierownictwo KPZS uważają w dalszym ciągu, iż w Rosji i podległych jej republikach najskuteczniejszą metodą utrzymania władzy jest metoda zakorkowania beczki z fermentującą zawartością. Gdyby Sowiety były organizmem gospodarczym, który godzi się trwać we względnym bezruchu, zachowując ekonomiczne *status quo*, można by się zastanowić czy sposób ten — aczkolwiek ryzykowny — nie jest jedyny. Ale na przeszkodzie temu stają światowe ambicje Sowietów, które każą im modernizować i rozwijać gospodarkę, przynajmniej w niektórych wyselekcjonowanych działach. Tak samo jak niegdyś stalinowski system władzy, oparty na ślepym terrorze, pozostawał w coraz bardziej rażącym konflikcie z głównym celem rozwoju sowieckiej ekonomii, której po prostu groził rozpad, tak i obecnie — w epoce przemysłu skomputeryzowanego, wymagającego wysoko wyspecjalizowanej pracy robotnika i technika — nadbudowa polityczna w postaci monopolu Partii, będąca alfą i omegą sowieckiego systemu, jest nie do utrzymania.

Coraz większy udział najliczniejszych warstw ludności w zarządzaniu państwem, którego podstawowymi funkcjami są produkcja i usługi, jest prostą konsekwencją rozwoju cywilizacji ma-

7. Przy czym często trudno ustalić kto z owych dysydentów jest dysydem „zinstytucjonalizowanym”, a kto — prawdziwym.



terialnej co najmniej od połowy XX wieku. Tak jak nie można było tworzyć kapitalizmu w jego wczesnej fazie istnienia przy zachowaniu niewolnictwa, tak i obecnie nie można rozwijać cywilizacyjnie i gospodarczo kraju, utrzymując opinię publiczną w przymusowym letargu. Jedno z drugim jest nie do pogodzenia. Tę prostą prawdę, że konflikty można wprawdzie tłumić, ale tłumieniem nie można ich rozładować, powinni zrozumieć przede wszystkim marksiści. Nie jest wprawdzie pewne czy marksiści istnieją jeszcze gdziekolwiek w krajach zwycięskiego komunizmu, natomiast są tam niewątpliwie spadkobiercy tej szkoły. I tu rzuca się w oczy zjawisko, które kiedyś mocno zdumiewało Trockiego. Dlaczego marksiści, którzy specjalizowali się przez dziesiątki lat w badaniu zjawisk świata kapitalistycznego, okazują zupełną niezdolność w rozszyfrowaniu przemian w organizmie społecznym, będącym ich własnym tworem? Odpowiedź na to pytanie nie jest, być może, taka trudna. „Marksiści” u władzy są po prostu częścią obiektu, który został przez nich zbudowany. I to w dodatku częścią bardzo ważną. Kapitałiści nie są w stanie zapobiec badaniu kapitalizmu, nawet w zasięgu kapitalistycznej władzy. „Marksiści” u władzy mogą i zapobiegają. Jedną bowiem z cech charakteryzujących „marksistów” u władzy (chyba już drugiego lub trzeciego pokolenia) jest niezwykle skwapliwość w odcinaniu się od źródeł prawdy o kierowanych przez nich społeczeństwach. Przykładem tym niekoniecznie musi być Stalin z uwagi na jego przypuszczalnie patologiczny stan w końcowym okresie życia. Nieświadomy nastrojów w Czechosłowacji był prawdopodobnie również i Dubczek. Kierując się niezbyt jasnym pragnieniem zhumanizowania systemu, bez naruszenia jego fundamentów, otworzył Puskę Pandory. Wreszcie, do najbardziej klasycznych przykładów, ilustrujących w jakiej ciemności rządzi społeczeństwem komunistyczni przywódcy, można zaliczyć Gomułkę. Poza głębszymi przyczynami tego zjawiska działa tu dodatkowo stara, obowiązująca we wszystkich hierarchiach, zasada: niechęć do tego, by być zwiastunem niepomyślnych wieści. Dla ludzi na szczytach wygodniej jest żyć w świecie złudzeń niż niewesołych realiów. Stosuje się to przypuszczalnie do wszystkich cieszących się przywilejami władzy. Co jednak w krajach kapitalistycznych jest niemożliwe na skutek niedyskrecji prasy, jest normą w komunizmie, gdzie obowiązuje tylko jedna oficjalna prawda. Ta ignorancja władz komunistycznych o własnych społeczeństwach stanowi ich słabość a zarazem drugi z kolei atut niedostatecznie doceniany przez zachodnich przeciwników.

Zjawisko ignorowania sił grożących sowieckiemu systemowi ze strony własnego społeczeństwa (przy jednoczesnym wyolbrzymianiu i demonizowaniu zagrożenia z zewnątrz) nie zmienia fak-

tu, że w górnych kręgach władzy działają pewne procesy samozachowawcze. Manifestują się one ostatnio zablokowaniem najpewniejszej ostoji państwa — biurokracji partyjnej z warstwą technokratów i tej grupy wojskowych, których wyspecjalizowana wiedza o środkach zniszczenia zbliża ich do elity sowieckich technologów wojny. Sojusz tych grup, aczkolwiek wybitnie elitarny, stanowi przypuszczalnie na najbliższy okres czasu element zabezpieczający istniejącą strukturę władzy. Na dłuższą metę nie może gwarantować jej stabilności, ponieważ nie usuwa zasadniczego źródła konfliktu jakim jest sprzeczność pomiędzy dążeniem do modernizacji produkcji przemysłowej a archaiczną polityczną nadbudową, hamującą rozwój gospodarczy. Niezależnie od tego, sojusz ten nie ma cech trwałości, ponieważ na przeszkodzie stoją ambicje poszczególnych konkurujących ze sobą grup. I tu jest trzecia z kolei z coraz większą siłą występująca słabość sowieckiego ustroju. Ta mianowicie, że o polityce Partii nie decyduje wyłącznie zdrowy rozsądek, który nakazywałby biuromatom i aparaczykom podporządkowanie indywidualnych interesów i personalnych ambicji najważniejszemu celowi — utrzymaniu w ryzach ludności i zachowaniu rządów. W obliczu ludności biurokracja utrzymuje zawsze pozory jedności. Ale pozór ten nikogo już nie złudzi. Nie jest tajemnicą, że od śmierci Stalina partie komunistyczne rozrywane są walkami frakcyjnymi, które w krajach satelickich bardzo często wychodzą poza mury Komitetu Centralnego. Partia, która mogłaby trzymać ludność w absolutnym posłuszeństwie, musiałaby być partią, której jedność gwarantowana byłaby niekwestionowanym autorytetem wodza. Tym niekwestionowanym wodzem był przez długie lata w ZSSR Stalin, a w Jugosławii do ostatnich lat — Tito. Tzw. kult jednostki wykluczał wszelkie niesnaski w warstwie kierowniczej, nie dając żadnych szans ambitnym aparaczykom wywalczania sobie wyższej pozycji w hierarchii partyjnej jak tylko w drodze schlebiania wodzowi lub świadczenia mu innego typu usług. Ta forma struktury wewnątrzpartyjnej była właściwie najlepszym spoiwem, gwarantującym jej jedność. Stała się wszelako niemożliwa do utrzymania, nie tylko w wyniku śmierci Dyktatora, ale na skutek tego, że świat wkroczył w nową erę przemian, związaną z rozwojem elektroniki. Oczywiście walka o władzę występuje wszędzie i to nawet z niemniejszą siłą i zaciętrzewieniem w krajach o ustroju pluralistycznym. Ale tam ma ona charakter jawny i kontrolowany rygorami prawa. W komunizmie — przeciwnie, ma ona wszelkie cechy zwalczających się mafii, które w państwach burżuazyjnych są wyłączną właściwością świata zorganizowanej zbrodni. W Stanach Zjednoczonych mafie niszczą się wzajemnie, czemu w imię prawa stara się zapobiec policja i apa-



rat wymiaru sprawiedliwości. Jeśli zaś w państwach komunistycznych fazy postalinowskiej jedne ośrodki władzy łączą się w mafie przeciw drugim i metodą mafijną zaczynają się wzajemnie niszczyć, osłabiają samą strukturę totalitarnego państwa<sup>8</sup>.

Ta niekontrolowana żadnymi normami ustawodawczymi walka o władzę, odbywająca się w krajach Bloku Sowieckiego, stanowi potencjalny element, możliwy do wykorzystania przez Zachód.

Kluczowym problemem, który nasuwa się w wyniku naszych rozważań, który należy rozstrzygnąć jeśli chce się uchronić Zachód przed sowietyzacją, jest odpowiedź na pytanie: czy łagodzenie i pomoc w rozładowaniu spieć i konfliktów wewnętrzno-sowieckich leży i w interesie Zachodu, czy przeciwnie — w interesie Zachodu leży ich zaostrzenie?

Jedyną drogą do ostudzenia apetytów Moskwy jest osłabienie władzy KPZS we własnym kraju i we własnym bloku. Dlatego w interesie Zachodu jest nie łagodzenie wewnętrznych spieć w ZSSR i krajach jemu podległych, ale — ich zaostrzenie. Z tego też powodu wydarzenia polityczne w Sowietach nie mogą być traktowane jako sprawy wewnętrzne Rosji, bez względu na to jakie orzeczenie wydadzą w tej materii legalści z ONZ lub prezydent Nixon.

Oczywiście z politycznego uzasadnienia konieczności pewnych postaw lub przedsięwzięć nie wynikają jeszcze ich możliwości. Możliwości są niezmiernie skromne, zważywszy jak dalece społeczeństwo sowieckie jest zamknięte dla wielkiej penetracji z zewnątrz.



Jeśli się z niezbyt odległej perspektywy historycznej lat trzydziestych spojrzy na obecne położenie Zachodu, a w szczególności niekomunistycznej Europy *versus* Sowiety, to nie podobna oprzeć się pesymizmowi. Kraje Zachodu dziś bardziej niż w okresie poprzedzającym wybuch 2-giej Wojny światowej wierzą w możliwość utrzymania międzynarodowego *status quo*. Wierzą dlatego ponieważ sądzą, że drugą wyłączną alternatywą jest wojna nuklearna, która w równym stopniu przeraża wszystkich. Choć w jedno i drugie można co najmniej wątpić, nie zamierzam roztrząsać obecnie tych kwestii. Natomiast dla celów niniejszego artykułu należy uwzględnić jeden — niezmiernie ważny czynnik, który walczy przyczynia się do osłabienia odporności Zachodu

8. Przykładem PRL — z okresu rozgrywek wewnątrz partyjnych pomiędzy frakcjami Moczara, Gomułki i Gierka jak również likwidacja grupy Lin Piao.

wobec ekspansji Sowietów. Groźba z zewnątrz nie jest bowiem jedyna. Zamierzenia sowieckie zbiegają się z okresem, w którym demokracje kapitalistyczne (wraz z Japonią) przeżywają niewątpliwy kryzys super-cywilizacji i klasycznych metod gospodarowania dobrami materialnymi. Groźba rozbicia systemu od wewnątrz, która bez żadnej obcej interwencji zepchnęłaby Zachód w epokę chaosu, zarysowała się najostreż w późnych latach sześćdziesiątych. Symptodem jej był gwałtowny wzrost wpływów Nowej Lewicy. Spadek tej fali — który w pierwszym rzędzie przypisać należy bezprogramowości i infantylnemu negatywizmowi jej szeregów i nie zawsze młodych przywódców — nie usuwa jednak trudnego do zdefiniowania problemu — kryzysu post-industrialnych społeczeństw demokracji kapitalistycznych<sup>9</sup>.

Sowiety zdają sobie sprawę z tego jak dalece wewnętrzne problemy Zachodu osłabiają jego odporność. Uważają, że próby „zmiękczenia” demokracji kapitalistycznych natrafiają obecnie na wyjątkowo korzystny moment. Nie zsynchronizowały swych planów. Po prostu wzrost ich militarnej potęgi przypadł w okresie wewnętrznej słabości Europy Zachodniej i Stanów. Sowiety działają ostrożnie. Metoda dostosowana jest do płynnej sytuacji w jakiej znalazły się państwa Zachodu tak aby procesy, drażące ich wolę oporu, działały w sposób niedostrzegalny dla nich samych.

ZSSR unika otwartych pogróżek, przedstawiając zakamuflowany szantaż. Nie grozi światu zachodniemu otwartą wojną — tak jak to niegdyś czynił Hitler wobec słabszych państw Europy Środkowej. Przeciwnie — ZSSR prezentuje się jako nieugięty szermierz pokoju, organizując w ciągu ubiegłego 29-lecia nieustannie pokojowe kongresy, akcje i apele. Co do dwulicowości owych przedsięwzięć nie ma dziś wprawdzie nikt złudzeń, ale żadną miarą nie wynika z nich, że są dowodem planów agresji. Bo też Sowiety, co najmniej od czasów awanturczko usposobionego Chruszczowa, nie myślą ani na chwilę o agresji militarnej, która w ich przekonaniu jest zupełnie niecelowa dla podporządkowania sobie Zachodu. Jest natomiast wysoce szkodliwa i ryzykowna, ponieważ może zmusić do oporu najbardziej niechętnego do samoobrony przeciwnika. Sowiety nie myślą o podboju Europy Zachodniej. Wolą oddziaływać na parlamentarne rządy przy pomocy partii komunistycznych, których liczebność w najbardziej przemysłowych krajach Europy, z wyjątkiem Anglii i Niemiec Zachodnich, jest pokaźna. W obecnej fazie historycznej władza Partii lub jej dominująca rola w rządzie nie oznacza jeszcze

9. Ograniczoną próbę rozważań na ten temat podjąłem w artykule pt.: „O definicję amerykańskiej rewolucji” w nr. kwietniowym *Kultury* z roku 1972.



zmiany ustroju. Dlatego — nie wykluczając przyszłych ewentualnych przemian w kierunku woli samoobrony, sądzę, że środków ratunku przed ekspansją sowiecką należy szukać poza Zachodem. Po pierwsze wykorzystując spięcia międzynarodowe, które — jak pokazały wypadki na Bliskim Wschodzie — mogą osłabić jej siłę. Po drugie — wewnątrz samego Bloku sowieckiego.

Twierdzenie, że antagonizm sowiecko-chiński przyszedł w samą porę, ratując Zachód przed klęską — jest truizmem. Niemniej fakt pogłębiającego się konfliktu między Rosją a Chinami, manifestujący się coraz większym ładunkiem niekontrolowanych emocji z obydwu stron, nie został dotychczas należycie wykorzystany. Chiny na obecnym etapie rozwoju ekonomicznego, przy przytłaczającej liczbie ludności rolniczej, potrzebują gwałtownie przestrzeni. Dlatego w interesie Zachodu i Japonii jest popieranie ich roszczeń do terytoriów zaanektowanych niegdyś przez Rosję carską. Równocześnie, żeby zwiększyć dla ZSSR ryzyko ewentualnej wojny przewencyjnej, należy udzielać Chinom pomocy militarnej i przemysłowej. To, że ChRL jest państwem komunistycznym i że w bliższej lub dalszej perspektywie może stać się tym, czym obecnie jest Związek Sowiecki, jest najzupełniej możliwe, ale w okresie żyjącego i następnego pokolenia niezbyt prawdopodobne. Chiny najwyraźniej nie idą tą drogą, którą prowadził Rosję Stalin, co opóźnia ich uprzemysłowienie. Jeśli jednak w wyniku rygorystycznej dyscypliny i pomocy Zachodu, ChRL osiągnie dostatecznie wysoki stopień industrializacji, by móc zagrozić reszcie świata — to pierwszym obiektem jej ekspansji będzie prawdopodobnie ZSSR. Wyeliminowanie Sowietów, niekoniecznie jako Państwa, ale jako supermocarstwa, jest dla Zachodu sprawą tak dalece palącą, że warto za to zapłacić wysoką cenę ryzyka w postaci wkładu w dzieło budowy nowego, wrogiego Rosji, komunistycznego giganta. Skutki pomocy dla ChRL, które działać będą paraliżująco na Rosję, ujawnią się w najbliższych latach, dając Europie Zachodniej i Stanom Zjednoczonym chwilę oddechu i szansę rozwiązania własnych piętrzących się problemów ustrojowych. Natomiast groźba ze strony 800 czy 900 milionowych Chin — o ile do niej dojdzie — to sprawa dalszej przyszłości. Zresztą, w obecnej sytuacji, państwa kapitalistyczne nie mają innego wyboru jak tylko zonglować między mniejszymi i większymi niebezpieczeństwami.

Nie należy się też lękać, by w wypadku nowych gwałtownych rozgrywek w ChRL mogła dojść do władzy „frakcja promoskiewska”. Antagonizm sowiecko-chiński nie ma charakteru ideologicznego, bo „różnice ideologiczne” w obecnej fazie rozwoju państw komunistycznych są jedynie fasadą innych konfliktów. Konflikt chińsko-sowiecki ma głębokie organiczne przyczy-

ny, wynikające z przeludnienia, zacofania cywilizacyjnego, które przy wybitnie rolnej strukturze Chin daje się coraz bardziej we znaki. Jeśli się uwzględni, że „za miedzą” rozciągają się leżące odłogiem, niezmierzone terytoria zagrabione Chinom, których Sowiety, mimo wysiłków Chruszczowa, nigdy nie były w stanie zagospodarować — to jasne się staje, że żadne nowe Politbiuro w Pekinie nie może być pro-moskiewskie. Lin Piao wraz ze swymi zwolennikami walczył przypuszczalnie z konkurentami o spadek po Przewodniczącym Mao. Ale treścią tej walki było prawdopodobnie to, i tylko to. W każdym razie nie stosunek do Sowietów. W Moskwie mógł Lin Piao znaleźć azyl i schronienie, ponieważ dla Kremla wystarczającym powodem był jego konflikt z rządzącym kierownictwem KP ChRL.

Z podobnej przyczyny dojrzał moment, aby na problem Niemiec spojrzeć po nowemu. Rozbicie Niemiec na dwa państwa jest historycznym absurdem, który nie wydaje się możliwy do utrzymania przez następne 20 lat. Być może, że to co daje pod rozwagę, zostanie uznane za lekarstwo gorsze od samej choroby, niemniej realia chwili obecnej nakazują przemyslenie najbardziej ryzykownych środków.

Niemiecka Republika Federalna ulega obecnie coraz większej presji Sowietów, a określenie „finlandyzacja” Europy Zachodniej, której pierwszym etapem miałyby być NRF, powtarza się coraz częściej w prasie. Bez względu na to jakimi miałyby być scalone Niemcy, zjednoczenia ich lękają się niemal wszystkie kraje Europy, w tej liczbie Anglia i Francja. Obawy są bezsporne i dobrze umotywowane. Choć zjednoczenia Niemiec nie życzy sobie Zachód, zaryzykuję twierdzenie, że jeszcze bardziej lęka się tej możliwości Rosja. Albowiem IV Rzesza, nawet gdyby była rządzona przez komunistów, wkrótce przestałaby być satelitą Rosji. Satelitami Sowietów mogą być tylko państwa słabe. To co najbardziej dogadza ZSSR — to utrzymanie rządów komunistycznych w NRD, która jest zbyt słaba i geograficznie źle położona, żeby mogła wyrwać się spod kurateli Rosji, plus kapitalistyczna ale posłuszna NRF. Sądzę więc, że zbliża się chwila, w której państwa NATO powinny wysunąć hasło zjednoczenia Niemiec. Z punktu widzenia interesu politycznego demokracji zachodnich korzystniejsze są *jakikolwiek* scalone Niemcy niż Niemcy podzielone na satelitę Rosji — NRD oraz na demokratyczne i wolne NRF, ale w polityce zagranicznej coraz bardziej uległe Rosji. Nie twierdzę, że obecna sytuacja Europy Środkowej jest już tak zła, żeby zjednoczenie Niemiec należało niezwłocznie lansować. Natomiast sądzę, że sytuacja taka może powstać w najbliższych latach. Co się tyczy obecnej Polski, to nie myślę, żeby jej położenie mogło się pogorszyć w porówna-



niu z obecnym. Jeśli idzie zaś o granicę na Odrze, to nie wydaje się aby mogło jej coś grozić. Uznanie jej przez Brandta było niewątpliwie aktem ustępstw wobec Bloku komunistycznego, ale kierowały nim nie tylko te względy. Brandt mógł z lekkim sercem zrezygnować z przywrócenia przedwojennych granic na Wschodzie nie tylko dlatego, że pragnął *détente* z ZSSR. W obecnej fazie rozwoju gospodarczego inkorporowanie z powrotem dawnych wschodnich prowincji mogło mieć tylko znaczenie prestiżowe. Zaawansowanym państwom kapitalistycznym obecnej epoki z ich minimalnym przyrostem naturalnym nie potrzebna jest żadna „przestrzeń życiowa”. Skoro Niemcy Zachodnie importują siłę roboczą, cóżby miały począć z nowymi prowincjami, przywróconymi na łono IV Rzeszy?

Zdaje sobie w pełni sprawę jak dalece tego rodzaju możliwość może wydać się szokująca dla polskich czytelników *Kultury*. Zwłaszcza, gdy doświadczenia historii kilkakrotnie potwierdziły prawdę, że warunkiem istnienia niepodległej Polski było osłabienie przynajmniej jednego z jej potężnych sąsiadów, zaś ich potęga oznaczała jej zgubę.

Nasuwa się jednak pytanie: w jaki sposób, może obecnej Polsce zagrozić istnienie dwóch komunistycznych sąsiadów — biorąc najgorszą ewentualność, że zjednoczone Niemcy byłyby komunistyczne? Według mnie w żaden. Może jedynie pomóc.

Z przyszłym rządem komunistycznym — lub *quasi*-komunistycznym zjednoczonych Niemiec, jeśli do tej ewentualności doszło, swary i konflikty rozpoczną się następnego dnia po jego zainstalowaniu. Wynika to z charakteru wzajemnych stosunków między państwami komunistycznymi. Doświadczenie uczy, że jest to albo stosunek podporządkowania — jeśli partnerzy są wybitnie nierówni, jak to ma miejsce między krajami Demokracji Ludowych a Rosją — albo — ostrego, pogłębiającego się antagonizmu, czego ilustracją są Chiny i ZSSR. Jedynie dystans geograficzny, jaki dzieli Rosję od Kuby, może dać Fidelowi Castro margines politycznej swobody. Ale w tej sytuacji geograficznej nie znalazłyby się zjednoczone Niemcy. Będąc jednak zbyt silne, aby pozwolić sobie narzucić statut satelicki, staną się nowym antagonistą Sowietów — tym razem na Zachodzie. W praktyce oznaczać to będzie zwiększenie szans wyzwolenia nie tylko Polski, ale i pozostałych krajów Europy Wschodniej.

Tej prawdy nie będziemy w stanie uznać tak długo, póki tkwić w nas będą relikty wiary w solidarność państw komunistycznych; póki nie przyjmiemy nowych realiów — tych mianowicie, że komunizm żadnymi więzami solidarności nie łączy będących u władzy partii. W momencie gdy Partia obejmuje rządy,

komunizm staje się już tylko systemem panowania<sup>10</sup>. Tak jak nie było żadnych związków solidarności pomiędzy krajami kapitalistycznymi, które toczyły ze sobą wojny lub zawierały przymierza w zależności od zbieżnych lub rozbieżnych interesów, tak samo nie ma solidarności, wynikającej z podobieństw ustrojowych pomiędzy państwami komunistycznymi.

Jeśli raz przyjmiemy tę prawdę, to wyzwolimy się od nawyków, które każą nam bardziej obawiać się na naszej zachodniej granicy satelickiej NRD niż IV Rzeszy. Tak jak prawdą jest, że potężni przed półtora wiekiem sąsiedzi Polski przyczynili się do jej upadku, tak i prawdą pozostanie, że imperialne interesy doprowadziły nie tylko do wojny ale i do rozbitcia caratu, wilhelmowskich Niemiec oraz Austro-Węgierskiej monarchii. Można wprawdzie odpowiedzieć, że na tę chwilę musieli czekać Polacy z górą 100 lat. To prawda. Ale przemiany w świadomości ludów odbywają się obecnie o wiele szybciej, a skok cywilizacyjny, jaki uczynił świat od końca 2-giej Wojny (przy zamrożonych granicach i systemach rządzenia) wielokrotnie przekracza leniwe tempo historii XIX-wiecznej Europy.

To odmrożenie granic w Europie, które może pociągnąć za sobą załamanie systemów jest — bez względu na stopień ryzyka — wspólną szansą demokratycznej Europy, wschodnich satelitów Rosji i samych Rosjan<sup>11</sup>.

Jednym z warunków *détente* jest w interpretacji amerykańskiej nie ingerowanie w wewnętrzne sprawy ZSSR. Tezę tę twardo podtrzymuje amerykański Departament Stanu i Prezydent. Senator Jackson, uchodzący za oponenta *détente* i będący faworytem amerykańskich Związków Zawodowych, domaga się ograniczonej ingerencji w sprawy wewnętrzne Sowietów jako warunku udzielenia im taryfy najwyższego uprzywilejowania oraz, udostępnienia kredytów inwestycyjnych i amerykańskiej techno-

10. W artykule J. Mieroszewskiego pt.: „Materiały do refleksji i zadumy” Nr 6/321 (1974) *Kultury* autor stwierdza, że socjalizm u władzy staje się instytucją. Uznając trafność tej myśli sądzę, że należy rozciągnąć tę tezę w stosunku do komunizmu i wyciągnąć z niej dalsze wnioski dotyczące sytuacji międzynarodowej.

11. Nie traktuję powyższego krótkiego wywodu w sprawie ewentualnego zjednoczenia Niemiec jako konkretnej propozycji. Jest to tylko sprezentowanie pewnej możliwości, z którą należy się liczyć na tle chwiejnej sytuacji Europy Zachodniej i niewiele lepszej — Ameryki. W moim przekonaniu temat ten zasługuje na rozważę i stanowi materiał do dyskusji, która nasunąć może odmienne wnioski od tych które przedstawił autor.



logii. Senator Jackson kładzie jednak głównie nacisk na prawa wolnej emigracji obywateli ZSSR narodowości żydowskiej. Jak wiadomo, w materii tej Związek Sowiecki poszedł w ciągu ostatnich 2-3 lat na poważne ustępstwa dając paszporty około 50.000 osób, pragnącym wyjechać do Izraela<sup>12</sup>. Próby nacisku ze strony niektórych amerykańskich polityków, skoncentrowane na uzyskaniu prawa wolnej emigracji bez możliwości powrotu do ZSSR, jeśli nawet uwieńczone będą sukcesem, w niczym nie polepszą sytuacji Europy Zachodniej i Ameryki wobec Sowietów. Nikt nie kwestionuje tego, że przywilej swobodnego opuszczenia własnego kraju (z gwarancją powrotu!) jest elementarnym prawem obywatela, ale cała sprawa postawiona jest w niewłaściwej płaszczyźnie. Ludziom, którzy pragną liberalizacji ZSSR dla niej samej, powinno chodzić nie tylko o to, żeby mieszkańcy Sowietów mogli swój kraj opuścić, ale przede wszystkim, żeby mogli w nim swobodnie żyć. Wywalczenie prawa emigracji w niczym nie polepszy losu tych, którzy w kraju pozostają<sup>13</sup>. W niniejszej pracy nie zajmuję się szansami zliberalizowania systemu sowieckiego, natomiast z punktu widzenia dyskusowanej przeze mnie tematyki, w której rozważam problem zabezpieczenia Zachodu przed Rosją, wyjazd z jej granic kilkuset tysięcy obywateli w niczym nie osłabia Sowietów. Przeciwnie — ci, którzy ZSSR opuszczają, nie tylko bez prawa ale przeważnie również i bez chęci powrotu, są elementem potencjalnie opozycyjnym.

Uszczuplenie zaś liczby nawet najbierniejszych opozycjonistów może jedynie przyczynić się do umocnienia systemu.

To co ma natomiast istotne znaczenie dla przyszłości ZSSR i reszty świata — to sprawa swobodnej informacji i przełamania „żelaznej kurtyny” w eterze. O tym piszą wprawdzie niektórzy publicyści europejscy i amerykańscy, ale nie znajduje to prawie żadnego oddźwięku ani w debatach kongresowych w Stanach, ani w przetargach politycznych z Sowietami. Amerykański Departament Stanu, najwidoczniej zgodnie ze swą wykładnią *détente*, dąży stopniowo do sparaliżowania działalności tych masowych środków przekazu, których przeznaczeniem było informowanie obywateli ZSSR i Europy Wschodniej o tym co się dzieje w ich własnych krajach i w reszcie świata. Najwidoczniej — co nie jest pozbawione swoistej logiki u mitomanów *détente* — tego rodzaju działalność jest również ingerowaniem w spra-

12. Przy tej okazji rząd ZSSR wyzywał się pokąźnej liczby elementu przestępczego, głównie pochodzącego z Gruzji, z którym władze izraelskie mają obecnie poważne kłopoty.

13. Na to ostatnie zwrócił uwagę w wywiadzie udzielonym 24 czerwca 1974 roku telewizji amerykańskiej A. Solżenitsyn.

wy wewnętrzne państw komunistycznych. Skoro bowiem nie życzą one sobie, by ich obywatele mieli dostęp do informacji innej niż ta, której źródłem jest Partia, funkcjonowanie zagranicznych rozgłośni na użytek odbiorców ze Wschodu jest wkraczaniem w „suwerenne prawa” Komitetu Centralnego i Politbiura. Tezy tej nie deklaruje na razie obecny Sekretarz Stanu USA, ale ją w miarę możliwości praktykuje. „Głos Ameryki” — oficjalna agencja rządowa — stała się co najmniej od dwóch lat czymś w rodzaju rozgłośni „Towarzystwa Przyjaźni Amerykańsko-Sowieckiej”. „Wolna Europa” i „Radio Swoboda” — które nie leżą w gestii Departamentu Stanu, ale podlegają (od kilku lat) teoretycznie kontroli Kongresu, a w praktyce administracji — ograniczane są coraz bardziej w swej działalności.

Tymczasem informowanie obywateli państw komunistycznych o tym, co się dzieje w obrębie ich własnych krajów, jest dziś ważniejsze niż kiedykolwiek. Ważniejsze dlatego, że Stany Zjednoczone, które straciły przewagę militarną nad Sowietami zarówno w dziedzinie konwencjonalnej jak i nuklearnej, dzierżą wciąż jeszcze potężny atut — możliwość mówienia prawdy tym, którzy żyją w kręgu panowania sowieckiego imperium.

Ocena skutków informacji, płynących z prasy niekomunistycznej na Zachodzie oraz „Radia Swoboda” i „Wolnej Europy”, a przeznaczonej dla Rosjan, Ukraińców, Polaków, Litwinów, Czechów, Węgrów i innych narodów, pozostających w granicach Bloku Sowieckiego, jest trudna do oszacowania. Trudna dlatego — że choć opór w stosunku do władzy komunistycznej w ciągu ubiegłego 29-lecia można oceniać bardzo nisko, nie można zaprzeczyć, że w pewnych chwilach, nieoczekiwanie, fale rebelii wzbierały w poszczególnych krajach tak gwałtownie, że zaskakiwały swą dynamiką Zachód. Czy mogłoby do nich kiedykolwiek dojść, gdyby mieszkańcy tych krajów izolowani byli hermetycznie od kontaktu z resztą świata poprzez całkowite zablokowanie kanałów informacyjnych? Trudno na to pytanie udzielić ścisłej odpowiedzi, niemniej nie podobna negować doniosłej roli informacji, która przedziera się przez eter i zaminowane granice. Gdyby funkcja informacji nie była tak ważna, rządy komunistyczne nie podejmowałyby gigantycznego trudu instalowania setek stacji zagłuszających i karania obywateli nie tylko za kolportaż, ale nawet za posiadanie pojedynczych druków, nie noszących na sobie „imprimatur” komunistycznej cenzury. Coraz nowsza i coraz bardziej rozwijająca się telekomunikacja przy użyciu satelitów może dokonać, i niewątpliwie dokona w niedalekiej przyszłości, wyłomu w murze, przy pomocy którego państwa Bloku sowieckiego z mniejszym lub większym powodzeniem izolują



swych obywateli od szerokiego strumienia informacji. Bezskuteczne próby podjęte 2 lata temu przez delegatów sowieckich w ONZ, by przeforsować rezolucję o zakazie używania przestrzeni kosmicznej dla celów informacji politycznej, dowodzą że w tym właśnie Sowiety widzą dla siebie poważne niebezpieczeństwo. Niewidzialna, ale wybitnie „słyszalna” kurtyna stworzona w eterze, okazała się trwalsza — od żelaznej. Uruchomiony 29 maja przez Stany Zjednoczone satelita, nadający oświatowe programy telewizyjne, odbieralne na razie przez Indie i niektóre kraje Afryki, stanowi dla rządów komunistycznych groźne memento.

Wiele lat temu wydawało się, że ludy, żyjące w sferze sowieckich wpływów, mogą liczyć na Zachód, a przede wszystkim — na Stany Zjednoczone, które bez użycia broni, samą groźbą swej potęgi mogły wówczas wiele wymóc na Sowietach. Z tą nadzieją rozstano się od dawna. Co więcej — sytuacja uległa do pewnego stopnia odwróceniu. Ameryka, mimo wciąż jeszcze imponującej potęgi materialnej, osłabiona wewnętrznym fermentem, nie jest w stanie użyć swych niezmierzonych zasobów tak długo, póki sama nie znajdzie się w obliczu bezpośredniego zagrożenia. Ale nawet i wówczas nie jest pewne czy nie wybrałaby kapitulacji zamiast walki. Legenda bowiem o „śpiącym gigancie”, którego 33 lata temu przebudził atak japońskich samolotów na Pearl Harbour, okazać się może w dzisiejszej epoce już tylko legendą. W tych warunkach ci, którzy przez wiele lat hodowali w sobie zwodniczą nadzieję na pomoc Zachodu, mogą się w krytycznych chwilach, okazać jeśli nie jedyną, to jedną z nielicznych szans, które pozostały Zachodowi.

Jakkolwiek bowiem sceptycznie oceniać będziemy wolę oporu wśród ludności żyjącej w komunizmie, to faktem jest, że jednym z najważniejszych hamulców, który powstrzymuje Sowiety przed konfrontacją z osłabionymi państwami Zachodu, jest obawa przed własnymi narodami i narodami krajów satelickich. Niewiele wprawdzie wiedzą o nich kremlowscy przywódcy. Ale nie trzeba zbyt wiele wiedzieć, żeby się ich lękać. Lękać tego — że w momencie pierwszych niepowodzeń, które mogą spowodować pęknięcie żelaznej dyscypliny, będą mieli przeciwko sobie kilkaset milionów ludzi, przebudzonych z długiego koszmarnego snu.

Zbigniew BYRSKI

New York, w lipcu 1974 r.

## Korespondencja z Rzymu

„Stałe kontakty robocze” pomiędzy Warszawą a Watykanem

Po kilku miesiącach wyczekiwania na sygnał z Warszawy (komunikat z rozmów lutowych abp. Casaroli w polskim MSZ zapowiadał dalsze „stałe kontakty”) zastukał do Śpiżowej Bramy na początku lipca ob. Merker, zastępca min. Kąkola, nowego szefa Urzędu d/s Wyznań. W Watykanie uznano jednak że nie posiada on odpowiednich pełnomocnictw do prowadzenia rozmów (rozgranicza się tu kompetencje techniczne tego Urzędu, jako instancji z jaką mają do czynienia biskupi polscy, od kompetencji formalno-prawnych i dyplomatycznych). Przynaglony telefonicznie przyleciał więc niezwłocznie z Warszawy wiceminister spraw zagranicznych Czyrek. Biuro Prasowe Stolicy Apostolskiej ogłosiło 6 lipca komunikat następującej treści:

„W dn. 4-5 lipca sekretarz Kongregacji d/s Publicznych Kościoła, abp A. Casaroli spotkał się z przedstawicielem rządu PRL, wiceministrem J. Czyrkim. W czasie spotkań, które odbyły się w szczerzej i przyjaznej atmosferze, nastąpiła szeroka wymiana poglądów na temat spraw dotyczących wzajemnych stosunków. Zgodnie z treścią i duchem wspólnego komunikatu, wydanego po wizycie abp. Casaroli w Warszawie w dn. 4-6 lutego bież. roku i uwzględniając postęp we wzajemnych stosunkach, uzgodniono że rząd PRL i Stolica Apostolska ustanowią stałe kontakty robocze (*'contatti permanenti di lavoro'*). Strona polska poinformowała Stolicę Apostolską o kwestiach związanych z normalizacją stosunków pomiędzy Kościołem a Państwem i o swej woli kontynuowania rozmów z episkopatem polskim. Obie strony wyraziły przekonanie, że kontakty robocze będą służyć pozytywnej wymianie poglądów, procesowi normalizacji stosunków pomiędzy Państwem a Kościołem i współpracy na rzecz odprężenia i pokojowego współżycia w świecie. Obie strony wyraziły również odnośne punkty widzenia na temat najważniejszych problemów międzynarodowych, potwierdzając wagę kontynuowania wysiłków na rzecz pokoju i współdziałania pomiędzy narodami”.

Brzmienie tego komunikatu nie podobało się wystannikom Warszawy (zakwestionowano zdanie: „Strona polska poinformowała... z episkopatem polskim”) — wstrzymano więc jego rozpowszechnienie. Komunikat zdążył trafić jedynie do radia włoskiego, a organ watykański *Osservatore Romano* — rzecz znamienna — zaniechał tego dnia nawet ogólnikowej wzmianki o wizycie przedstawiciela rządu PRL, eksponując natomiast obszerny fragment z kazania Prymasa Polski w katedrze warszawskiej z okazji rocznicy koronacji Pawła VI-tego. Po dwu dniach ogłoszono zaś nową, skróconą wersję komunikatu prasowego, z której inkryminowane zdanie wypadło i mowa jest wyłącznie



o ustanowieniu „stałych kontaktów roboczych”. Jak widzimy osobliwe manipulacje, jakim ulegają dość często komunikaty watykańskie, trudno określić jako przypadkowe. Watykan głośno mówi o roli episkopatu w negocjacjach z rządem — Warszawa wstydlivie ją chowa i stara się umniejszyć.

Komentarze prasy włoskiej ograniczyły się do stwierdzenia, że wprawdzie uczyniono dalszy krok w kierunku normalizacji stosunków, nie nadano im jednak nadal charakteru „oficjalnego”, „zinstytucjonalizowanego”. Zastosowano — podkreśla się — formułę dość mglistą, nie wiadomo na jakim szczeblu i w jakiej formie mają odbywać się te przewidziane „kontakty robocze”. Jak stwierdza znany komentator spraw watykańskich, „ogłoszeniu porozumienia w tej materii nie towarzyszy wspólny dokument: faktycznie bowiem, w stosunkach pomiędzy Polską a Watykanem — inaczej niż to działo się pomiędzy Stolicą Apostolską a innymi krajami wschodnio-europejskimi — postanowiono działać w taki sposób by rozwiązywać odrębnie (a nie globalnie) poszczególne sprawy znajdujące się na warsztacie”. Zwraca on również uwagę na fakt, że w rozmowach z przedstawicielem rządu PRL uczestniczył bp Dąbrowski, sekretarz episkopatu polskiego „celowo zaproszony przez Sekretariat Stanu, który chciał w ten sposób potwierdzić, że rokowania z PRL nie będą prowadzone poza plecami biskupów polskich”.

Jak będzie wyglądać struktura i mechanizm tych „stałych kontaktów roboczych”? Wobec braku wszelkich informacji oficjalnych musimy na razie ograniczyć się do „przecieków” i uzyskanych informacji poufnych. Przy ambasadzie PRL w Rzymie powołano „sekcję specjalną dla kontaktów z Watykanem”, w której skład wchodzi m.in. konsul gen. Pawelec-Kwiatkowski oraz pierwszy sekretarz Kubat (amb. Sidor, akredytowany przy Kwirynale, nie może oficjalnie piastować funkcji łącznika ze Stolicą Apostolską). Kontrahentem polskiej „sekcji specjalnej” (w zainteresowanych kołach kościelnych używa się raczej terminu „grupa robocza” zamiast „sekcja specjalna”, co przypomina nomenklaturę wziętą z UB czy KGB) będzie w Watykanie m.in. mons. Dias (Hindus), nowomianowany współpracownik abp. Casaroli i referent d/s Europy Wschodniej na miejsce mons. Montalvo, desygnowanego na nuncjusza w Ameryce Środkowej i konsekrowanego ostatnio przez Papieża na biskupa wraz z primatem Andrzejem Deskurem.

Pewnych trudności przysporzyła kwestia akredytacji abp. Luigi Poggi, przedstawiciela Watykanu, wyznaczonego do „kontaktów roboczych” w Warszawie. Alternatywa akredytowania go przy episkopacie jako delegata apostolskiego odpadła. Wobec zaś braku stosunków dyplomatycznych istniała teoretycznie druga alternatywa: prowizoryczne wyposażenie misji watykańskiej w Warszawie w atrybuty konsularne (koncepcja wysunięta w swoim czasie przez Jana XXIII-go), na co jednak Warszawa nie zgodziła się. Uzgodniono zatem inne wyjście: w Warszawie nie będzie żadnej stałej misji watykańskiej, a abp Poggi, mianowa-

ny w ub. roku „nuncjuszem do specjalnych poruczeń” (por. *Kultura*, nr 9/312, 1973) będzie wielokrotnie podróżować do Warszawy, gdzie jego rozmówcami będą przedstawiciele MSZ.

O samym funkcjonowaniu „kontaktów roboczych” nic bliżej nie wiadomo, ale też nic konkretnego właściwie nie ustalono. „Grupa robocza” w Watykanie i Warszawie ma zajmować się „opracowywaniem materiałów” bez prawa podejmowania decyzji. Tego rodzaju rozwiązanie odpowiada episkopatowi (Watykan, jak się zdaje, był raczej skłonny akceptować formę bardziej „zinstytucjonalizowaną”), ale także rządowi (z innych oczywiście względów). Ostatecznie bowiem pogrzebano tzw. Komisję Wspólną (przedstawicieli episkopatu i rządu), która mogła pobierać wiążące decyzje i miała również podejmować inicjatywę jeśli chodzi o rozmowy polsko-watykańskie. Rząd PRL nie chciał do tego dopuścić — praktyczna likwidacja tej Komisji, milcząco przyjęta przez Watykan, jest więc poniekąd wygraną reżymu warszawskiego.

Najistotniejszym elementem sytuacji, jaka wytworzyła się na odcinku Watykan-Warszawa, jest „bolesny proces” rewizji klasycznej koncepcji watykańskiej rozwiązywania wszelkich spraw w stosunkach z innymi państwami (również spraw wewnętrzkościelnych danego kraju) wyłącznie na drodze dyplomatycznej. Stopniowe opuszczanie przez dyplomację watykańską tradycyjnych, utartych szlaków już się rozpoczęło. Interesująca jest tu pewna analogia sytuacji polskiej i hiszpańskiej: abp Casaroli nie jest dziś w stanie wynegocjować rewizji konkordatu, zawartego z Hiszpanią w roku 1953, wyłącznie z przedstawicielami reżymu frankistowskiego. Episkopat hiszpański nie dał się „wyrolować”. W państwach totalitarnych coraz więcej mają do powiedzenia lokalne episkopaty, bez względu na to czy chodzi o negocjowanie przez Watykan zmian konkordatowych czy też — jak w przypadku Polski — normalizacji stosunków kościelno-państwowych i pomiędzy reżymem a Watykanem, gdzie konkordat nie wchodzi w grę. Rola krajowych konferencji episkopalnych podlega *nota-bene* wszędzie „rewaloryzacji” jak proces ten określa urzędowy język watykański.

Ani „wędrujący nuncjusz” abp Poggi ani „sekcja specjalna” polska w Rzymie nie posiadają dyplomatycznego uwierzytelnienia i pełnomocnictw do pobierania decyzji — mogą co najwyżej formułować propozycje. Klucz do normalizacji stosunków pomiędzy Warszawą a Watykanem znajduje się nadal w rękach episkopatu Polski.

### *Celny strzał i niewypał*

Watykańska *Ostpolitik* jest wciąż obiektem krytyki, nieraz ostrej, ale celnej, innym razem nieskutecznej i wyważającej drzwi otwarte. Przykładem tej pierwszej jest wywiad z pisarzem



rosyjskim Władimirem Maksimowem, autorem „Siedmiu dni stworzenia”, jednym z tych intelektualistów, których władze sowieckie zmusiły w ostatnim czasie do opuszczenia kraju. Maksimow, zaproszony przez Pen Club francuski osiedlił się tymczasem w Paryżu. W wywiadzie udzielonym ostatnio tygodnikowi *Deutsche Zeitung* (Nr 26 z 28 czerwca), pisarz, przeciwstawiając oficjalną Cerkiew — „bierne narzędzie” w rękach władzy świeckiej — „Kościołowi katakumb”, podkreśla zjawisko „rozbudzenia uczuć religijnych” w Rosji, które „aparatus ateistycznego Państwa usiłuje stłumić przy walnej pomocy ze strony Patriarchatu moskiewskiego”. Na pytanie odnoszące się do aktualnej orientacji Watykanu, szukającego „dialogu” z Moskwą m.in. poprzez kanał ekumeniczny z Cerkwią, Maksimow odpowiada: „Obecna polityka Watykanu może prowokować jedynie rozgoryczenie i alienację. Amoralność tej polityki ma ubolewania godne konsekwencje dla losu wierzących w krajach bloku wschodniego. Konstatujemy, że próby zdławienia odrodzenia chrześcijaństwa w tych krajach, zwłaszcza na terenie Rosji, są podejmowane przy milczącym błogosławieństwie kierownictwa Kościoła Katolickiego. Rzecz potworna, lecz niestety prawdziwa”. Na pytanie dotyczące osobistego stosunku do Boga, pisarz odpowiada: „W moim życiu powszednim staram się być posłuszny, zawsze aktualnemu testamentowi św. Efrema syryjczyka: 'Nie domagaj się od Pana sprawiedliwości, bo jeśli miałby on być tylko sprawiedliwy, to już podlegałbyś karze'. Amen”.

A oto przykład krytyki szablonowej, pochodzący z drugiej półkuli: na początku czerwca Kongres Polonii amerykańskiej skierował do Papieża memoriał podpisany przez prezesa A. Mazewskiego. Jest to dokument niefortunnie i staroświecko zredagowany i, co więcej, nieoparty na ścisłych danych faktycznych. Prezes Kongresu Polonii zwraca się do Ojca Świętego „w imieniu 12 milionów Amerykanów polskiego pochodzenia” (skąd ta liczba? — jest ich według najbardziej naciąganych danych, niespełna 6 milionów — w tym mniej niż milion zrzeszonych w organizacjach polonijnych). Memoriał wyraża obawę by Watykan „w zrozumiałym (sic!) dążeniu do ustabilizowania współżycia z komunistyczną dyktaturą podległą Rosji — z pominięciem polskiej hierarchii kościelnej — nie osłabił przewodnictwa polskiego kapłaństwa”. Cokolwiek dałoby się powiedzieć o dotychczasowej realizacji polityki wschodniej (a cytowaliśmy na tych łamach głosy najbardziej miarodajne), Watykan już od przeszło roku stoi konsekwentnie na stanowisku paralelizmu procesu normalizacji stosunków Kościół-Państwo i PRL-Stolica Apostolska, co znajduje wyraz w synchronizacji postępów (czy ich braku) na obydwu płaszczyznach i oznacza, że prowadzenie rozmów z rządem PRL nie odbywa się „z pominięciem” episkopatu, lecz przy jego aprobacie i współdziałaniu (a zatem przy zagwarantowanej możliwości veta ze strony tegoż episkopatu). Krytyczne spojrzenie na aktualną politykę papieską wymaga obiektywnego rozeznania pozytywnych i negatywnych elemen-

tów — krytyka operująca argumentami jednostronnymi i nieopartymi na faktach, jest nieproduktywna.

Do memoriału Kongresu Polonii dołączone jest „oświadczenie”, dotyczące „zabiegów narzucania ateistycznej wyłączności komunistycznej w sferze kształcenia młodzieży polskiej, mocno potępianych przez Polonię Amerykańską”. Memoriał, w związku z negocjacjami polsko-watykańskimi, wyraża „obawy i powątpiewanie” i na zakończenie apeluje do Papieża o „słowa zapewnienia, iż dobro Narodu Polskiego i Katolicyzmu będą rzeczywiście chronione”. Zamiast wysłać kogoś wykwalifikowanego do Rzymu dla przeprowadzenia uprzednich konsultacji z polskimi kołami kościelnymi i doręczenia Papieżowi należycie opracowanego i ważnego dokumentu, Kongres Polonii wystosował „memoriał”, stanowiący niewypał. Niestety, nikt w Watykanie poważnie go nie potraktuje.

#### 10 przykazań dla emigrantów

Prof. Ivan Svitak, znany czytelnikom *Kultury* z rozmowy przeprowadzonej przez Zb. Byrskiego (Nr 9/276, 1970), wybitny filozof czeski, „bliźniak” naszego Kołakowskiego, jeden z protagonistów „wiosny praskiej”, twórca K.A.N., klubu bezpartyjnych socjalistów, pozbawiony przez reżym okupacyjny obywatelstwa i skazany zaocznie na 8 i pół lat więzienia („cyfra z filmu Felliniego” — jak ironicznie komentuje), po wykładach na Columbia University, otrzymał dwa lata temu katedrę filozofii na California State University, udzielił mi wywiadu dla prasy włoskiej w ramach ankiety z czołowymi „rewizjonistami” z Europy Wschodniej. Przy tej okazji przysłał mi maszynopis swej nowej pracy, jaka ukaże się wkrótce w USA, pt. „The Czechoslovak Episode 1968/69, Prospects of Socialist Democracy”, w której przedstawia wnioski, wpływające dla ewolucji społecznej w Europie (i lekcję dla demokratycznej lewicy zachodniej), z socjalistycznego, humanistycznego eksperymentu czeskosłowackiego. W zakończeniu tej pracy formułuje „10 przykazań dla emigrantów” (*Ten Commandments for Emigres*). Tekst zaopatrzony jest w motto „włoskiego emigranta Niccolo Machiavelli” (w wolnym przekładzie brzmi: „Śmieję się, ale mój śmiech jest tylko powierzchniowy, trapię się, lecz mojej udręki nie widać na zewnątrz”). Warto przytoczyć ten tekst w całości:

„1. Nie żywcie nadziei na powrót — tylko wówczas powrócicie. Ojczyzna jest przed wami, nie za wami. Nie podkreślajcie czym byliście w kraju — pokażcie co potraficie; praca jest najlepszym lekarstwem na rozżalenie. Nie bójcie się podejmowania osobistego ryzyka, obawiajcie się natomiast własnego tchłowięstwa.

2. Waszą najwyższą wartość stanowi zaufanie we własne siły; nie pozwólcie nikomu pozbawić was tej wartości i nie sprzedaj-



cie jej za żadną cenę. Nie porównywujcie, starajcie się zrozumieć; jeśli zaś porównujecie, nie idealizujcie przeszłości; jeśli ją idealizujecie, nic nie rozumiecie. Nie ulegajcie nostalgii; jeśli zaś macie skłonność do nostalgii, czytajcie prasę partyjną.

3. Starajcie się zawsze przystosować do nowych sytuacji, ale tak by nie stracić własnej jaźni lub osobistej integralności na skutek tego przystosowania. Nie zapominajcie, że prawda jest czymś co zwykle nie popłaca i że częściej niż rzadziej trzeba za nią drogo płacić. Człowieka nie należy mierzyć sukcesem — prawdziwy sukces stanowi nagrodę dla tych, którzy zabiegają nie o sukces, lecz o prawdę.

4. W każdym człowieku tkwi specyficzna sprzeczność, odmienność od konfliktów pomiędzy narodami i klasami społecznymi. Ta indywidualna sprzeczność stanowi siłę napędową człowieka, ale równocześnie jego największą słabość. Mądrość polega na zrozumieniu własnej sprzeczności i nauczaniu się jak z nią współżyć.

5. Osobista sprzeczność jest nie do rozwiązania ponieważ jest zakorzeniona w samej osobowości. Przewyciężenie tej sprzeczności równa się zniweczeniu osobowości jako jedynej struktury doświadczeń i sytuacji, oraz uniemożliwieniu własnego rozwoju. Nie jesteśmy w stanie przewyciężyć własnej sprzeczności, ale możemy użyć energii w niej zawartą, bądź dla ukształtowania, bądź zniweczenia naszego jestestwa.

6. Możemy być użyteczni dla innych osób tylko wtedy, jeśli mówimy im prawdę o nich, jeśli pomagamy im w utożsamianiu się z samymi sobą. Mówienie prawdy innym jest jednak niezwykle niebezpieczne; możemy mówić prawdę innym tylko wtedy, jeśli ich kochamy lub nienawidzimy. Ludzie obojętni zawsze kłamią, nawet wówczas jeśli fakty zgadzają się z tym co mówią.

7. Możliwość rozwiązania własnej sprzeczności jest dana człowiekowi przede wszystkim poprzez świadomość prawdy o sobie samym. Możecie stać się tym czym chcecie, jeśli chcecie tego czym możecie się stać lub jeśli posiadacie energię by zmienić to czym jesteście. Człowiek jest dynamiczną syntezą rzeczywistości i tęsknoty, stanu faktycznego i transcendencji, indywidualności i uspołecznienia, sprzecznością egzystencji.

8. Źródłem szczęścia jest jedynie życie, w którym ludzie o równych prawach i wartościach wychodzą sobie naprzeciw ponieważ tylko poprzez innych możemy realizować własną wartość. Mężczyźni lub kobiety, starający się znaleźć źródło bezpieczeństwa gdzie indziej, są ludźmi, którzy utracili własną integralność. Lojalni wobec własnej sprzeczności będą wyglądać aż do zgonu niemożliwość: emigracji z własnej jaźni.

9. Osobowość ludzka stanowi zwierciadło sprzeczności celów nie do pogodzenia, tęsknoty i rzeczywistości, przeciwstawnych zasad, które wykluczają się nawzajem jako antytezy osobistej egzystencji. Największym wrogiem emigranta jest on sam, jako żyjący paradoks i jako realność tęsknoty za utraconym domem.

10. Emigrant ucieleśnia paradoks wysiłku rozwiązania kwadratury koła; tworzy ją poprzez usiłowanie osiągnięcia jej. Kwa-

dratury koła, wszelako, nie tylko istnieją, lecz faktycznie odzwierciedlają klimat ludzkiego postannictwa. Kwadratura koła stanowi paradoks bytu, paradoks ontologicznie bezdomnego („beziprorny”) człowieka-emigranta”.

Dominik MORAWSKI

Pisane 25 lipca 1974

## Widziane z Brukseli

### ODPRAWA GENERAŁÓW GRECKICH

(Odyseja z dwoma prologami, trzema księgami, trzema oxodosami i podwójnym morałem)

#### PROLOG I

Aktor: „Nagle ponad zgłębkiem bitwy rozległ się głos potężny, gdzieś z wysoka, jakby się niebo rozwarło: — Dość tej zwady! Przestańcie przelewać własną krew! Do domu! — To bogini Atena czyniła przymierze między ludźmi. Wszyscy struchleli, oręż im wypadł z rąk...” (Parandowski, *Wojna Trojańska*).

Chór: Kissinger nie jest boginią Ateną, a tylko sekretarzem Stanu USA i na bezpośrednie interwencje w wewnętrzne zwady innych państw nie może, jak bogini, sobie pozwolić. Dlatego wszystkie jego interwencje, aby czynić przymierze między ludźmi, aby ludzie przestali przelewać własną krew i poszli do domu, nie dobiegały z wysoka, jakby się niebo rozwarło, a były przeprowadzane przez dyskretny i szyfrowany telefon czy telegraf. Ale i tak wszyscy struchleli, a broń wypadła im z rąk...

#### PROLOG II

Aktor: „Afrodyta nie miała ani ojca ani matki, mimo to nie uważała się za biedną sierotę. Pewnego bardzo pięknego poranka wyłoniła się po prostu z piany morskiej, niedaleko Cypru. Widocznie jej oczekiwano, albowiem na brzegu powitały ją Wdzięki, Uśmiechy, Igraszki, miłe i wesole bóstewka. Za każdym krokiem Afrodyty wyrastały pod jej stopami najcudowniejsze kwiaty... Afrodyta najchętniej przebywała na Cyprze, w Pafos miała sławną świątynię, gdzie powiadano o cudzie, jaki zdarzył się za sprawą bogini w domu Pigmaliona. Był to król Cypru, który zamiast państwem zajmował się sztuką rzeźbiarską. Za taską Afrodyty jego ukochany posąg zmieniony został w żywą kobietę. Nazywała się Galatea. Pigmalion uczynił ją swą żoną



i królową, a ona dała mu syna Pafosa, który założył miasto swego imienia i zbudował w nim wspaniałą świątynię dobrej bogini..." (Parandowski, *Mitologia...*).

*Chór:* Makarios nie jest Afrodytą, miał ojca i matkę; ale na szczęście był król który, w odróżnieniu od Makariosa, nie zajmował się państwem a rzeźbą. Miasto Pafos właśnie uratowało mu życie, tam się bowiem schronił, kiedy musiał uchodzić z Nikozji, gdzie „puczyści” greccy chcieli, odwrotnie do Galatei, zamienić jego żywe ciało w martwy posąg.

Od chwili kiedy Afrodyta z Adonidem opuścili wyspę Cypr, świat miał tylko z nią kłopoty. Już na 1.500 lat przed Chrystusem chodziło tu o surowce strategiczne, nazwa Cypr pochodzi bowiem od greckiego kupion czyli miedzi. Wyspa, jak niektóre Afrodyty, przechodziła potem z rąk do rąk różnych Adonidów. Miasta greckie, potem Fenicjanie, potem Asyryjczycy, potem Egipcjanie, następnie Persowie, potem Aleksander Wielki, potem Ptolomeusze, wreszcie Rzymianie. Rok 330 otwiera okres bizantyjski. W XII wieku ląduje tu Ryszard Lwie Serce na czele Krzyżowców, potem Frankowie, potem Wenicjanie, i wreszcie Turcy. Pozostaną oni tu trzy pełne wieki. Pod koniec XIX wieku losem wyspy godzi się zająć wspaniałomyślna Wielka Brytania. W 1925 roku Cypr staje się jedną z pereł korony, w 1959 roku otrzymuje niezależność.

Wszystko to sprowadziłoby się do czytanki dla dzieci o Wdziękach, Uśmieszkach i Igraszkach, gdyby chodziło tylko o miedź czy Galatę. Niestety, Cypr ma nie tylko surowce strategiczne, ale i położenie. Z usadowionego między Turcją, Grecją, Libanem, Syrią i Izraelem Cypr kontrolować można wszystko co się dzieje we wschodniej strefie Morza Śródziemnego. Żeby wszystko do reszty skomplikować historia sprawiła, że wyspa zamieszkała jest przez ludność dwojakiego, nie kochającego się, pochodzenia — turecką i grecką. Przy czym, choć Cypr leży w pobliżu Turcji, to większość ludności (80 %) stanowią Grecy, którzy chcą zjednoczenia z macierzą, na co Turcja — mniejszościowa, ale bliższa i silniejsza — oczywiście nie pozwala.

Takie spiętrzenie nieporozumień powinno było w 1974 roku wywołać na Cyprze normalną, porządną, zwyczajną, ludzką wojnę. Już się nawet zaczyna. W sumie gdyby Homer żył i pisał swe pieśni, a nie tylko Teodorakis swoje, to powstałoby nowych 24 ksiąg (a nie tylko skromne trzy, jak te moje np.) na temat najgłępszej odysei z możliwych, historii zbiorowego samobójstwa politycznego grupy generałów, trzymających pozornie w rękę wszystkie nici władzy i bogactwa.

*Księga pierwsza czyli nawet USA nie robią z Aten Sparty*

Nie mam pamięci do klasyków, więc nie pamiętam jak to było dokładnie, ale chyba tak:

Sherlok Holmes: „To dziwna historia z tym psem w nocy...”.

Wierny Watson: „Jakto, przecież pies się nawet nie odezwał...”.

Sherlok Holmes: „To właśnie jest ta dziwna historia...”.

W połowie lipca p. Tasca, ambasador USA w Grecji kablował do Waszyngtonu, że pies się nie odezwał w nocy i że gen. Joanides, szef greckiego KGB milczy na temat swych planów obalenia Makariosa i *Anschluss'u* Cypru. To bardzo dziwna historia, powiedział Kissinger, albowiem przypuszczał on, że jest wprost przeciwnie. I tak było. 27 lipca Departament Stanu postawiony zostaje w stan alarmu. Z wielu źródeł nadeszła wiadomość, że Grecy zamierzają pozbyć się arcybiskupa, przyłączyć Cypr, wejść do historii i zdobyć sobie Greków, dziwnie interesujących się inflacją i terrorem.

Dwoma kanałami Waszyngton postanawia przemówić do rozumu generałów. Tasca — znaczy się oficjalny ambasador — otrzymuje polecenie, aby twardo, ale bez najmniejszego nawet mieszanina się w wewnętrzne sprawy suwerennego zaprzyjaźnionego państwa, ułagodzić heroiczne plany generałów. Tasca powiedział więc do dżentelmenów z greckiego MSZ: „Wszystko tylko nie gwałt, bo ten się gwałtem odciska. Wszelka próba zmiany siłą statutu Cypru może się źle skończyć”. „Ależ — oburzyli się dżentelmeni — nic nie jest nam bardziej obce, niż plany gwałtu. Nasi generałowie to gołębie i z obrzydzeniem myślą o użyciu siły...”.

Waszyngton nie był jednak tego pewny. Równocześnie zadrgał więc drugi kanał. Pewni panowie z CIA, których w Grecji nie brak, odnieśli się wprost do generałów, a przede wszystkim do kol. Joanidesa, który — jak tego oficjalnie nawet nie tajono — korzystał przez długi czas z regularnego stypendium naukowego tegoż zasłużonej instytucji... Jak się okazało, p. gen. Joanides jest istotnie zaniepokojony rozwojem wydarzeń na wyspie, gdzie arcybiskup Makarios prowadzi awanturczną i antygrecką politykę, ale żeby myśleć o gwałcie, co to to nie.

Przez kilka nocy jeszcze pies milczał i wydawało się, że amerykańskie przestrogi trafiły gdzie trzeba. 12 lipca jednak amerykański ambasador na Cyprze, p. Davies, kablował do Kissingera, że Makarios liczy się poważnie z zamachem stanu oraz próbą przyłączenia wyspy do Grecji.

Trudno więc przypuszczać, żeby Departament Stanu mógł być zaskoczony, kiedy 15 lipca o świcie 600 oficerów greckich na czele Gwardii cypryjskiej i przy pomocy czołgów T-34 ofiarowanych Makariosowi przez ZSSR jeszcze w 1964 roku, uderzyło na pałac prezydencki w Nikozji. Jego świątobliwość, która już od wielu nocy słyszała jak psy szczekały, uciekła w przebraniu do Pigmaliona w Pafos, a władzę przejął — chwilowo tylko, jak się okazało — niejaki Sampson, z zawodu adwokat, z ideologii — agent grecki, a z *hobby* morderca Anglików, których ochoczo strzelał przed uzyskaniem przez Cypr niepodległości. Sampson uratowany został od stryczka przez pewnego belgij-



skiego prawnika nazwiskiem Levi, który w imieniu Ligi Obrony Praw Człowieka, potrafił przekonać w tym przypadku Anglików, że wrogów należy miłować.

Kissinger rozdarł się wewnętrznie. Z jednej strony, pucz — rzecz nieładna i krwawa. Z drugiej jednak strony, gdyby Cypr został przyłączony do Grecji, korzyści byłyby nie do pogardzenia. Wyspa wylądowałaby w NATO, skończyłyby się sowieckie i trzecioświatowe flirty prezydenta w sutannie, rozbrojona zostałaby groźba, jaką przedstawiało 42% głosów padających w kraju Afrodyty na partię komunistyczną. Nic dziwnego, że Kissinger, świeżutki małżonek, nie miał czasu na wyrażenie oburzenia w sprawie puczu na Cyprze. Waszyngton milczał, kulomioty trzasnęły pod oliwkami...

I tak było aż do chwili, kiedy w sobotę 20 lipca o 4-ej nad ranem z samolotów typu C-130 i C-47 zamiast dolarowych turystów zaczęli wyskakiwać tureccy spadochroniarze. Kissinger nie jest człowiekiem, który sprzeciwiałby się temu co starożytni Grecy określali mianem fatum. Incz Allah dodał po turecku i postanowił zmniejszyć rozmiary klęski.

### *Księga druga czyli wojny trojańskiej o Cypr nie będzie*

Albowiem, aczkolwiek Kissinger święcie przestrzegał zasady nie mieszania się w wewnętrzne sprawy sojuszników, nie należy sądzić, że USA pozbawione były elementów nacisku gdyby, broń Boże, zaszła taka konieczność: 3.000 doradców wojskowych (nie licząc 6.500 marines z VI floty), a przede wszystkim instytucja zwana dziwnie JUSMAGG (*Joint Military Assistance Group Greece*). 200 „funkcjonariuszy” tej grupy, dowodzonych przez generała to przeważnie Amerykanie greckiego pochodzenia, znający język kraju przodków i śpiewający bezbłędnie gregoriańską mszę w niedzielne poranki, pozostaje w stałym codziennym kontakcie z poszczególnymi jednostkami greckimi, gdzie co najmniej jeden z wyższych oficerów odbył staż w USA. Amerykanie mają nie daleko Maratonu centrum łącznościowe; w Heraklionie, na Krecie, jednostkę bezpieczeństwa, z tuzin oddziałów strzegących pocisków atomowych, kilka baterii rakiet Nike i Hawk i wreszcie jednostkę wsparcia nr 7.206 na lotnisku w Hellenikonie pod Atenami, mogącą zapewnić kontrolę powietrzną Aten nawet bez udziału Greków itd...

W pewnym momencie cała ta maszyna została puszczona w ruch. Buldożer zaczął cisnąć. Już w niedzielę 21 lipca partia była rozegrana. Tylko generałowie greccy tego jeszcze nie wiedzieli. Podsyłali hecę wojenną, pisali na transporterach „Express Saloniki-Istanbul”, wołali „Houlya, szykuj się, przybywamy” (Houlya Kocyigit to taka turecka Brigitte Bardot), ładowali komandosów, słowem mobilizowali.

Trudno powiedzieć co należy podziwiać bardziej, głupotę czy ślepotę polityków w generalskich mundurach. Kiedy np. w Ate-

nach ląduje zastępca Kissingera p. Sisco i referuje warunki natychmiastowego zawieszenia broni na Cyprze — niezbędnego dla uratowania resztek dyspozytywu natowskiego we wschodniej części Morza Śródziemnego — generałowie zamiast się natychmiast zgodzić, zagrozili wystaniem ultimatum do Turków. Tego było już za dużo. Waszyngton zrozumiał, że ma do czynienia z osobnikami nieodpowiedzialnymi i niebezpiecznymi, że trzeba się ich pozbyć.

I tu właśnie ujawnia się znowu klasa Kissingera. W niedzielę w Waszyngtonie oznajmił on spokojnie: „Nie mogę jeszcze z całą pewnością określić sił, które przejmą władzę w Atenach”. Bomba. Choć rzecznik prasowy koryguje redakcję zdania na „siły, które mogłyby przejąć rządy w Atenach...” Sisco już przewodniczy naradzie grupy cywilnych osobistości politycznych, wyrzuconych przez wojskowych poza nawias życia publicznego, a nie przebywających na wygnaniu lub w więzieniu. Na porządku dnia tylko jeden punkt: nazwisko człowieka zdolnego przejąć schedę po generałach. W poniedziałek jest już po wszystkim. Zaprzyjaźniony z Amerykanami, niepozbawiony inteligencji gen. Davos, dowódca potężnej I armii w Laryssie, grozi marszem na Ateny, jeżeli jego zbankrutowani koledzy nie opuszczą foteli. W Waszyngtonie Kissinger skromnie zapowiada: „Spodziewamy się zmian w Atenach”. We wtorek jeden telefon z Aten do Paryża załatwia resztę, zmiana siedem lat władzy oficerów, otwiera przed ojczyzną demokracji drogę powrotu do niej.

### *Księga trzecia czyli tajemnica „Mystera-20”*

„Halo, tu Gizekis, dajcie Karamanlisa...”  
„Tylko bez głupich żartów...”

Był to wtorek, 22 lipca (my znamy tę datę z czekolady „ewe-del”). O godz. 18-ej panna Dragaci, sekretarka Konstantyna Karamanlisa, wygnańca wegetującego w 10 pokojach na 11 piętrze bloku nad Laskiem Bulońskim w Paryżu, rzeczywiście sądziła, że to jakiś głupi kawał. Okazało się jednak, że to prawda i że gen. Gizekis, puczowy prezydent Grecji chciał tylko ustalić z Karamanlisem procedurę przekazania mu władzy w Atenach.

„Halo, tu Giscard d'Estaing, czy mógłbym rozmawiać z panem premierem Karamanlisem?...”

Tym razem sekretarka przeziębiona się i uwierzyła.  
„Gratuluje, mówił prezydent Francji, stawiam do Pańskiej dyspozycji mój osobisty samolot 'Mystere-20'...”

„Merci bien”, powiedział Karamanlis, i jako człowiek doświadczony dodał: „Czy mógłbym go zatrzymać przez kilka dni. Na wszelki wypadek?...”

Wsiadając do samolotu Karamanlis westchnął: „Mogę tylko powtórzyć to co Truman powiedział na wiadomość o śmierci



Roosevelta: „Chłopcy, módlcie się za mnie” i odleciał. Mystera wkrótce odesłał.

Karamanlis, macedończyk, jeden z siedmiorga dzieci biednego nauczyciela wiejskiego, jeszcze za młodu mawiał: „Życie jest ciężkie, muszę zwyciężyć”. Kiedy przegrał wybory w 1963 roku, obraził się na Grecję, i wyjechał do Francji. Kiedy w 1967 roku generałowie przejęli władzę, wiedział, że dni ich są policzone. Znał ich głupotę. Nie wiedział tylko ile to będzie kosztować. Dziś ten 67-letni polityk już wie...

### *Exodus czyli barbarzyńcy ale nie idioci!*

1) Awantura grecko-turecko-cyprijska wykazała raz jeszcze jak słaba jest Europa, jak stale rzucana między anarchią a dyktaturą, niezdolna jest do naprawdę samodzielnego bytu. Z rozrzuconiem czyta się niektórych poważnych nawet publicystów dostrzegających się odpowiedzialności CIA za ostatnie wydarzenia w Europie. Nie umiemy już, broń Boże, jej roli, warto by zapytać czy to CIA posadziła na tronie Salazara w Portugalii, Franco w Hiszpanii, nie mówiąc już o wszystkich tych dyktatorach, którzy pojawili się w historii kiedy CIA jeszcze nie było na świecie i nie wspominając już o ustrojach na Wschodzie. Że były wówczas inne wywiady? Oczywiście, ale to tylko potwierdza tezę, że wywiady są częścią historii, ale jej nie tworzą.

A zresztą czyżby demokracja w jej nowożytnym kształcie nie była zawsze w basenie Śródziemnomorskim nader słaba, wrażliwa, jeżeli w ogóle była? Oczywiście, to dobrze jeśli armia zaczyna spełniać postępową rolę w historii najpierw — jak w Portugalii — bo przejmując władzę, a potem jak w Grecji, bo ją oddaje, ale to tylko świadczy o niedogmatyczności, nietypowości a więc o niestabilności sytuacji na całym południu Europy od Lizbony do Nikozji. W takiej atmosferze nie mogą nie dochodzić do głosu (w przenośni i dosłownie) rozmaite ekstremizmy. Nic dziwnego, że w tym bałaganie kiedy niektórzy pomyśleńcy wołają o władzę dla Bakunina, podczas gdy potrzebny byłby raczej Ludwik Filip, to normalni ludzie budzą się z Mussolinim u steru rządu.

2) Rosjanie, aż przykro przyznać, zachowali się mądrze. Mimo, iż po raz pierwszy chyba w historii ZSSR mieli po swej stronie moralność i prawo międzynarodowe, w tej sytuacji — tak dla siebie nietypowej — popełnili zadziwiająco mało błędów. Lokatorów Kremla obudzili naraz i strzały na Cyprze i czerwony telefon od Kissingera. Sprawa była złożona. Nawet dwie sprawy, właściwie.

Pierwsza to Cypr jako taki. Kiedy cały Zachód zarzucał Kissingerowi kompromitujące, niemoralne, pro-greckie milczenie, tylko Rosjanie zachowali umiar, tylko oni rozumieli co i jak. Tak jak Kreml zachował przyjazne, ale całkowite milczenie podczas pierwszych dni ataku egipskiego w Jom Kipur na Izrael,

tak Waszyngton czekał na wynik puczu. A nuż się uda — milczeli Rosjanie w październiku 1973? A nuż się uda — milczeli Amerykanie w lipcu 1974?

Kiedy się jednak nie udało, trzeba było wracać do *status quo ante*, albo prawie (tam przeszli Suez, tu wyszli Makariosa). Tak jak Amerykanie w Jom Kipur, Rosjanie na Cyprze postawili się twardo. To wygląda na paradoks, ale pod pewnymi względami Cypr jest ważniejszy dla Rosji niż dla Zachodu. Ambasada ZSSR w Nikozji jest liczniejsza od ambasad w Kairze, Bejrucie czy Teheranie, a to o czymś świadczy. Cypr mieści niesłychanie skomplikowane sowieckie centrum łącznościowe, tędy idą więzi sowieckiej floty śródziemnomorskiej ze sztabem w Moskwie, nie mówiąc już o sygnałach nadawanych przez 24 godziny na dobę przez dwa „naukowe” statki dryfujące na granicy wód terytorialnych Izraela i Egiptu.

Z tych wszystkich względów Kreml przez czerwony telefon depešował brutalnie: wont pułkowniki z Cypru, nie może być mowy o przyłączeniu wyspy do nатовskiej Grecji. Kissinger to od razu zrozumiał. Kiedy pucz się nie udał a Makarios przeżył, Waszyngton zrezygnował z *Anschluss'u*, a równocześnie z ograniczonych pułkowników.

Druga sprawa to konflikt Grecja-Turcja. Cóż za prezent dla Moskwy! Bez kiwnięcia palcem KGB, bez jednego rubla w dewizach, dwa kraje NATO idą na wojnę, puszczają z dymem amerykański sprzęt, likwidują właściwie cały południowo-wschodni flank nатовskiej maszyny. Trzeba było niełada zimnej krwi i opanowania na Kremlu, aby nie dać się wpłatać w tę awanturę. Ale dyalektycy w Moskwie zwyciężyli. Oni rozumieli, że tu chodzi o twórcze zastosowanie doktryny Leonida Breżniewa do warunków śródziemnomorskich, że ekspedycja turecka, że mord niewinnych, gwałt i pożoga są obiektywnie, po marksistowsku, prawdziwe, tym bardziej, że w odróżnieniu od wycieczki Paktu Warszawskiego z sierpnia 1968 roku do Pragi, desant turecki był zgodny z traktatem w Zürichu, i naprawdę odbywał się na zaproszenie tureckiej części mieszkańców Cypru.

Z drugiej strony, Rosjanie — jak to wykazał jeszcze Stalin wobec Hitlera — to partnerzy lojalni. Amerykanie zachowali się jak dżentelmeni w czasie najazdu na Czechosłowację. Odwrócili oczy, oglądali futbol w telewizji, a nie Iliuszyny na radarach. Ot, nadeszła chwila podzięk. Konflikt turecko-grecki Rosjanie uznali za wewnętrzną sprawę NATO i mimo jakże zrozumiałych pokus nie zabrali właściwie głosu na ten temat.

Z tego punktu widzenia operacja „Cypr” stanowi całkowity sukces kondominialnego modelu współistnienia. Potwierdza raz jeszcze że jest to ułomna co prawda, ale skuteczna formuła kontrolowania świata przez dwóch super-wielkich żandarmów. Potwierdza teorię, którą Brukselczyk bez większego echa zresztą, rozwinął na tych łamach po wojnie kipurowej, według której super-mocarstwa potrafią gasić pożar, ale nie potrafią go unikać, potrafią likwidować konflikty między zwasalizowanymi part-



nerami, ale nie potrafią zażegnać ich wybuchu, że super-nacjonalizmy uznają głębię dla małych nacjonalizmów, a przede wszystkim, że zawsze będą starały się o poprawienie swej własnej pozycji w ramach równowagi strachu wykorzystując lokalne wojny, zawsze jednak zatrzymają się w porę, zanim mogłoby dojść do konfrontacji oko w oko.

3) Król jest znowu nagi i niewiele ma do pokazania. To mało odkrywcze sformułowanie jest jednak jednym z najbardziej doniosłych wniosków z tzw. wydarzeń w Grecji i w Portugalii. Zamachy stanu już bywały i przedtem, znamy spiski lepiej przeprowadzone, szybciej, i równie bezkrwawo. Ale nigdy jednak dwa trzęsienia ziemi, tak odległe geograficznie i tak bliskie w czasie, nie wykazały w tak kompromitujący sposób jak bardzo słabe są w istocie tak zwane reżimy silnej ręki, jak puste, oderwane od bazy, jak krucho są wszystkie dyktatury.

I w Grecji i w Portugalii dyktatury doszły do władzy w okolicznościach przypominających Republikę Wejmarską i Hitlera: silni ludzie przejęli władzę aby skończyć z bałaganem i zaprowadzić porządek. W obu wypadkach, w Portugalii po 50 latach, w Grecji — po 7 latach, wystarczyło kilka minut, aby cały nowy porządek się zawalił, aby wyszła na jaw cała nienawiść i cała pogarda dla obalonego reżymu, dla postaci, które przez tyle czasu nie schodziły z portretów i trybun honorowych.

I tu nadchodzi człowieka smutna refleksja i chwila zadumy. Europa jest dumna, szczęśliwa, wypina pierś. Jeszcze tylko zemrze Franko, i cały kontynent będzie demokratyczny. Pierwsze wolne terytorium świata, zapowiadają — jak Fidel Castro na Kubie — miłośnicy i bojownicy o demokrację. Kolebka demokracji znów przoduje światu.

„A na wschód od Łaby, czy tam też już panuje demokracja? Czy Europa kończy się na linii demarkacyjnej w Niemczech” — pytają wieczni malkontenci i szkodliwi maniacy. Czy w Berlinie 1953, w Poznaniu 1956, w Budapeszcie 1956, w Pradze 1968, w Gdańsku 1970, czy wszędzie tam reżym wytrzymał dłużej niż w Lizbonie czy Atenach? Któż mógłby zagwarantować, że w 60 lat po rewolucji ustrój sowiecki okazałby się bardziej ukochany niż np. portugalski?

„Drogi Panie” — mówią realisci z Europy miłującej demokrację — „różnica polega na tym, że w Atenach i w Lizbonie reżym się rozsypał, a wszędzie tam, gdzie Pan tak niedelikatnie wraca, reżym przetrzymał i ciągle jest u władzy”.

A no, prawda, przetrzymał i jest u władzy. Tylko co powiedzieliby ci panowie, tak wrażliwi na przemoc i prawa jednostki, gdyby grecki generał Joanides rozwalił wprost kilkaset osób i pozostał u władzy? Albo gdyby amerykańskie i luksemburskie czołgi przywróciły w imię NATO rządy p. prof. Caetano? A przecież w Gdańsku, nie mówiąc już o Budapeszcie — bo to byłaby demagogia — od kul policji czy wojska padło więcej ofiar niż w czasie wszystkich, powtarzam, wszystkich razem przewrotów, wybuchów, zaburzeń, strajków, starć w Europie Zachodniej w

okresie powojennym, włączając w to walkę klasową w Portugalii, Grecji i Hiszpanii.

Nikt rozumny nie nawołuje do nieuznawania ustrojów, które przetrzymały Pragę, Budapeszt, Gdańsk, tak jak nie można było nie uznawać Stalina, bo przedtem był Kanał Białomorski. Ale z tego nie wynika przecież, że na wschód od Łaby strzelają obrońcy demokracji a padają jej przeciwnicy? Dlaczego mówienie prawdy o Joanidesie to była obrona praw człowieka i demokracji, a mówienie prawdy o Husaku to uprzedmiotowienie zimnej wojny? Czym się różnił obóz w Yaros czy policja portugalska PIDE, od jakiegokolwiek z wysp Archipelagu Gułag lub KGB czy UB, jeżeli pominąć oczywiście fakt, iż Yaros i PIDE już są nieczynne, a archipelag Gułag i KGB wciąż dymią? Błyskawiczna rozsypka policji w Budapeszcie i Gdańsku interpretowana jest inaczej? Czy świadczy ona o sile ustroju tylko dlatego, że połączone siły wojska, policji oraz armie obce, potrafiły w końcu przywrócić „porządek”? Codziennie gdzieś ktoś denuncjuje *apartheid* w Afryce południowej czy segregację faktyczną jeżeli nie prawną w USA. I znowu słusznie. Ale dlaczego coraz trudniej jest upomnieć się o Ukraińców, Tatarów, Litwinów, Żydów w ZSSR...

Rozumiem, że afera Nixona zajmowała pierwsze strony gazet na Zachodzie. To przecież „nasz” demokratyczny prezydent, a tyle nabroił, to przecież cała *credibility* amerykańskiej demokracji była stawką w grze. Czegośmy o nim nie wypisali, zabrakło przymiotników w słowniku oxfordzkim. I znowu słusznie. Ale żeby odpowiedzią na to była publikacja, która pod tytułem „Nicolae Ceausescu, czyli XXX rok wspaniałego przeznaczenia” kreśliła portret tego rumuńskiego stalinika w taki sposób, że jedyne miejsce godne tego pana znajduje się na prawicy Stwórcy, jeżeli nie wprost na miejscu stwórcy, to przesada. Tym bardziej, że to gustowne opracowanie, przypominające żywcem adresy na 70-lecie Józefa Stalina, opublikowane zostało za pieniądze... *Société Générale*, jednego z największych banków belgijskich. Śmiać się czy płakać...

Dla starożytnych Greków wszyscy obcy nosili nazwę barbarzyńców. No, dobrze, bądźmy barbarzyńcami, ale nie wpadajmy w idiotyzm!

#### *Epilog, czyli ja i wyspa miłości*

Kilka dni temu otrzymałem broszurę reklamową jednego z wielkich biur podróży (nie wiem dlaczego jestem taką literaturą zasypywany, może z powodu sławy, bo wiadomo przecież że pieniędzy nie mam). Normalnie takie kolorki z dziwką na okładce wyrzucam bez czytania, żeby sobie nie psuć krwi niepotrzebnie. Tym razem przeczytałem zachęcony tytułem: „Cypr na ciebie czeka!”. Dlaczego akurat na mnie? Dowiedziałem się. „Cypr — głosiła dziewczyna z okładki — gorące serce Morza



Śródziemnego, nie jest wyspą jak inne... To wyspa szczególna. Wyspa miłości, gdzie każdy czuje się jak u siebie, albowiem słowo *xenos* znaczy tu i obcy i przyjaciel... Nic dziwnego, że wyspę tę wydzielano sobie... Każdy okupant pozostawił tu jednak po sobie pomniki, które wieki i słońce harmonijnie pomieszały... Kyrenia to idealne miejsce dla miodowych miesięcy...". Wyrzuciłem precz gazety z opisami krwawych scen i pomników jakie po sobie pozostawiają aktualni okupanci, chciałem już jechać na wyspę miłości, kiedy przeczytałem, że „Biuro podróży nie ponosi odpowiedzialności za siły wyższe, które przeszkodziłyby lub przerwały pobyt...”.

Sierpień w Brukseli też nienajgorszy, pomyślałem, i żadne siły wyższe, z wyjątkiem fali gości (których kochamy, ale których prosimy o wcześniejsze zawiadamianie, bo musimy jakoś regulować ruchem) nie grożą przerwaniem pobytu.

„Kiedy w Brukseli jest południe, na Cyprze bije pierwsza”, kończy prospekt. To na zegarze. W rzeczywistości różnica jest większa. Dzielą nas lata, jeżeli nie wieki. Nie tylko od Cypru...

*Morał jeden, ale podwójny*

Nikt z tych, którzy z takim uporem stosują dwie miary w ocenie tych samych zjawisk, w zależności od tego czy zachodzą one na wschód czy na zachód lub południe od rzeki Łaby, nie powinien jednak ulegać złudzeniom.

Po pierwsze bowiem — jak wykazały wydarzenia, którymi się dziś zajmowaliśmy — narody pod wszelką dyktaturą uczą się dość szybko hipokryzji, ulegają schizofrenii społecznej, uprawiają podwójną mowę, żyją w kulcie cwaniactwa, windują rezygnację do rangi cnoty, a linię najmniejszego oporu do rangi filozofii, ale nigdy jeszcze i nigdzie narody przed dyktaturą nie skapitulowały ani jej nie zaakceptowały ostatecznie. Aby to udowodnić wystarczyła po latach sprawowania władzy jedna tylko minuta prawdy.

Po drugie, choć istotnie w opisanych dziś tragediach, i we wszystkich innych także, ginęli przeważnie ludzie, których nikt nie pytał o zdanie, to nie należy zapominać, że w końcu oni się odezwą. Albowiem, jak mawiał Napoleon — a on się na tym znał — z bagnietem można wszystko zrobić, ale nie można na nim zbyt długo wysiedzieć!

Pisane 12 sierpnia 1974

BRUKSELCZYK

*Z ostatniej chwili, 17 sierpnia 1974*

Felieton wytrzymał próbę czasu, przeżył trzydniową wojnę turecką, upadek Famagusty i kilka rezolucji Rady Bezpieczeństwa. Niewiele mam do dodania i prawie nic do poprawienia.

Chciałbym jedynie uprzedzić mojego Czytelnika, żeby nie dawał wiary nekrologom Kissingera, jakie ukazały się w niektórych szalenie poważnych dziennikach zachodnich. Wbrew pobożnym życzeniom pewnych asów dziennikarstwa, Cypr nie stanie się ani Waterloo ani Watergate Kissingera. Na to trzeba czegoś mocniejszego niż afera cyprijska. Z punktu widzenia super-wielkiej historii nic nieodwracalnego właściwie nie zaszło, nawet jeżeli uwzględnić anty-amerykańskie tendencje Aten i zamiary poważnego zredukowania wojskowej obecności USA w Grecji. Tylko Rosjanie — znowu trzeba to przyznać, ludzie doświadczeni i nieczuli na sentymentalne konsyderacje — zachowali umiar, a Kissingera traktowali nieprzerwanie jak żywego i ciągle urzędującego sekretarza Stanu USA. Tym, którzy dali się zwieść żałobnym pieniom, *Le Monde* np., chciałbym przypomnieć, że po wojnie kipurowej Kissinger powiedział do pewnego Francuza nazwiskiem Jobert, naówczas ministra Spraw Zagranicznych p. Pompidou: „Wojna między Żydami a Arabami to konflikt lokalny, który urósł do rangi regionalnej, aby stać się w końcu międzynarodowym. Moją jedyną ambicją jest sprowadzić go z powrotem do rzędu regionalnego, a następnie lokalnego. Jeżeli bowiem chodzi o rozwiązanie zasadnicze, to to się nikomu nigdy nie uda”.

Jeżeli chodzi o Cypr, to ambicje Kissingera nie sięgają wcale dalej.

B.

## POLSKA KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA

7970 SUMMERDALE AVE., PHILADELPHIA, Pa. 19111, USA.  
Tel.: (215) RA 5-9723.

Posiada na składzie książki w języku polskim, m.in. wydawnictwa Instytutu Literackiego w Paryżu. Przyjmuje prenumeraty *Kultury i Zeszytów Historycznych*. Prowadzi antykwariat. Kupuje stare polskie książki, obrazy, monety i wszelkie polonica. Katalogi, informacje, premie — bezpłatnie.



## Sąsiedzi

### W sowieckiej prasie

„U nas, w sowieckiej ojczyźnie, każdy może wybierać odpoczynek według swego gustu” — tak podniosło rozpoczyna się wstępny artykuł w *Sowieckiej Kulturze*. To jest pewnik. Udowodniać go nie potrzeba. W sowieckiej ojczyźnie można wybierać do woli. Artykuł w *Prawdzie* o wyborach do Rady Najwyższej zatytułowano zatem: „Zwycięstwo sowieckiej demokracji” — 99,99 % sowieckich obywateli wykazało zdumiewająco podobne gusty — wszyscy głosowali na kandydata, na którego proponowano im głosować. Jednakowoż ostatnio charakterystyczną cechą jest nacisk na „wybór” odpoczynku. Jest to w pierwszym rzędzie kolejna kampania. Ale również charakterystyczny symptom natężenia walki z trochę rozbałwaną opinią społeczną, walki o ostateczną likwidację wszystkich nadziei na jakiegokolwiek osłabienie kontroli nad życiem obywateli.

Walka ta ma charakter wielostronny: KC partii w czerwcu bież. roku zadecydował „zwiększenie wykładów nauk społecznych” na wyższych uczelniach. Nauki społeczne to historia KPZS, filozofia marksistowsko-leninowska, ekonomia polityczna i podstawy naukowego komunizmu (na wydziałach matematyki na uniwersytetach na wykłady „nauk społecznych” poświęca się 12,7 % czasu), a do nich niewątpliwie w najbliższym czasie zostanie dodane „marksistowskie religioznawstwo”, powiększy się sieć partyjnych wykładów, kółek propagandowych, itd. Główny nacisk jest jednak skierowany na „wolny czas”, to jest na czas, który pozostaje do pracy. „Wolny czas” — poucza Leonid Ilicz Breżniew — „to nie jest czas wolny od odpowiedzialności przed społeczeństwem”. Dlatego też KC KPZS podjął specjalną uchwałę: „Zasady najlepszego zorganizowania odpoczynku pionierów i uczniów”. To kolejne ulepszanie odpoczynku sprowadza się do organizowania pracy „społecznie korzystnej” w okresie wakacji letnich. Zalecono „wciągać do pracy” w przedsiębiorstwach, kołchozach i sowchozach uczniów. Niektórzy obywatele sowieccy

próbują ponadto bezmyślnie odpoczywać w drodze do pracy lub z niej powracając. Ale partia i tu ich odnajduje. Korespondent *Prawdy* w okręgu lwowskim pisze, że w autobusie — który przywozi do pracy i z pracy setki robotników, żyjących we wsiach oddalonych od budującego się miasta Nowyj Razdoł — „zawsze znajduje się jeden z członków aktywu propagandowego”. Godzina drogi jest w ten sposób wykorzystana „dla przeprowadzania propagandy”. Ale nie ma ratunku i po powrocie do domu: Trzeba słuchać Breżniewa. Na początku lipca tylko za 50 kopiejek można (a nawet trzeba) było zakupić płytę z przemówieniem Leonida Ilicza na zjeździe komsomołu. Należy tu podkreślić, że cena jej nie jest wygórowana. Np. tego samego rozmiaru płyta Beethovena kosztuje 2 ruble 50 kop. a, powiedzmy, za płytę Beatlesów trzeba zapłacić na czarnym rynku co najmniej 120 rubli. Tak więc jeśli idzie o cenę Breżniew może z powodzeniem konkurować ze wszystkimi płytami zachodnimi, tym bardziej że od czasów Stalina wodzowie — nie wiadomo dlaczego — nie nagrywali swoich przemówień. I nawet Josif Wissarionowicz robił to tylko w okresie przedwojennym. Za to z właściwym mu rozmachem. Wspaniałe album z nagraniem referatu o konstytucji składa się nie tylko z płyt z tekstem, ale i z dwóch płyt na których — z obu stron — były nagrane tylko oklaski, którymi przedstawiciele narodu sowieckiego witali największego geniusza wszystkich czasów i narodów.

Na płycie Breżniewa jest tylko tekst jego przemówienia, którego sowieccy obywatele mogą obecnie słuchać w każdej wolnej chwili.

Płyta Breżniewa to drugi symptom wzmocnienia nacisku na obywateli w kierunku powrotu do koncepcji Wodza. Minęły już czasy kiedy należało mówić o „kierownictwie kolektywnym”.

W Związku Sowieckim nie przeprowadza się, jak dotąd, sondaży popularności kierowników państwowych. Kto jest najpopularniejszy — decyduje Politbiuro. Rezultaty takiej decyzji można poznać obliczwszy ilość okręgów wyborczych „domagających się” wysunięcia takiego czy innego kandydata do Rady Najwyższej w okresie wyborów. W połowie kampanii wyborczej, gdy 740 okręgów „wybrało” swego kandydata, ogłoszono oświadczenie wodzów wybierających dla siebie okręg. Z tego oświadczenia można było dowiedzieć się, że Leonida Ilicza chciano wybrać w 115-tu okręgach, a jego najbliższych kolegów Kosygina i Podgornego w 60-ciu, Susłowa zaś jedynie w 33-ch, itd. Minęły wybory i wszyscy bez kłopotu znaleźli się w Radzie Najwyższej. Pierwszego dnia sesji wystąpił Breżniew: „Deputaci i goście stojąc przywitali go burzliwymi i długotrwałymi oklaskami”. Podgornego i Kosygina — jakby się umówiono — witano tylko „długotrwałymi oklaskami”. Breżniew osobiście zaproponował pozostawienie na stanowisku przewodniczącego Rady Najwyższej Podgornego, a na stanowisku przewodniczącego Rady Ministrów — Kosygina. Jakby powiedział George Orwell o dzisiejszym ko-



lektywnym kierownictwie: „wszyscy równi, ale niektórzy równiejsi od innych”.

Byłoby jednak nieścisle wyciąganie wniosków z tańca wokół Breżniewa, że obecny sekretarz generalny posiada taką samą władzę, jaką dysponował Stalin. Utwierdzanie kultu Breżniewa wynika z głębokiej tęsknoty sowieckiego kierownictwa za silną ręką, za immanentną potrzebą sowieckiego państwa posiadania Gospodarza. Na zewnątrz tłumaczy się to niebezpieczeństwem wojny, zagrażającej Związkowi Sowieckiemu. 4 czerwca br., na spotkaniu z wyborcami, min. Obrony ZSSR, członek Politbiura, marszałek Greczko wygłosił zdumiewające zdanie: „Niebezpieczeństwo wojny jest surową realnością naszych czasów”. 28 lipca *Prawda* rozszyfrowała słowa marszałka: „Kierownictwo pekińskie rozbudowując antysowietyzm jednoczy się z imperialistami przeciwko socjalizmowi i pokojowi. Z tego więc powodu byłoby błędem sądzić, że niebezpieczeństwo wojny nie istnieje”. Ale jest jeszcze jedno potencjalne źródło groźby wojennej: ze strony Związku Sowieckiego. Wódz filozofów sowieckich, akademik P. N. Fiedosiejew, reasumując w piśmie *Waprosy Filozofii* rezultaty międzynarodowego Kongresu Filozofów oburzał się na tych wszystkich, którzy poddawali w wątpliwość pojęcie „wojny sprawiedliwej” i podkreślał: „pokojowa polityka obozu socjalistycznego powinna być prowadzona... z pełnym uwzględnieniem dynamiki naszej epoki, a przede wszystkim masowego, wyzwolenieczego, rewolucyjnego ruchu, walczącego z zacofanymi siłami reakcji”.

A więc po krótko: Mogą napaść na Związek Sowiecki, może i Związek Sowiecki rozpocząć „sprawiedliwą wojnę”. A zatem jest uzasadnione wzmacnianie represji i propagowanie silnej władzy.

Literatura sowiecka, wiernie oddająca potrzeby przywódców państwa, nie dała długa na siebie czekać. Ilość utworów o ludziach żelaznej ręki rośnie z niebywałą szybkością. W pierwszym rzędzie są to książki o Stalinie. I każda następna idzie w wychwalaniu Wodza Narodów coraz dalej i dalej. Powieść Iwana Stadniuka „Wojna”, której drugą część opublikowano w 5, 6 i 7 numerach miesięcznika *Mołodaja Gwardia*, zajęła jak dotąd w apoteozie Stalina pierwsze miejsce. Pierwsza część powieści była wydrukowana w miesięczniku *Oktiabr* w 1970 roku (Nr 12), potem wyszła w wydaniu książkowym, a następnie — w nakładzie półtora miliona egzemplarzy — w *Roman Gaziecie*. W sumie dało to nakład dwu-milionowy. Nie zadawałając się tym Iwan Stadniuk pisze dalszą część, na której tematu nie wyczerpuje. Sowietcy satyrycy Ilf i Pietrow używali określenia: „Sztuka na granicy przestępstwa”. Stadniuk lekko tę granicę przekroczył. Pisze on tak jakby literatura rosyjska przed nim nie istniała — zaczyna od abecadła i na nim kończy. Powieść „Wojna” jest jednak interesująca jako odzwierciedlenie ostatnich wskazówek partii w dziedzinie przedstawiania niedawnego okresu historycznego i roli Stalina. Wszystkie próby odbudowania choćby setnej części

prawdy historycznej — które miały miejsce w latach 1956-1964 — zostały definitywnie przekreślone. Wszystkie rehabilitacje znów przerehabilitowano. O rzezi sprawionej przez Stalina w wojsku w latach 1937-1938 Stadniuk pisze: „Nici spisku trzymali w swych rękach Tuchaczewski, Jegorow i Gamarnik. We wszystkich okręgach wojskowych... poustawiali oni... swoich ludzi... spisek istniał”. To mówi niejaki płk Mikofin. Wtórzuje mu postać autorytatywna, wybitny historyk wojenny, prof. Romanow: „Jest rzeczą straszną, specjalnie w przededniu wojny, gdy na głównych stanowiskach wojskowych, choćby nie na wszystkich... mogą się znaleźć... jawni wrogowie...” Tenże profesor wyliczając „winnych”, tych których słusznie zniszczono, przypomina „zdradę” Trockiego i Bucharina. Zdawałoby się, że dawno zostali zrehabilitowani Tuchaczewski i inni wojskowi; w 1962 roku na zebraniu historyków akademik Pospiełow jak najbardziej oficjalnie oświadczył: „Wystarczy uważnie przestudiować dokumenty XXII Zjazdu KPZS, by dojść do wniosku, że ani Bucharin, ani Rykow nie byli, rzecz jasna, ani szpiegami ani terrorystami”. Stadniuk twierdzi, że jednak byli wrogami, że Stalin miał rację niszcząc ich, że słuszną była również metoda masowego terroru: „Lepiej by do niewodu wpadła każda płotka — można ją potem znowu wrzucić do wody — niż gdyby choć jeden szkodnik pozostał na wolności”.

Iwan Stadniuk nie uchyla się od stawiania pytań: Dlaczego podpisano umowę sowiecko-niemiecką; dlaczego Związek Sowiecki napadł na Finlandię; dlaczego napad Hitlera na Związek Sowiecki był dla Stalina zaskoczeniem; dlaczego Czerwona Armia poniosła tak ogromną klęskę i niebывałe ofiary w pierwszych miesiącach wojny? Stadniuk nie uchyla się od zapytań, ale uchyla się od odpowiedzi na nie. Daje kłamliwe, głupie, nierzadko bezmyślne wyjaśnienia połączone jednym wspólnym stwierdzeniem: Tak było trzeba.

Cała przedwojenna polityka zagraniczna Stalina, włączając pakt sowiecko-niemiecki, jest wyjaśniona dążeniem do przeciwdziałania podstępny planom Anglii, które Stadniuk reasumuje w genialnej w swojej prostocie formułce: „Właśnie w Londynie narodziły się plany oderwania przez Hitlera Ukrainy od Związku Sowieckiego”. Stadniuk z dumą podkreśla, że tylko genialny Stalin mógł tak głęboko przeniknąć rachuby przebiegłych wrogów rewolucji, którzy przed nim drżeli, Stalin dobrze o tym wiedział. Stadniuk przypisuje mu następujące rozważania: „Hitler przecież jego — Stalina — boi się!... Boi się jego woli i siły zagadkowego charakteru, boi się jego wykształcenia i talentu myśliciela, boi się jego autorytetu wśród narodów i rządów”. To Stalin tak myśli o sobie. Stadniuk zgadza się z nim całkowicie i dodaje od siebie: „Wielki filozof marksistowski, historyk, dyplomata, umiejący trzymać rękę na pulsie wrogów i przyjaciół”.

Nic dziwnego więc, że wszystkie klęski pierwszego okresu wojny wyjaśnia Stadniuk błędami i przestępstwami niedobitych



przez Stalina generałów, a w szczególności dowódcy Białoruskiego Frontu, gen. Pawłowa i jego sztabu. Rozstrzelanie ich na rozkaz Stalina, „człowieka którego losy są niezwykle nawet w kategoriach historycznych”, wydaje się autorowi powieści „Wojna” aktem najwyższej sprawiedliwości.

Puszkina w swoim czasie zalecał: „Pochlebcy, pochlebcy, starajcie się i w podłości zachować odcień szlachetności”. Aleksander Czakowski, także piszący niekończącą się powieść o Stalinie z okresu wojny, stara się ten odcień zachować, Stadniuk zaś dumnie się od niego odrzeka.

Kluczowa scena powieści „Wojna” to rozmowa Stalina z jedynym jego wiernym pomocnikiem, towarzyszem Mołotowem (rehabilitacja Mołotowa jest dziś nieodłącznym elementem odrodzenia kultu Stalina). W pierwszych dniach wojny Stalin „naradza się z Leninem” i znajduje u twórcy państwa sowieckiego receptę, którą wyklada Mołotowowi: „Czyż nie współcześnie brzmią takie słowa Lenina” — retorycznie pyta wódz narodu — „... Każde rozmuchiwanie kolegiałości, każde jej wypaczenie jest największym złem... Lenin kategorycznie przypomina: W praktyce decyzyj winna być powierzana jednemu towarzyszowi, znanemu ze swej siły woli, zdecydowania, odwagi, umiejętności prowadzenia konkretnej sprawy i cieszącemu się największym zaufaniem... Tak, towarzyszu Mołotow, tak nas uczy Lenin”.

I rzeczywiście: tak uczył i uczy Lenin. Już w marcu 1918 roku Lenin stwierdzał, że „każdy wielki maszynowy przemysł” potrzebuje „jednoosobowej dyktatorskiej władzy... bezwarunkowego podporządkowania się jednej woli”, a w rok później znów nalegał: „należy wysuwać zasadę osobistego autorytetu, moralnego autorytetu danego człowieka, którego decyzjom wszyscy się podporządkowują bez długich rozważań”. I w marcu 1920 roku raz jeszcze podkreślał: „Przeciwstawianie się niezbędności centralnej władzy, dyktaturze i jedynej woli... staje się niemożliwe...”.

Znaczenie powieści Stadniuka polega na tym, że całkiem słusznie podkreśla ciągłość dyktatury: Od Lenina do Stalina, a od Stalina do obecnych i przyszłych sekretarzy generalnych. „Tak uczy nas Lenin!” Tak było i tak będzie.

Specjalne miejsce wśród najnowszych książek o Wodzu (o niezbędności Wodza dla narodu sowieckiego) zajmuje powieść Nikołaja Szundika „W stronie sinieokoj”. Opublikowana wiosną 1974 roku w *Roman Gaziecie* (sowiecki *livre de poche*) o normalnym nakładzie półtora miliona egzemplarzy (a ponieważ w 2-ch numerach — to 3 miliony egzemplarzy), powieść Szundika jest jeszcze gorsza od „Wojny” Stadniuka. Ale zostawmy literaturę w spokoju. Ważna jest treść. A treść powieści Szundika jest niezwykła — jest to historia jednego z najbardziej głośnych skandali, jaki wstrząsnął sowiecką górą w ostatnich 15-tu latach. Można by powiedzieć, że jest to historia sowieckiego Watergate, jeśli Watergate nie wygląda w porównaniu na niewinny dowcip. Dziś, kiedy już wiemy jak zakończyła się historia Watergate — powieść Szundika wzbudza specjalne zainteresowanie.

Ale zacznijmy od początku, od roku 1959, od okresu apoteozy Chruszczowa. W końcu 1958 roku sekretarz riazańskiego komitetu okręgowego, Aleksiej Łarionow, wystąpił z obietnicą zwiększenia trzykrotnie w ciągu roku dostaw mięsa i mleka dla państwa. W grudniu 1959 roku, na plenum KC, zawiadomił on o wykonaniu swego zobowiązania. Chruszczow wynosił go pod niebiosa, twierdząc, że Łarionow „dogał i przegnał Amerykę”. Trzy plany w jednym roku stały się oficjalnym hasłem dla wszystkich okręgów. 22 września 1960 roku Łarionow nagle umarł. Pisma poświęciły mu podniosłe nekrologi, ale po kilku dniach rozeszły się w Moskwie plotki, że Łarionow się zastrzelił. Dopiero po dwóch latach ogłoszono przemówienie Chruszczowa ze stycznia 1961 roku, w którym w nieśmiałych aluzjach mówiło się o „sprawie Łarionowa”, o tym, że dla wykonania planu, dla dobra sprawy, wyniszczono całe pogłowie w riazańskim okręgu, że było zakupywano w sąsiednich okręgach, że gdy tego wszystkiego nie wystarczyło zmuszono kołchozy do dawania papierków (zobowiązań) zamiast mięsa.

Dzisiaj, 15 lat po wyżej opisanych wydarzeniach, pojawiła się powieść Szundika — powieść z kluczem. Klucz jednak jest tak prymitywny, że zrozumie go najbardziej niedoświadczony czytelnik: Azań, w którym toczy się akcja powieści — to Riazań; sekretarz obkomu Iłarion (Łara dla przyjaciół) Bujanow — to Łarionow, itd. Szundik pisze — w ramach na jakie mu pozwolono — jak powstał znakomity „riazański eksperyment”. Potwierdza, że jego inicjatorem był sam Chruszczow, który zajmuje w powieści niemało miejsca występując pod nazwiskiem Główny, że gorliwy wykonawca Łarionow i cały okręg — wszyscy mieszkańcy, a w pierwszym rzędzie kołchoźnicy — to jest miliony ludzi — stali się ofiarami eksperymentu, ofiarami kolejnego komunistycznego „cudu”. Jest najzupełniej zrozumiałe, że powieść na rzadki w sowieckiej literaturze temat o rządzących kręgach pozwolono napisać nie dlatego, że kierownictwo zdecydowało pokazać Amerykanom: i u nas są skandale nie gorsze od waszych. Powieść Szundika to apologia nowego stylu partyjnego kierownictwa, stylu breżniewowskiego. Przed czytelnikiem przewijają się trzy typy sowieckiego partyjnego wodza: Główny (Chruszczow), Bujanow reprezentujący stalinowskie metody kierownictwa, a wreszcie zamieniający Bujanowa Sokołow — idealny bohater, który wzięł najlepsze cechy od swoich poprzedników. „Jakie należy mieć zasady, jaką czujność, polityczny i moralny takt, kulturę — by nie powtórzyć błędów swoich poprzedników” — tak myśli Sokołow o idealnym pierwszym sekretarzu, którym wkrótce zostanie. Ale rozmyślając o cechach swego poprzednika Bujanowa, o jego okrucieństwie i bezwzględności wobec ludzi, Sokołow dodaje do kompletu nową cechę, niezbędną u sowieckiego przywódcy: „Kto powie, że jego bezwzględność była tylko wadą?” I rzeczywiście dowiadujemy się, że Bujanow, w którym cechy Łarionowa i Stalina harmonijnie się łączą, przez długie lata pracował w NKWD, osobiście „rozstrzeliwując wrogów narodu”.



Należy podkreślić, że Chruszczow nie jest potępiany za inicjatywę „riazańskiego eksperymentu”. Po pierwsze on kocha Rosję: „Ech, i kocham-że ja naszą rodzinną Rosję” — powiedział Główny. Po drugie, myśli jedynie o dobrze sprawy, o tym by zlikwidować pewne „zacofanie” ukochanej ojczyzny, cierpiącej za innych. I o tym mówi bezpośrednio: „Naród rosyjski wzięł na swoje barki ogromny ciężar pomagając bez przerwy bratnim narodom. Stalin wiedział co mówi, gdy wznosił toast za wielki naród rosyjski”. Chruszczow wcale nie jest zły, to wierny wykonawca dzieła Stalina, który popełnił szereg błędów. Ale błędy — małe — popełniał i sam Stalin. Teraz wreszcie — biorąc pod rozwagę wszystkie błędy — przyszedł Sokołow-Breżniew, który wszystko zna, wszystko umie, kocha Rosję i naród rosyjski, a specjalnie Jesienina, ale w razie potrzeby umie być twardy. I za to wszystko naród powinien mu być oddany. „Zaufanie i oddanie — to są nasze główne zasady” — formułuje podstawy sowieckiego życia Bujanow przed śmiercią. I dodaje: „Można i trzeba być oddanym jednemu człowiekowi, ale nie po lokajsku”. Zaufanie i oddanie dla Wodza i poprzednio były podstawą sowieckiego ustroju. To co jest nowe: że i obecnie trzeba mieć zaufanie do wodza i być mu oddanym, ale niekoniecznie po lokajsku. Jak często powtarzają Francuzi: *On n'arrête pas le progrès*.



Jak wiadomo i w Związku Sowieckim są niektórzy ludzie niezadowoleni z kierownictwa, odmawiający mu i zaufania i oddania. Najbardziej znany wśród nich jest Aleksander Sołżenicyn. W połowie czerwca udzielił on wywiadu telewizji amerykańskiej i dopiero niedawno pełny tekst tego wywiadu ukazał się w paryskim piśmie *Russkaja Mysl*. W długiej i niezmiernie interesującej rozmowie pisarz wypowiedział swoje poglądy na zagadnienia, które nie przestają go nurtować. „Represje sowieckie — mówił — ze względu na swoje znaczenie nie są bynajmniej wewnętrzną sprawą Związku Sowieckiego. Represje te są niebezpieczeństwem dla światowego pokoju. GUŁag istnieje nadal, ale w innej formie... Z zewnątrz wydaje się, że to odprężenie, pokój, ale u nas, tam wewnątrz, czarne stężenie”. Sołżenicyn przekonująco udowodnił swemu amerykańskiemu rozmówcy, że „prześladowanie dysydentów w naszym kraju jest największym niebezpieczeństwem dla was”.

Te poglądy laureat nagrody Nobla wypowiadał i poprzednio. Co jest nowego i co wydaje mi się rezultatem pobytu Sołżenicyna na Zachodzie to jego pogląd na stosunki między Europą Wschodnią i światem. „Powstała taka sytuacja — oświadczył Sołżenicyn — jakiej nie było od wieków: Mieszkańcy Wschodniej Europy — Rosjanie, Węgrzy, Polacy, Czesi, Litwini, Niemcy i Rumuni na skutek jednakowego doświadczenia życiowego, jednakowego ucisku jakiemu podlegają, mają obecnie jakieś wspól-

ne poglądy, wspólne spojrzenie na to co dzieje się na świecie, a specjalnie na Zachodzie. I muszę powiedzieć, że już nieraz spotykałem identyczność moich osobistych poglądów z poglądami wielu innych wschodnich Europejczyków. Ale wydaje mi się, że ten dialog Wschodnia Europa - Zachodnia Europa jest jakby przeoczany. Sądzę, że byłoby niezmiernie pożyteczne, by Zachód zaczął się przysłuchiwać połączonemu głosowi Wschodniej Europy, gdyż cała Wschodnia Europa razem może powiedzieć bardzo dużo rzeczy ważnych i pożytecznych”.

W powyższych słowach autora „Archipelagu GUŁag” jest odpowiedź tym wszystkim, którzy oskarżają go o nacjonalizm, i wezwanie do zjednoczenia się wszystkich narodów dążących do zrzucenia komunistycznego jarzma.

Adam KRUCZEK

## Nowe pismo

Z inicjatywy znanego pisarza rosyjskiego, Władimira Maksimowa, powstaje kwartalnik *Kontynent*, który będzie się ukazywał w pięciu językach: rosyjskim, niemieckim, francuskim, angielskim i włoskim. Pierwszy numer ukaże się w październiku br. Redaktorem naczelnym jest Władimir Maksimow, sekretarzem redakcji Igor Gołomsztok. W skład zespołu redakcyjnego wchodzi: George Beyli (USA), Jerzy Giedroyc (Polska), Gustaw Herling-Grudziński (Polska), Milovan Džilas (Jugosławia), Wolf Zidler (Niemcy), Eugene Jonesco (Francja), Robert Conquist (Anglia), Władimir Maksimow (Rosja), Ludek Pachman (Czechosłowacja), Andrei Sacharow (Rosja), Andrei Siniawskij (Rosja), Strannik — arcybiskup San Francisco (emigracja rosyjska), Józef Czapki (Polska), Zinaida Szachowska (emigracja rosyjska), Aleksander Szmieman (emigracja rosyjska), Karl Gustaw Strem (Niemcy).

W pierwszym numerze pisma ukazą się następujące materiały: Wstęp redakcyjny; Aleksander Sołżenicyn i Eugene Jonesco — do Redakcji pisma; Josif Brodskij — wiersze; Władimir Korniłow „Bez rąk, bez nóg” — powieść; Aleksander Sołżenicyn — nieopublikowany rozdział z „Kręgu pierwszego”; Strannik — dwa wiersze. W dziale *Krytyka*: Abram Terz (Andrei Siniawskij) — „Literackie przemiany w Rosji”; Igor Gołomsztok — „Paradoksy wystawy w Grenoble”; Aleksander Piatigorskij — „Uwagi o nowej 'sytuacji metafizycznej'”. W dziale *Wschodnio-Europejskim*: Milovan Džilas — „Rozmowa”; Ludek Pachman — „Nowa 'Wiosna praska’ — pytanie i zadanie”; Redakcja miesięcznika *Kultura*



— „Jak rozumiemy 'List do przywódców Związku Sowieckiego'”; Nota o miesięczniku *Kultura*. W dziale *Wschód-Zachód*: Karl Gustaw Strem — „Rosja, Niemcy i przyszłość Europy”; Zinaida Szachowska — „Wspólne nadzieje i niebezpieczeństwa”. W dziale *Źródła*: kardynał Mindszenty — „Pamiętniki”. W dziale *Kolumna redaktora*: komentarze o problemach roku.

Jednocześnie został stworzony Fundusz pisma *Kontynent*. Wpływy z tego funduszu są przeznaczone na finansowanie pisma, propagowanie jego idei i pomoc materialną dla działaczy kulturalnych Rosji i krajów Europy Wschodniej. Do zarządu Funduszu weszli: G. Beyli, A. Sacharow, A. Siniawski, Strannik, W. Zidler, M. Dżilas, L. Pachman, J. Czapski, E. Jonesco, R. Conquist, W. Maksimow.

Wpłaty należy kierować na konto bankowe Nr 91021281 — 154 Fleet Street, London, E.C.4, Anglia, Midland Bank, Fundusz „Kontynent”.

Poniżej zamieszczamy deklarację ideową pisma:

#### OD REDAKCJI CZASOPISMA „PROCES”

Narodziny nowego czasopisma są wydarzeniem jednocześnie radosnym i bolesnym. Radosnym, ponieważ otwierają nowe perspektywy, budzą nowe nadzieje, stwarzają nową sytuację społeczno-historyczną. Bolesnym — na skutek mnóstwa wątpliwości, towarzyszących procesowi ideowego i twórczego samookreślenia; z winy trwożnych przeczuć związanych z walką, jaką nam przyjdzie toczyć; z poczucia odpowiedzialności, którą założyciele wydawnictwa biorą na siebie.

W podobnych wypadkach nasuwa się zazwyczaj porównanie z „Kołołem”. Niestety w naszych warunkach analogia taka nie wydaje się trafna. Pismo Hercena było wydawnictwem czysto politycznym, a nie literackim, z tego prostego powodu, że w „mrocznych czasach reakcyjnego caryzmu” narodziła się w Rosji i rozwijała bez przeszkód jedna z największych literatur światowych. W tej „niewolniczej” epoce nikt — poczynając od Puszkina i Gogola, a na Tołstoju i Dostojewskim kończąc — nie musiał sobie szukać wydawcy za granicą. Wszyscy choć odrobinę wybijający się pisarze w naszym kraju, podkreślamy, wszyscy oni bez wyjątku ogłaszali swe utwory w ojczyźnie.

Po raz pierwszy w dziejach świata powstała sytuacja, kiedy to we wszystkich krajach „zwycięskiego socjalizmu” od Chin aż po Kubę, gdzie zatriumfowały nareszcie „wolność, równość i braterstwo”, literatura piękna, sprzeczna z celami rządzącego aparatu, ścigana jest jako przestępstwo kryminalne. Książka staje się tam poszlaką, dowodem rzeczowym, zbrodnią domagającą się kary. Za książkę idzie się na zesłanie jak Josif Brodzki, za książkę gnije się latami w obozach jak Andriej Siniawski, za książkę zamykają do zakładu psychiatrycznego jak Walerego Tarsisa. Żaden z istniejących obecnie na Zachodzie dyktatorskich reżymów nie może się pochwalić tym, że zdołał w czasie swego trwania unicestwić fizycznie, zaszczyć na śmierć, doprowadzić do szaleństwa i nędzy, skazać na wygnanie tylu najświetniejszych przedstawicieli swojej literatury (włączając w to dwóch laureatów Nobla) — ilu ich można się doliczyć w martyrologiach krajów o najbardziej „rewolucyjnym” i „postępowym” ustroju.

Dlatego upatrujemy zadanie naszego pisma nie tylko w politycznej rozprawie z totalizmem, ale nade wszystko w tym, ażeby mu przeciwstawić — temu wojowniczoemu totalizmowi — połączoną siłę tworzącą literatury pięknej

i wolnej myśli Wschodniej Europy, ażeby — czerpiąc z gorzkich doświadczeń osobistych — odnowić nasze spojrzenie na perspektywy historii.

Jakie są cele i zasady naszego pisma, w czym się zawiera jego patos i na co ono stawia w swojej powszedniej działalności?

W następujący sposób próbujemy sformułować nasz program:

1. BEZKOMPROMISOWY IDEALIZM RELIGIJNY — to znaczy, przy dominującej tendencji chrześcijańskiej, trwały związek duchowy z przedstawicielami innych wyznań.
2. BEZKOMPROMISOWY ANTYTOTALIZM — to znaczy, walka przeciwko wszelkim odmianom totalizmu: marksistowskiej, nacjonalistycznej, religijnej.
3. BEZKOMPROMISOWA DEMOKRACJA — to znaczy, pełne poparcie dla wszystkich demokratycznych instytucji i tendencji we współczesnym społeczeństwie.
4. BEZKOMPROMISOWA BEZPARTYJNOŚĆ — to znaczy, bezwzględna odmowa służenia interesom jakiegokolwiek z istniejących politycznych ugrupowań.

Wydaje się nam, że te cztery, nazwijmy to tak, symbole wiary, mogą stać się wystarczająco szeroką, a równocześnie mocną podstawą do zjednoczenia współpracy wszystkich antytalitarnych sił Wschodniej Europy w ich dialogu z Zachodem.

„Kto ma uszy do słuchania, niechaj słucha”!

## Kronika czeska i słowacka

### NOWA USTAWA O ORGANACH BEZPIECZEŃSTWA

Federalne Zgromadzenie Czechosłowacji przyjęło niedawno nową ustawę o organizacji i zadaniach służby bezpieczeństwa. Nowa ustawa nie wprowadza większych zmian organizacyjnych, precyzuje jednak zadania służby, a ponadto zawiera pewne postanowienia, które doskonale ilustruje etap, na którym się obecnie znajduje Czechosłowacja. Po pierwsze, ustawa bezpośrednio powołuje się na kierowniczą rolę partii. Po drugie, ustawa wyraźnie mówi o współdziałaniu z organami bezpieczeństwa „innych krajów socjalistycznych”, z czego wynikałoby, że zakres działania rzeczonych organów wykracza poza teren kraju — cały obóz zatem jest objęty działaniem wszystkich bezpiek i każdej z osobna. Po trzecie wreszcie, wiele miejsca w ustawie poświęca się zadaniom bezpieki w dziedzinie ochrony gospodarki. To ostatnie wskazywałoby, iż nasz południowy sąsiad znajduje się na etapie „rewindykacyjnym”, to znaczy, że ludzie „wycofują swe wkłady ze spółki”. Prasa bowiem o innych przestępstwach gospodarczych — poza malwersacjami itp. — nie wspomina.

Karol SZWEDOWICZ



## Kraj

### Zbliżenie polsko-francuskie

Rozumowanie było proste i jasne: należy jak najszybciej zmniejszyć dystans dzielący Polskę od krajów wysoko rozwiniętych, każdy zakład pracy może i powinien wnieść swój wkład. Każdy, to znaczy również Główny Urząd Statystyczny. GUS zrobił już w tej dziedzinie niemało, wywindował gospodarkę polską na 10-tą pozycję w świecie, było to jednak jeszcze za czasów Gomułki. Tymczasem Gierek prosił wszystkich o pomoc (a więc i GUS), ponadto należało z czymś przyjść na 30-lecie PRL, z jakimś wkładem szczególnym, jubileuszowym. Tak powstała idea dalszego skrócenia dystansu czyli zbliżenia Polski do Zachodu.

Pomysł był dobry, niełatwy jednak do zrealizowania. Dziesiąte miejsce, to już bardzo wysoko, listę otwierają USA, Związek Sowiecki, Japonia, Niemcy Zachodnie i Francja, dalsze skrócenie dystansu wymagałoby przybliżenia się do jednego z nich. Powstał więc problem wyboru: do kogo? Do USA nie podobna się zbliżyć, do Związku Sowieckiego — nie wypada, Japonia — nietypowa, Niemcy Zachodnie — politycznie nie wskazane, pozostała Francja, kraj i tak już Polakom bliski. Więc do Francji. (Nie wykluczone, że ten i ów radził Belgię z uwagi na Gierka). Ale z całą Francją jest trudno na skutek nie dających się usunąć różnic poglądów między francuskimi i gusowskimi źródłami statystycznymi o poziomie dochodu narodowego, byłoby zaś niezręcznie w obecnych warunkach zarzucać Francuzom fałszywe statystyczne. I tak narodziła się myśl przeprowadzenia porównań warunków życia mieszkańców obydwu stolic, aby tą drogą zmniejszyć dystans przynajmniej między warszawiakami i paryżaninami. *Odpowiednio* wykonane badanie miało poprawić samopoczucie mieszkańców nadwiślańskiej stolicy, co było nie bez znaczenia w obliczu czekającej ich manifestacji lipcowej.

Pozostały jeszcze dwie sprawy do załatwienia. Pierwsza, to sprawa obiektywizmu badań, żeby Polacy nie powiedzieli, że GUS znowu coś wymyślił. Potrzebny był świadek, najlepiej fran-

cuski i dobrze utytułowany, ale także dostatecznie wyrozumiały. Świadek się znalazł. Jak do niego trafiono, nie wiem, jakich użyto argumentów, też nie, w każdym razie paryski Zakład Badań Statystyki i Badań Ekonomicznych (INSEE) wyraził zgodę. Tak powstał zespół polsko-francuski, w którym grupą polską kierowała doc. dr Eugenia Krzeczowska, osoba kompetentna, wieloletni przewodniczący komitetu redakcyjnego każdego rocznika GUS. I druga sprawa: czas oraz miejsce opublikowania wyników badań. Czas był z góry określony, należało „wyjść” z publikacją na krótko przed rocznicą 30-lecia. Ale gdzie? Oczywiście, w tygodniku. Tylko w jakim? *Życie Gospodarcze*? Za mały nakład. *Przekrój*? Nakład dobry, objętość numeru zbyt szczupła. *Perspektywy*? Odpowiedni nakład, duża objętość, ale opinia fatalna. *Prawo i Życie*? Redakcja zwróci się o zdanie do KPF — za długo. *Kultura*? Artykuł zbyt poważny. Z selekcji obronną ręką wyszedł tygodnik o nakładzie „w sam raz”, polityczny, gospodarczy, społeczny, kulturalny i również statystyczny — czyli *Polityka*. I tak się też stało: artykuł pod tytułem „Warszawa-Paryż: ceny i spożycie” pióra doc. dr Eugenii Krzeczowskiej ukazał się 8 czerwca, a więc na kilka tygodni przed jubileuszem. Zbliżenie polsko-francuskie stało się faktem, dzięki Warszawie i via Paryż Polska znalazła się tuż przy Francji, już niedaleko USA, Japonii i Niemiec Zachodnich, przodujących krajów zachodnich. GUS wykonał swoje zadanie.

#### Ranga artykułu

Czytelnik *Polityki* jest inteligentny, dobrze obznajomiony ze sztuką czytania prasy. Artykuł należał jednak do gatunku trudnych, nie było pewności czy i jak zostanie zrozumiany. Z tego względu artykuł poprzedzono przedmową liczącą aż 434 słowa, a więc znacznie szerszą niż to ma miejsce przy referatach czy rzadkich zresztą tekstach członków Biura Politycznego publikowanych w prasie. Tygodnik na tle wspomnianej przedmowy wypadł raczej korzystnie co pozwala przypuszczać, iż była dziełem samej doc. dr Eugenii Krzeczowskiej. Tylko bowiem ona mogła tak trafnie ocenić wagę artykułu.

„Gdyby istniało pojęcie sensacyjnej publicystyki ekonomicznej to do takiego miana pretendowałby tekst, który poniżej prezentujemy”.

Pojęcia takiego nie było ale już istnieje, albowiem GUS dokonał epokowego wynalazku.

„Tutaj mamy jedną z pionierskich w świecie prób pełnej analizy statystyczno-ekonomicznej cen i spożycia w dwóch krajach (a dokładnie mówiąc w ich stolicach)”.

Wprawdzie badania takie na o wiele szerszą skalę (obejmujące porównania dochodu narodowego USA i Europy Zachod-



niej) były już opublikowane przez Europejską Organizację Współpracy Gospodarczej (OECE) z siedzibą w Paryżu i cała książka była wydana również w Polsce w 1965 roku to jednak było to dawno temu\*. Ponadto w słowie wstępnym książki pióra doc. dr Eugenii Krzeczowskiej była mowa o ciekawych badaniach ale nie o pionierskich. Prymatu pionierstwa nie odebrał GUSowi także Komekon, który miał na podstawie wspomnianej książki wykonać podobne badania, o czym wspomina Autorka słowa wstępnego, jednakże nic się na ten temat nie ukazało, a *Polityka* wydrukowała pionierski artykuł. Badania GUS-INSEE były trudne, żmudne, żeby zbliżyć Warszawę do Paryża trzeba było odejść od tradycyjnych porównań.

„Zazwyczaj dotyczą one stosunkowo łatwych problemów produkcji czy konsumpcji poszczególnych towarów, albo na przykład liczby radioodbiorników, nakładów książek itp. — ogółem lub w proporcji do liczby mieszkańców”.

GUS nie ima się łatwych problemów, zwłaszcza na 30-lecie. Warszawę i całą Polskę interesuje nie różnica w poziomie konsumpcji „poszczególnych towarów”, tylko *jaką siłę nabywczą reprezentuje złotówka w stosunku do franka, a poprzez franka — do dolara*. Porównanie cen — tam wolnorynkowych, tutaj państwowych — otwierało zgoła nowe perspektywy uwolnione od problemów drugorzędnych, takich jak siła nabywczą jednej godziny pracy, zakres i jakość usług, zwłaszcza organizacja zakupów, warunki mieszkaniowe i wyposażenie mieszkań, dojazd do i z pracy itd., itp.

„Dzięki takiej metodzie pracy porównanie ma maksymalną wiarygodność. Uwolnione zostało od błędów jakie notorycznie popełniają np. turyści, wyciągający wnioski o cenach i spożyciu na podstawie powierzchownych obserwacji”.

Teraz, po lekturze pionierskiego artykułu, turyści warszawscy będą wyciągali wnioski, że w Paryżu jest jednak gorzej niż pierwotnie mylnie sądzili; również turyści paryscy naprawią swój błąd twierdząc, iż w Warszawie jest jednak lepiej niż im się to wcześniej z „powierzchownych obserwacji” wydawało. Przy okazji reorientacja opinii turystów umocni wpływy KPF w stolicy Francji i wpływy PZPR w stolicy Polski. Czas badań zespołu polsko-francuskiego dobrano z dużą wnikliwością — po zakończeniu zniw i na krótko przed Bożym Narodzeniem, a więc kiedy dostawy towarów w obu stolicach ulegają znacznej poprawie, czyli w listopadzie i grudniu 1972 roku. Na dobrą sprawę do tego celu nadawał się również każdy inny miesiąc, bowiem przedmiotem badań była nie konsumpcja jako taka, nawet nie zaopatrzenie sklepów, lecz *cen*y, których zanotowano tysiące. Autor-

\* Praca zbiorowa. *Produkt narodowy i poziom cen*, Warszawa 1965, PWE (Milton Gilbert, Irving Kravis i inni).

ka przedmowy zapewnia, że zespół sprawdzał również, czy porównywane towary znajdują się faktycznie w sprzedaży, czy zrobione są z takiego samego lub porównywalnego surowca, czy mają identyczną jakość i walory użytkowe, ale zapewnia niepotrzebnie. Tutaj bowiem Autorka się fatalnie potknęła o gazety i czasopisma warszawskie, także o *Politykę*, które w listopadzie i grudniu 1972 (ale także przedtem i potem) powypisywały niestworzone rzeczy. Szkoda tylko, że członkowie zespołu francuskiego nie czytali warszawskiej prasy, tylko szwendali się Bóg wie gdzie...

### Odrabianie dystansu

Statystyka jest nauką otwierającą liczbom usta, żeby w razie potrzeby mogły także krzyczeć, żądać, przestrzegać — nawet grozić. Statystyka gusowska jest infantylna niemal debilowata, niewrażliwa na reakcje otoczenia, niedbała o opinie czytelników. Świadczy o tym niemal każda kolejna publikacja GUS-u, również artykuł doc. dr Eugenii Krzeczowskiej. Zanim przejdę do jego merytorycznej oceny, przedstawię główne wyniki porównania Warszawa-Paryż oraz wnioski Autorki. Ale najpierw jedna uwaga. Statystyka francuska — podobnie jak i innych krajów zachodnich — operuje „koszykiem zakupów” obejmującym ściśle wymierzone ilości towarów i usług niezbędnych do utrzymania określonego poziomu spożycia przeciętnej rodziny, osoby. „Koszyk” jest wymierny, sprawdzalny, jawny — stanowi sam w sobie duże osiągnięcie socjalne. Statystyka PRL takiego „koszyka” nie dorobiła się jeszcze, dopiero po grudniu 1970 rozgorzały w prasie krajowej dyskusje na temat *definicji minimum socjalnego*. Tymczasem Krzeczowska po prostu udaje, że taki „koszyk” już jest i opiera wyniki badań na porównaniach „koszyków” warszawskiego i paryskiego. Co włożyła do warszawskiego, nie wiadomo, pewne jednak pojęcie daje artykuł Autorki.

Zaczyna ona od objaśnienia, jaką siłę nabywczą reprezentuje złotówka w stosunku do franka. Stwierdziwszy, że relacje te są inne przy strukturze spożycia Paryża, a inne — Warszawy, pisze:

„Przy paryskiej strukturze spożycia 1 frank reprezentuje 4,98 zł, a przy warszawskiej — tylko 3,27 zł”.

Innymi słowy, paryski koszyk zakupów wartości 1 000 F ma po przeliczeniu na złotówki wartość 4 980 zł, a warszawski wartości również 1 000 F ma w złotówkach wartość 3 270 zł, czyli uboższy jest o ok. 35 %. Byłaby to różnica nawet nie taka duża, gdyby odpowiadała prawdziwemu stanowi rzeczy, ale nie o to tu chodzi. Z innych źródeł wiadomo, że przeciętne płace miesięczne wynosiły w 1972 roku we Francji ok. 2 500 F, w Polsce ok. 2 800 zł. W zestawieniu z danymi Autorki wynikałoby z powyższego, iż za przeciętną pensję można było we Francji nabyć dwa i pół



koszyka (paryskiego), a w Polsce zaledwie 85 % *jednego koszyka* (warszawskiego) i to jest wymowne! Autorka pomija ten aspekt sprawy najbardziej przecież interesujący warszawiaka i ogranicza się do wytłumaczenia odchylen relacji cen, powstałych pod wpływem odmiennych struktur spożycia. I tutaj bardzo ostrożnie uchyla rąbka prawdy stwierdzając, że mieszkańcy Warszawy:

„...zakupują przeciętnie więcej towarów relatywnie tańszych w Polsce, w zasadzie o niższym stopniu przetworzenia...”.

Oczywiście towary te są „relatywnie tańsze” jedynie przy porównaniach cen warszawskich do paryskich, są jednak wcale nie tanie w stosunku do poziomu zarobków polskich. Ponadto 100 jednostek towarów o niskim stopniu przetworstwa nie równa się 100 jednostkom towarów o wysokim stopniu przetworstwa — przy takim porównaniu należy *obniżyć ilość pierwszych lub podwyższyć ilość drugich, tylko tak bowiem można w sposób obiektywny ustalić różnice w poziomie spożycia*. Doc. dr Eugenia Krzeczowska niewątpliwie dobrze o tym wie, chociażby ze wspomnianej poprzednio książki, którą tak wysoko oceniła w swoim słowie wstępnym. Co piszą na ten temat autorzy tej niezmiernie ciekawej publikacji?

„Jeśli zatem ludność danego kraju zadowala się używaniem odzieży składającej się tylko z opaski na biodra, kilku paciorków i nakrycia głowy z piór, to produkt na 1 mieszkańca w tym kraju będzie mniejszy, niż w kraju, w którym uważa się za stosowne noszenie pełnego kompletu odzieży, mimo iż psychologiczne uczucie, że jest się dobrze ubranym, może być jednakowe w obu krajach... Odpowiednią ilustracją mogą być papierosy francuskie, które w przeważającej większości są wyrabiane z tańszych gatunków tytoniu niż amerykańskie. Nie można zatem uważać tych dwóch produktów za jednostki ekwiwalentne. Tak więc paczka papierosów francuskich będzie liczona jako odpowiednik mniejszej ilości produktu tytoniowego niż paczka papierosów amerykańskich — ze wszystkimi oczywistymi konsekwencjami wynikającymi z tego dla porównania realnego produktu narodowego dwóch krajów”.

Na dobrą sprawę teza zawarta w przytoczonym urywku podważa sens i obiektywizm całych badań opisanych przez Autorkę. I nie tylko tych badań — również wszystkich roczników statystycznych publikowanych przez GUS. Bowiem zastosowane metody w jednych i drugich są te same. Autorka przytacza „dla wyjaśnienia” bardzo charakterystyczny przykład:

Załóżmy, że koszyk owoców paryżanina zawiera 5 kg pomarańcz po 3 F i 5 kg jabłek również po 3 F, natomiast w koszyku warszawiaka jest tylko 1 kg pomarańcz, ale 9 kg jabłek. W Paryżu cena obu koszyków jest jednakowa — 30 F. Ale w Warszawie koszyk paryski kosztuje 275 zł (pomarańcze po 40 zł/kg, jabłka po 15 zł/kg)... natomiast cena koszyka warszawskiego wynosi tylko 175 zł...”.

Na tej podstawie dochodzi ona do wniosku, ile warta jest złotówka przy zakupie obu koszyków — ale po co? Na co i komu zda się taka statystyka jeśli wiadomo, że pomarańcza to nie

jabłko, a w obu koszykach „owocowych” zawartość jest różna. Nie można z tego wyciągnąć wniosku, jakoby paryżanin płacił za swój koszyk więcej od warszawiaka, ani drugiego — że mimo różnic cen obydwaj spożywają takie same dwa kosze owoców. Gwoli obiektywizmu należałoby uwzględnić odmienne walory smakowe, odżywcze, wizualne, bo ja wiem jeszcze jakie, pomarańczy i jabłek, po uwzględnieniu różnic sprowadzić je do wspólnego mianownika. Dopiero wtedy wyszłoby na jaw, że koszyk warszawiaka wartości 175 zł zawiera nie *dziesięć kilogramów* tylko, powiedzmy, *osiem albo i sześć kilogramów owoców*, a jeden kilogram owoców identycznych z paryskimi kosztuje realnie nie 17,5 lecz 22,0 albo ok. 29 zł...

Jak ta metoda wygląda w rocznikach GUS? Oto przykład. Według *Małego Rocznika Statystycznego 1973* przeciętna liczba osób przypadających na jedną izbę wynosiła w 1972 roku we Francji 0,9, w Polsce 1,4, czyli o ponad połowę więcej. W istocie jest jeszcze gorzej, bowiem statystyka francuska (i innych krajów zachodnich) *nie obejmuje kuchni poniżej 12 m<sup>2</sup>*, tymczasem kuchnie o większej powierzchni należą w polskim budownictwie do rzadkości, w efekcie nie można stawiać znaku równania między jednostką mieszkalną w Polsce i we Francji — należałoby ich ilość zmniejszyć w jednym kraju lub zwiększyć w drugim. Przykłady można mnożyć. Jak notuje to samo źródło GUS, przeciętny jednorazowy nakład gazet codziennych na 1000 ludności wynosił we Francji 238, w Polsce 217 — nikt jednak poważny nie powie iż kilkustronicowa *Trybuna Ludu* jest jednostką towaru identyczną z francuskim kilkudziesięciostrończym *Le Figaro*... Byłoby również nonsensem porównanie cen obu gazet, ponieważ obydwie towary, aczkolwiek o tym samym przeznaczeniu, są różne. Taka metoda statystyczna i oparte na niej porównanie bardzo „przybliża” Polskę do czołówki światowej, oddala ją jednak od świata realiów i od codziennych rzeczywistych trosk ludności.

### *Ekonomiczne pojęcie jakości*

Aby udowodnić, jak bardzo już blisko Warszawa jest Paryża, doc. dr Eugenia Krzeczowska posługuje się we wszystkich porównaniach magicznym wskaźnikiem relacji cen i opartej na niej relacji złotego do franka. Na tej podstawie usiłuje wykazać, dlaczego wrażenia turystów zagranicznych są błędne, prawdziwe są natomiast „wrażenia” GUS. I tak, w Warszawie znacznie tańsze są usługi krawieckie i szewskie, tańsze są również towary i usługi związane z urządzeniem i utrzymaniem mieszkania i naprawą sprzętu. Brak do tego jeszcze porównania, ile kosztuje wjazd na szczyt Pałacu Kultury w Warszawie i na wieżę Eiffla w Paryżu... Otóż proszę Autorki, w roku badań połączonych polsko-francuskich grup nie było miesiąca ani tygodnia, *żeby prasa stołeczna nie biła na alarm z powodu skandalicznej wprost*



sytuacji w tych właśnie dziedzinach usług! Niektóre praktycznie nie istnieją, inne są zacofane, niedostateczne. Jest to niewątpliwy dowód, że badający porównywali *cenniki, a nie usługi*. Dla własnych potrzeb, bez udziału „świadków” francuskich, GUS dokonał rok wcześniej interesujących badań w dziedzinie usług sanitarno-instalacyjnych w miastach, a tygodnik *Polityka* (!) opublikował niektóre wyniki w swoim dodatku statystycznym.

„Zmora naszych łazienek, umywalk i zlewów — ciekące krany — cieką w 76,3 % ankietowanych domów. Rezerwuary źle funkcjonują w 64 %, a urządzenia odprowadzające w 75 % ... prym w złym funkcjonowaniu tych detali dzierżą *ex equo* Warszawa i Łódź (podkr. moje — A.G.). Ok. 80 badanych urządzeń w tych miastach jest niesprawnych”.

Mógłbym przytoczyć dziesiątki przykładów na dowód, że w innych dziedzinach usług sytuacja nie jest lepsza. Właśnie w Warszawie. Taką samą wartość mają porównania dotyczące poziomu konsumpcji np. w dziedzinie odzieży, obuwia, artykułów przemysłowych. Według Autorki różnica w zakupach obuwia między obu stolicami wynosi tylko 89 %, jak gdyby Warszawa nie wiedziała co się kupuje i jak się kupuje w sklepach obuwniczych Paryża! Jeszcze raz skonfrontujmy to z inną tezą cytowanej już książki:

„Założmy więc, że posiadamy dane dotyczące ilości jednostek produktu oraz jego średniej ceny w dwu badanych krajach, jednakże ekonomiczna jakość tych dwóch produktów jest różna. Oznacza to, że ich ceny odzwierciedlają nie tylko wszelkie różnice, jakie mogą zachodzić w warunkach podaży i popytu na odnośnych rynkach, lecz także fakt, że w istocie są one miernikiem różnych wielkości fizycznych produktu. *Relacja między tymi dwiema cenami nie stanowi zatem rzeczywistego wskaźnika siły nabywczej, a relacja między ilościami jednostek fizycznych nie jest rzeczywistym miernikiem relatywnej wielkości produktu*” (podkr. — A.G.).

Według mojego przekonania jest to jedyne kryterium, według którego należy dokonywać międzynarodowych porównań, podobne stanowisko zaprezentowała doc. dr Eugenia Krzeczowska w 1965 roku w słowie wstępnym wspomnianej książki, GUS jednak nigdy dotąd nie odważył się zastosować tego kryterium w swoich badaniach. Przyczyny są oczywiste, z tych samych powodów nie ukaże się żadne takie porównanie dotyczące krajów Komekonu. Na marginesie muszę wyrazić zdziwienie, że żaden z zachodnich instytutów naukowych (jest to bowiem zadanie przerastające siły jednego publicysty) nie dokonał dotychczas wspomnianych badań. Szkoda...

Porównanie spożycia w Warszawie i w Paryżu w wykonaniu GUS można byłoby uznać za żart, kawał, gdyby nie dotyczyło spraw jakże nabrzmiałych, bolących i znanych z autopsji każdemu mieszkańcowi stolicy PRL. Jak wspomniałem, badanie przeprowadzono w miesiącach listopad, grudzień 1972. Zobaczmy więc, co pisała wówczas prasa stołeczna pod naporem potoków skarg, zażaleń obywateli stolicy na temat towarów, których ceny

właśnie porównywały zespoły polski i francuski. *Polityka* w dodatku „Statystyka” nr 11/72 (*note-bene* redagowanym przy udziale przedstawicieli... GUS!) pisała:

„... ciągle rozlegają się alarmy w sprawie niedostatku różnych poszukiwanych i potrzebnych towarów. Butów na przykład jest obfitość, ale niewiele tylko klientów wychodzi ze sklepu z pełną satysfakcją. Większość narzeka — i słusznie — na niską jakość, niemodne wzory, brak odpowiednich rozmiarów itd. Podobnie z wielu innymi towarami. [...] Moim zdaniem w okresie ostatnich dwóch lat, kolejki w Polsce wcale się nie zmniejszyły, może nawet są dziś dłuższe... Kolejki podważają sens całej strategii wzrostu konsumpcji, stają się źródłem indywidualnych i społecznych napięć. O ekonomicznych i społecznych stratach nie warto wspominać”.

W 1972 roku przez sklepy warszawskie przewaliła się fala „rajdów dziennikarskich”, kontrolerów z NIK'u, z PIH'u, społecznych. O niektórych prasa stołeczna informowała, z każdej kolejnej informacji wynikało, że zaopatrzenie sklepów jest fatalne i nie ulega poprawie. O jednym takim smutnym „rajdzie” w bezmięsny poniedziałek pisał również organ KC, *Trybuna Ludu*, przy czym ważne kiedy — otóż na *początku stycznia 1973*, czyli tuż po badaniach gusowsko-francuskich. W jednym sklepie wielki napis zapowiadał „Codziennie dostawy świeżych ryb” — ale ryb było brak. W drugim „...poza zupkami w torebkach nie ma praktycznie nic godnego uwagi na poniedziałkowy obiad”. W trzecim, delikatesowym (!), w samym Śródmieściu, powinny być chociażby kurczaki i mrożonki — ale nawet i tego nie było. „W większości odwiedzanych przez nas sklepów czegoś brakowało”. Czy i czego brakowało w tym samym czasie w sklepach paryskich? Czy i „za czym” Paryżanie stali w kolejkach? Jak często mieli kłopoty z ugotowaniem obiadu ponieważ ktoś czegoś „nie dowiózł” na czas do sklepów? Doc. dr Eugenia Krzeczowska porównuje ceny paryskie i warszawskie, ale na miłość Boską! nikogo jeszcze nie dało się nakarmić samymi tylko cenami choćby od lat nie ulegały zmianie.

Nie sposób przytoczyć tutaj całej listy towarów, jakich w listopadzie i grudniu 1972 nie było w sprzedaży w ogóle, albo były bardzo trudne do osiągnięcia. Dotyczy to mięsa i wędlin, soków i mieszanek dla dzieci, flaków w opakowaniu, szklanek, robotów kuchennych, otwieraczy do konserw, butli na gaz, piecyków elektrycznych, kojców dla niemowląt, czajników, obuwia, ubrań dla dzieci poniżej lat trzech, dużych rozmiarów bielizny damskiej, mebli itd., itp... Więc ponawiam pytanie: gdzie i jak dokonano owych badań, które w przedmowie do artykułu usiłowano zareklamować jako „sensacyjne”, „pionierskie w świecie”? I drugie: czy udostępniono Francuzom materiały z samodzielnych badań GUS oraz wyniki różnych ankiet „rajdów” (choćby tylko tych opublikowanych w prasie)? Pytania retoryczne, odpowiedzi są znane.

Wyniki przeprowadzonych badań są kolejnym niewypałem propagandowym GUS, ale dla paryskiego instytutu stanowią chy-



ba „statystyczne Verdun”. Autorka, w swoim własnym imieniu, wyprowadza końcowy i koronny wniosek: „... Warszawa jest znacznie bardziej reprezentatywna dla Polski niż Paryż dla Francji”... wobec czego można oczekiwać, że porównanie Polska-Francja będzie dla PRL korzystniejsze. Na szczęście prace jeszcze trwają — według zapewnień Autorki dokładniejszy obraz będzie znany za kilka miesięcy. Oczywiście, poczekamy, chociaż moim zdaniem nie ma pewności czy wyniki badań zostaną opublikowane. Bo niby po co? Czy nie wystarczy zbliżenie samych stolic? A jeśli się okaże, że Polakom żyje się lepiej niż Francuzom, to czy rząd francuski nie wycofa swoich kredytów dla PRL? Warto rozważyć, ryzyko duże...

Antoni GUTOWSKI

## Przeszkalanie polityczne księży w PRL

Głos Wielkopolski z 4. VI. bież. roku podaje:

„Władze państwowe udzielają pomocy duchownym pracującym wśród Polonii i na misjach. Jedną z form takiej pomocy są organizowane od 1965 roku seminaria dla księży i sióstr zakonnych wyjeżdżających z Polski. Organizuje je Urząd do spraw Wyznań w porozumieniu z przełożonymi zgromadzeń zakonnych. One też i władze kościelne diecezji zgłaszają kandydatów do wyjazdu. Ostatnie seminarium odbyło się w Warszawie w dniach od 13 do 18 maja br. Uczestniczyło w nim 86 osób, w tym 61 księży zakonnych i diecezjalnych i 25 sióstr zakonnych, 47 ma udać się do pracy wśród Polonii, a 39 na misje. Ogromna rozległość obszarów. Uczestnicy tegorocznego seminarium pojadą na wszystkie kontynenty — do Australii, Nowej Gwinei, Japonii, Ghany, Rwandy, Madagaskaru, Zaire, Kamerunu, Tanzanii, Burundi, Egiptu, Brazylii, Argentyny, Paragwaju, Boliwii, Gwatemali, USA, Kanady, Francji, NRF, Włoch, Anglii.

Księża i siostry zakonne spotkali się z wybitnymi przedstawicielami różnych dziedzin naszego życia społecznego i kulturalnego”...

Podajemy poniżej program tego seminarium:

### PROGRAM

seminarium zorganizowanego przez Urząd do Spraw Wyznań dla księży i sióstr zakonnych oraz księży diecezjalnych udających się do pracy wśród Polonii i na misje.

13. V. 1974 r. poniedziałek

godz. 9.30 - 9.40 — Zagajenie otwierające Seminarium.

godz. 9.40 - 11.40 — Wykład: Aktualne problemy polityki zagranicznej PRL — Wicedyrektor PISM dr hab. Janusz Simonides.

godz. 12.15 - 15.00 — Wykład: Przemiany społeczno-demograficzne w Polsce Ludowej — prof. dr Kazimierz Romaniuk, kierownik Katedry Statystyki i Demografii SGPiS.

14. V. 1974 r. wtorek

godz. 9.00 - 11.30 — Wykład: Podstawowe kierunki polityki socjalnej Państwa: „Świadczenia socjalne Państwa” — Wicedyrektor Departamentu Spraw Socjalnych Ministerstwa Pracy, Płac i Spraw Socjalnych — Ryszard Zegzdryń: „Ubezpieczenia społeczne” — Specjalista w Ministerstwie Pracy, Płac i Spraw Socjalnych — mgr Tadeusz Radziński.

godz. 12.00 - 14.00 — Wykład: Problemy współpracy kulturalnej PRL z zagranicą — Dyrektor Departamentu Współpracy Kulturalnej i Naukowej z Zagranicą MSZ — Wojciech Chabasiński.

godz. 14.00 - 15.50 — Wykład: Aktualna sytuacja ekonomiczna kraju — perspektywy dalszego rozwoju gospodarczego — doc. dr hab. Albin Płocica.

godz. 19.00 - 21.00 — Spotkanie z Mieczysławem Pawlikowskim — Członkiem Rady Naczelnej Towarzystwa „Polonia”.

15. V. 1974 r. środa

godz. 9.00 - 11.00 — Wykład: Problemy walki z przestępczością i demoralizacją — mgr Elżbieta Gutkowska — prokurator Prokuratury Generalnej.

godz. 11.30 - 13.30 — Wykład: Katolicka działalność wydawnicza w Polsce — ks. doc. dr hab. Józef Myśków — prodziekan Wydziału Teologicznego ATK.

godz. 13.40 - 15.40 — Wykład: Odbudowa i ochrona zabytków sakralnych w powojennym 30-leciu — ks. prof. dr hab. Janusz Pasierb, prodziekan Wydziału Teologicznego ATK.

godz. 19.00 - 21.30 — Spektakl teatralny: „Balladyna” w Teatrze Narodowym.

16. V. 1974 r. czwartek

godz. 9.00 - 12.00 — Zajęcia specjalistyczne w grupach „polonijnych” i „misyjnych” — pracownicy naukowcy PISM.

godz. 13.00 - 15.00 — Informacja o działalności Towarzystwa Łączności z Polonią Zagraniczną „Polonia” — Spotkanie z kierownictwem Towarzystwa „Polonia” (W. Adamski sekretarz generalny „Polonii”).

godz. 18.00 - 19.30 — Film „Hubal” + dodatek „Skarby Jasnogórskie”.

17. V. 1974 r. piątek

godz. 8.00 - 11.00 — Wycieczka do zakładów im. K. Świerczewskiego.

godz. 12.00 - 14.00 — Wykład: Polityka Państwa wobec Polonii zagranicznej — mgr Leon Gołębiowski, naczelnik Wydziału do Spraw Polonii w MSZ.

godz. 19.00 - 22.00 — Spektakl teatralny: Teatr Wielki „Tosca”.

18. V. 1974 r. sobota

godz. 9.00 - 11.00 — Refleksje nt. niektórych problemów polonijnych — ks. prof. dr hab. Mieczysław Albert Krąpiec, rektor KUL.

godz. 11.30 — Spotkanie z kierownictwem Urzędu do Spraw Wyznań — zakończenie Seminarium. (Było to ostatnie wystąpienie Al. Skarżyńskiego. Ciekawe, że już w maju nie wymieniało się jego nazwiska. — Red.).

W czasie spotkania ze Skarżyńskim padały takie pytania: „Dlaczego nie wysyła się księży do ZSSR, gdzie zamieszkuje 1.600 tys. Polaków?” „Dla-



czego do PRL nie wolno przywozić literatury wydawanej na Zachodzie?" Odpowiedź na pierwsze: „Zastanowimy się”. Na drugie: „Do USA nie wolno wwozić żywności, my nie pozwalamy wwozić druków”.

Dziwi bardzo, że w takich seminariach biorą udział księża jako wykładowcy, jak np. rektor KUL'u ks. prof. Krąpiec, który *nota-bene* często wizytuje Polonię w poszukiwaniu pieniędzy na KUL.

Niejednokrotnie zwracaliśmy uwagę, że księża przyjeżdżający z kraju do pracy wśród Polonii i na misje nie znają ani współczesnej historii Polski ani historii i problemów emigracji, co często powoduje niepotrzebne tarcia a jest z reguły wykorzystywane przez placówki reżymowe. Były wysuwane sugestie, by dla tych księży przyjeżdżających na Zachód zorganizować odpowiednie seminaria lub dostarczać im odpowiedniej lektury. Nic nam nie wiadomo by te sugestie znalazły zrozumienie wśród polskiej hierarchii zajmującej się Polakami na Zachodzie. (Redakcja).

## CZARNA LISTA

Wojciech Sulewski — „Klucz do Legendy Józefa Piłsudskiego”, *Życie Literackie*, Kraków, 12 maja 1974.

Sąd Dziennikarski przy Oddziale Warszawskim SDP w składzie: przewodniczący kompletu orzekającego — red. Jerzy Strzałkowski, członkowie: red. Wiesław Sachs i red. Zbigniew Kuraś w obecności Zastępcy Rzecznika Dyscyplinarnego przy Zarządzie Oddziału SDP w Warszawie red. Janusza Czernikiewicza oraz obrońcy z urzędu, red. Janusza Kędzierzawskiego, powołanego przez Sąd na mocy opinii wiążącej Naczelnego Sądu Dziennikarskiego z dnia 9. IV. 1969 r., w dniu 15. I. 1974 r. rozpatrywał sprawę red. Emila Morgiewicza, kandydata SDP, b. pracownika „Zielonego Sztandaru”, obwinionego o to, iż jako członek grupy „Ruch” swoją działalnością i postawą wymierzoną przeciwko ustrojowi Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej i Konstytucji PRL naruszył art. 26 Dziennikarskiego Kodeksu Obyczajowego, jak również treść Statutu SDP, Rozdział II pkt. a i d. Sąd uznał red. Emila Morgiewicza winnym naruszenia art. 26 DKO i Statutu SDP, rozdział II, pkt. a i d i postanowił zgodnie z § 51 pkt. d Statutu SDP oraz art. 3 § 1 d i § 2 DKO usunąć ze Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich red. Emila Morgiewicza oraz spowodować opublikowanie orzeczenia wraz z uzasadnieniem w miesięczniku „Prasa Polska”.

## UZASADNIENIE

Red. Emil Morgiewicz naruszył podstawowe zasady Statutu SDP i DKO działając na szkodę ustroju PRL w nielegalnej, antypaństwowej grupie „Ruch”. W grupie tej pełnił czołową rolę, pisząc artykuły programowe — za co został skazany prawomocnym wyrokiem Sądu Państwowego na 4 lata pozbawienia wolności i 2 lata pozbawienia praw publicznych.

Będąc kandydatem SDP nadużył zaufania i naruszył dobre imię środowiska dziennikarskiego, Sąd Dziennikarski przy ZOW SDP uznając winę Emila Morgiewicza postanowił zastosować wobec niego najsurowszy środek przewidziany w DKO i Statucie SDP — tj. usunięcie z szeregów SDP.

Przew. Kompletu Orzekającego Jerzy Strzałkowski  
Członkowie: Wiesław Sachs i Zbigniew Kuraś.

## Sprawy i troski

## „Sprawa Polska Ltd”

Ogłoszenie w londyńskim *Dzienniku Polskim* z dn. 31. 5. 74:

„ANKIETA ANGLO-POLISH CONSERVATIVE SOCIETY. Ogłaszamy ankietę na temat obecnego stanu i przyszłych widoków społeczności polskiej w Wielkiej Brytanii. Za najlepsze odpowiedzi wyznaczmy nagrody”.

## ODPOWIEDŹ NA ANKIETĘ

Uważam, że obecny stan społeczności polskiej w Wielkiej Brytanii jest niezadawalający. Przyszłość może przynieść stosunkową poprawę tej sytuacji. Wypowiedź swoją uzasadniam i rozumiem jak następuje:

Wszelka ocena zależy od punktu odniesienia. Faktem jest, że nasza emigracja po trzydziestu latach istnienia rozpada się i zanika. Stan ten uznać należy za niezadawalający i godny ubolewania. Z drugiej strony wiemy, że w znacznie krótszym czasie emigrancie rzesze ze starego świata roztopiły się bez śladu w społeczeństwach nowego świata i to w ilościach o wiele większych niż nasze skromne sto tysięcy i zjawisko to przyjmujemy jako normalne, nie opatrując go w negatywną ocenę. Różnica w ocenie polega na tym, że my nie jesteśmy normalną emigracją. Nie wyemigrowaliśmy, tylko zostaliśmy wyrwani, chcieliśmy nie zostać, a wrócić, drażyło nas poczucie fundamentalnej niesprawiedliwości sytuacji, w której my — oszukani i wykiwani — mamy wspierać nie nasz równie oszukany kraj, a tych co oszustwo popełnili. Nasza grupa emigracyjna miała duży potencjał emocjonalny, którego nie ma w normalnych emigracjach. Ten wspólny ładunek emocjonalny sprawiał, że emigracja wytworzyła system celów, który znów odbiegał daleko od wzorów normal-



nich emigracji. W naszym systemie celów zachowanie własnej odrębności grupowej zajmuje poczesne miejsce.

Raptowny zanik naszej społeczności uznać należy za zjawisko negatywne z punktu widzenia celów i aspiracji społeczności tej przyświecających. Szczególnie jeśli się uwzględni angielski wstręt do naleciałości zewnętrznych i nieprzenikliwości społeczną. Trzydzieści lat to okres więcej niż wystarczający do wykruszenia się jednego pokolenia, ale przecież nie wszyscy mieli 50 lat w chwili gdy kończyła się wojna, nie mówiąc już o tym, że osiąga już pełnoletniość dziesiąty rocznik Polaków urodzonych w Anglii po wojnie i że połowa naszych obecnych emigrantów *sensu stricto* to ludzie przybyli w latach późniejszych, nierzadko zupełnie ostatnio. Nie ma więc obiektywnych, tzn. demograficznych, powodów do zanikania naszej grupy. Należy zastanowić się, czy nie było i nie ma w społeczności naszej procesów endogenicznych powodujących jej szybszy od spodziewanego rozpad i zanik.

Zacznijmy od krótkiego wywodu historycznego. Społeczność polska w Anglii powstała dzięki zobowiązaniom rządu angielskiego w stosunku do żołnierzy polskich z okresu 2-giej Wojny Światowej. W dziedzinie finansowej zobowiązania te splanowano bądź to rentami i zasiłkami dla jednostek, bądź to sumami zbiorowymi do opatrzenia całych grup. Specjalną i jedyną w swoim rodzaju formą wypłacania sum zbiorowych było udzielanie *placet* na przenoszenie dużych kwot pieniężnych z kont przejmowanych przez świeżo uznany rząd PRL na konta organizacji polskich od tego rządu niezależnych. Dla porządku dodać należy, że — wywiązując się z zobowiązań — Anglicy poczynili i inne kroki, ułatwiające osiedlanie się Polaków, jak np. ustawa o swobodzie przyjmowania pracy, ale nie to było najważniejsze. Funkcję łańcucha, który przykuł sporą ilość Polaków do głodującej i ledwo dychającej Anglii, spełniał czynnik pieniężny, a w ramach tego czynnika owe sumy zbiorowe, które — jako że przeznaczone były dla większych grup — zaczęto nazywać „funduszami społecznymi”.

Ile pieniędzy mieściło się łącznie w tych funduszach trudno dziś dociec. Dziesięć lat temu starał się odpowiedzieć na to pytanie Czesław Dobek (*Kultura* Nry 199, 200, 201/2). Jego pionierskie badania wykazały tylko istnienie jeziora (mętnej kałuży?), ale nie ilości wody w jeziorze tym zawartej. Kierując się kurtuazją czy może chęcią „niekalania gniazda”, pominął on największy, milionowy, fundusz przywłaszczony przez powiernika. Nie znał też on sprawy £700.000, które konsul Poznański „znalazł” wśród pamiątek po gen. Sikorskim (dowiedzieliśmy się o tym dopiero z pośmiertnego wspomnienia A. Pragiera o K. Poznańskim, *Wiadomości* nr 1327). Zgadując na podstawie obecnych pół-informacji, ocenimy fundusze łącznie na niemniej niż dwa miliony funtów. Dziś, na skutek potęgującej się inflacji, liczba ta straciła wyraz. Nawet gdy uwzględnimy, że funt ówczesny wart był tyle, co pięć dzisiejszych, nie uzyskamy pełnego obrazu potęgi tej liczby. Spójrzmy na następujący przykład: W 1945 roku

z pieniędzy rządu T. Arciszewskiego kupiono za £200 dom z przeznaczeniem dla partii politycznych. Cztery lata później dom ten sprzedano za £4.000; dziś wart jest on £100.000. Przeliczając po takim kursie, dwa powojenne miliony stają się dziś miliardem.

Dochodzą do tego różne fundusze *ad hoc*, gromadzone drogą składek, zbiórek itp. We wczesnym okresie powojennym, gdy masy byłych żołnierzy żyły w dalszym ciągu kolektywnie, nie było rzeczą zbyt trudną wydrenować do większego zbiornika część wypłacanych odpraw, zasiłków, niemieckich odszkodowań. Sto tysięcy ludzi po jednym funcie, to sto tysięcy funtów. Przykład historyczny, dotychczas nie wspomniany w kronikach emigracyjnych: W 1947 roku polscy studenci w Anglii opodatkowali się na rzecz swych źle sytuowanych kolegów w Niemczech; gdy zebrano pierwsze £500, skarbnik — zgodnie z najlepszymi tradycjami wybrany według klucza partyjno-politycznego — pieniądze ukradł i kupił sobie za nie dom. Ostatnie zdanie wskazuje poza linię rozumowania. Na razie chodzi o stwierdzenie, że u poczęcia emigracji były fundusze — fundusze liczne i zasobne.

Z kolei należy rozważyć wpływ, jaki fundusze te miały na emigrację. Jak wspomniano, emigracja nasza cechowała się jednością celów, przy czym nie były to na ogół cele ekonomiczne (nie jesteśmy emigracją zarobkową! — wołano dumnie). Cele celami, a żyć trzeba. Na ogół człowiek żyje chlebem powszednim, czyli pracą zarobkową, a ideologię uprawia w czasie wolnym od pracy a więc jako *hobby*. Uprawianie polskości na emigracji jest *hobby* dla 99 % jej członków; fundusze umożliwiły pozostałemu jednemu procentowi stanie się Polakami pełno-etatowymi. W ten sposób otrzymaliśmy kadrę zawodową — co w pewnym sensie było okolicznością korzystną — i mnóstwo problemów, które nas w ostatecznym efekcie rozłożyły.

Na skutek delegalizacji polskich władz emigracyjnych przez Anglików i nieuznawania władz PRL przez społeczeństwo polskie w Anglii, fundusze i zarządzająca nimi kadra znalazły się w próżni prawnej. Tylko nieliczni wyciągnęli z tej sytuacji krańcowe wnioski i zastosowali rozwiązanie ostateczne. Do nich należał wspomniany powiernik największego funduszu, który po prostu ulotnił się z powierzonym mu milionem, oraz ów skarbnik studencki. W większości jednak wypadków wypracowano formy działania, z czasem uświęcone w powszechnie stosowany rytuał, które zapewniły kontynuację funduszy. Ogólny schemat był następujący: Parę zaufanych osób dostawało — na ogół od Anglików — czek na jakąś większą sumę. Anglicy rozumieli to jako zapomogę do rozdziału między osoby nie mające prawa do normalnych angielskich emerytur i odpraw, np. dla pracowników polskiej służby dyplomatycznej i administracyjnej, i dlatego dalszym losem tej sumy nie interesowali się. Z ich punktu widzenia sprawa była skończona. Natomiast dla Polaków w tym momencie zaczynał się „fundusz”. Fundusz zapisywano na nazwiska „powierników”, zazwyczaj bez żadnego zabezpieczenia, po czym



dorabiano doń statut. Ostrożność nakazywała maksymalne zażyczenie ilości osób dysponujących funduszem, bo istniało niebezpieczeństwo — nie zawsze teoretyczne — że zbyt liberalny statut będzie furtką, przez którą wkroczą osoby podlegające ambasadzie PRL i opanują fundusz.

Nie trudno zauważyć, że schemat powyższy mógłby działać, gdyby jego wykonywanie spoczywało w rękach świętych. Ale jak wiemy ostatni święty zginął w Oświęcimiu, a na emigracji znaleźli się zwykli ludzie. Postulat zawężania ilości dysponentów w połączeniu z brakiem zabezpieczenia prawnego, w połączeniu z brakiem kontroli społecznej, w bardzo krótkim czasie sprawiły, że ogólna walka o sprawę polską zaczęła się przeradzać w prywatną walkę o fundusze. Jak zauważyliśmy poprzednio, o pieniądze społeczne było w swoim czasie dość łatwo, a pieniądze te dla osób prywatnych miały ogromną wartość. Świadomość jednego i drugiego nurtowała głęboko w ludziach działających publicznie, pobudzając ich do stałej i wytężonej walki o „posiadanie” funduszy lub kontroli nad nimi. Historia emigracji polskiej w Anglii po 2-giej Wojnie Światowej, to historia walki o odspolecznienie funduszy społecznych. Spójrzmy na nasz schemat w terminach praktycznych. Powiedzmy, że jest £100.000, które powinno się rozdzielić między tysiąc osób, tak że każda dostałaby £100. Jeśli zamiast rozdzielania stworzymy 'fundusz' i zainwestujemy go np. w domach, uzyskując dochód np. 20 % rocznie, stwarzając się ponętniejsze perspektywy, zwłaszcza gdy statusem, czy inaczej, ograniczymy liczbę dysponentów funduszem do np. dwudziestu osób. Wtedy każda z nich będzie mogła otrzymywać £1000 nie jednorazowo, a co rocznie na wieki wieków amen. A co zrobić z pozostałymi 980 osobami? Trzeba dla nich stworzyć jakąś działalność. Można w tym celu np. odłożyć na bok parę tysięcy i używać ich na dawanie drobnych, krótkoterminowych i zwrotnych pożyczek dla tych pozostałych. Nazwa, statut, forma działalności są nieważne. Zasadniczym celem jest utrzymanie funduszu ('folwarku', jak mówi się obecnie w Londynie) w rękach jego niezbyt legalnych właścicieli. Ta wyidealizowana praktyka teoretycznie słusznego modelu tłumaczy wiele zjawisk w dzisiejszym życiu społeczności polskiej w Londynie. Dlaczego *Dziennik Polski* jest taki jałowy? Bo przez lata całe jego prawdziwym zadaniem była nie dziennikarska obsługa czytelnika, a płacenie dużych (jak na *Dziennik*) pensji dużej (jak na *Dziennik*) ilości powierników. Dlaczego było rozbiście polityczne? — Spór o kłódkę na drzwiach budynku Skarbu Narodowego daje najprostszą odpowiedź na to pytanie. Po co druga biblioteka, jeśli i jednej czytelników nie starczy? — Bo po trzydziestu latach urzędowania dziewięćoosobowy zarząd nie może przestać być zarządem.

Należy zaznaczyć, że opis powyższy jest świadectwem degeneracji, ale nie złodziejstwa. Wypadki złodziejstwa były wyjątkiem, „trwanie na posterunku” — regułą. Jedyne co jakiś działacz uzyskał dla siebie, to jakaś drobna pensja, czasem mieszka-

nie w jakimś domu należącym do organizacji społecznej. Nikt im tego nie odmawia, każdy przyzna im prawo do odpowiedniego zaopatrzenia. Chodzi tylko o to, aby zaopatrzenie to otrzymywali niezależnie od swojej działalności. Bo ta ostatnia budzi już głównie smutek i zażenowanie. 'Przywódca emigracji', czyli zarządcy funduszy, są dziś w takim stanie, w jakim portugalski dyktator Salazar był u kresu swego życia. Został on pozbawiony władzy przez swych najbliższych współpracowników i przyjaciół, gdyż krańcowe zramolenie nie pozwalało mu na wykonywanie najprostszych czynności. Jednak przez wzgląd na starą przyjaźń fakt pozbawienia władzy trzymano przed nim w tajemnicy i co tydzień przyjaciele schodzili się u niego na 'posiedzenie gabinetu'. Jego służącej polecono ostrożne przygotowywanie go do zmienionej sytuacji, co czyniła namawiając starorego aby wreszcie odpoczął i przekazał rządzą komu innemu. — „Kiedy nie mogę, kochana Mario” — odpowiadał niezmiennie Salazar — „niestety nie ma nikogo odpowiedniego i sam muszę ten ciężar dźwigać”. Nasi starcy tak samo dźwigają to straszne brzemie, bo ludzi brak, kochana Aniellu, ludzi nie ma...

Jednym z wyników takiego jak wyżej opisano pojmowania funkcji funduszy społecznych, jest ich ubóstwo, niezrozumiałe w normalnych warunkach. Znow spójrzmy na parę przykładów.

Związek Harcerstwa Polskiego posiada na Rutland Gate w sercu Londynu dom o wartości powiedzmy ćwierć miliona funtów. Wydawać by się mogło, że mając taki aktyw Harcerstwo opływa w dostatki, bo ostatecznie zwykłe zdeponowanie takiej sumy w banku przyniosłoby 25-30 tys. funtów rocznie. Tymczasem, jak wynika z oficjalnego bilansu „Patria Publishing Association (Harcerstwo) Ltd.” (ostatnie dane za rok 1972), dom ten przynosi £3.365 rocznie, z czego woda, światło, odnowienie firanek itd. zabiera £2.391, zostawiając £190 jako zysk i £784 na płace osobowe. Nawet jeśli przyjąć że te płace przeznaczone są dla osób zasłużonych itd. jak wyżej, to i tak skórka nie warta jest wyprawki. Główna sala budynku przeznaczona jest na cotygodniowe zbiórki harcerskie, co jest zupełnie pozbawione sensu. Rezygnować z dochodu z £100.000 dla pięćdziesięciu zbiorów równa się płaceniu £2.000 za jedną zbiórkę. Można i tak, ale nie organizujemy wszechświatowej zbiórki dla wystania dwóch harcerów za £60 do Monte Cassino.

Skarb Narodowy też organizuje zbiórki; sama Wielka Brytania zbiera ok. 10-15 tysięcy funtów. Skarb jest właścicielem podwójnej posesji na Emperors Gate (tam właśnie toczył się pomiętny bój o kłódkę z udziałem Cata-Mackiewicza i policji angielskiej), która ma wartość ok. £150.000, a więc reprezentuje potencjalny dochód roczny równy 10-20 tysięcy funtów. Natomiast 'koła miarodajne' informują, że budynek „mniej więcej opłaca się”. W budynku jest duża sala używana na zebrania Rady Narodowej. Ponieważ Rada zbiera się raz na kwartał, więc koszt jednego zebrania wynosi 2.500-5.000 funtów.



Nowoobрани prezydent Francji, Valéry Giscard d'Estaing, surowo przestrzegł członków swego rządu: „Jesteśmy tu, aby zreformować Francję, a nie aby dbać o własne interesy”. Myśl mdleje, wyobraźni nie starcza przy próbie uzmysłowienia sobie co by było, gdyby emigracja prowadzona była według takiej zasady. Ale nie męczmy się, niepotrzebny wysiłek. Statystycznie nie można się było spodziewać, że przywódcy emigracji okażą się nadludźmi. Rzeczywiście nie okazali się.

W 1971 roku ukazał się raport Narodów Zjednoczonych na temat 25 lat pomocy amerykańskiej dla krajów zacofanych. Raport stwierdza m.in., że akcja pomocy przyniosła w wielu wypadkach więcej szkody niż pożytku. Zaledwie 10 % pomocy trafiło tam gdzie trzeba, reszta grzęzła w kieszeniach klas uprzywilejowanych lub pochłaniana była przez wygórowane koszty administracyjne. W związku z tym w krajach odbiorczych narastały konflikty społeczne itd.

Polskie fundusze społeczne też miały być taką manną z nieba dla emigracyjnych rzesz. W rzeczywistości przyniosły one ogromne szkody społeczne.

Z ich powodu struktura organizacyjna emigracji uległa nagłemu i niemożliwemu do usunięcia skostnieniu. Organizacje i instytucje doczepiono do funduszy, fundusze przekazano nielicznym jednostkom, jednostkom tym zapewniono nieusuwalność. Do funkcji społecznej podłączono czynnik bytowy, a więc praktycznie przekreślono możliwość dobrowolnej rezygnacji z funkcji. W ten sposób zatrzymano ruch pokoleń, wyłączone masy emigracyjne, nowe pokolenia, nowych emigrantów. Sprawa polska stała się „Sprawą Polską Ltd.”, prywatną firmą jeśli nie jednostek, to w najlepszym wypadku wąskich klik.

Długotrwała i zażarta walka o fundusze skłóciła i podzieliła całe społeczeństwo, przyspieszając jego atomizację i odejście od polskości. „Sprawa Polska Ltd.” została w trakcie tego skompromitowana i ośmieszona, ale cień kompromitacji padł również na sprawę polską. Polacy nie grzeszą kompleksem wyższości. Wysoki wodzów mogły tylko przyczynić się do pogłębienia kompleksu niższości narodowej, skąd tylko jeden krok do wynarodowienia.

Dysponenci funduszy stali się z dnia na dzień apostołami idei narodowej. W tym charakterze proklamowali wiele dogmatów, z których żaden nie miał tak szkodliwych następstw, jak dogmat o niejeźdźeniu do kraju. Dogmat ten jest antyproduktywny w sensie ogólnopolitycznym. Przecież system wolny nie boi się konfrontacji z niewolnym, przecież to wschodni despotci starają się za wszelką cenę odciąć podległe im społeczeństwa od kontaktu z wolnym Zachodem. Wprowadzanie analogicznego zakazu z naszej strony wygląda na taktyczną pomyłkę czy wręcz sabotaż. Ale nie o to chodzi w tym zagadnieniu. Ważne jest to, że na skutek tego dogmatu kraj rodzinny stał się dla młodych pokoleń orwellowskim *non-land*'em, ewentualnie jeszcze jedną fikcją z gatunku tych, którymi tak obficie szafuje starsze poko-

lenie. Wśród wszystkich krajów polskiego osiedlenia Anglia przoduje pod względem szybkości wynaradawiania się młodzieży. część odpowiedzialności za to spada na ten fatalny zakaz.

Reasumując: Stan obecny społeczności polskiej jest gorszy niż można się było spodziewać. Mimo zdecydowanej woli przetrwania jako Polacy, mimo nieprzychylnego asymilacji stosunku otoczenia i mimo stałego dopływu sił biologicznych, społeczność ta rozpada się i wynaradawia wyjątkowo szybko. W dużym stopniu przyczyniły się do tego procesy dezintegrujące, zrodzone wewnątrz społeczności. Konkretnie chodzi o konflikty na bazie funduszy społecznych. Konflikty te rozbiły społeczeństwo, praktycznie uniemożliwiły ruch pokoleń, pozbawiły społeczeństwo przywódców przez ich demoralizację. Z perspektywy 30 lat wyłania się wniosek, że dla zdrowia społecznego wskazane było kompletne rozdzielenie funduszy pomiędzy wszystkich uprawnionych. Możliwe nawet, że byłoby lepiej, gdyby funduszy w ogóle nie było.

Na podstawie powyższej analizy można postawić prognozę na przyszłość. Postawiona teza brzmi, że przyszłość może przynieść stosunkową poprawę. Nie oznacza to, że naturalny proces umiarnienia starych i odchodzenia młodych ulegnie w jakiś cudowny sposób odwróceniu. Natomiast można spodziewać się, że maleć będą i wreszcie zupełnie znikną miazmaty funduszowe, zatruwające i rozkładające społeczność emigracyjną. Zmiany polityczno-gospodarcze zachodzące w Anglii sprawiły, że praktykowana dotąd przez Polaków polityka inwestowania w domy czynszowe przestała być skuteczna i wkrótce nadejść może dzień, że to co zostało z dawnych funduszy straci wszelkie znaczenie. Przykład milionowego aktywu przynoszącego rocznie £170 zysku ilustruje sytuację. Fundusze przestały być siłą ekonomiczną na skalę całego społeczeństwa. Martwa ręka funduszowego *establishment*'u, która dotąd fatalnie ciążyła na życiu emigracji wprawdzie istnieje jeszcze, ale straciła wagę. Niezależnie od niej zaczynają pojawiać się skromne oznaki nowych form organizacyjnych. Kluby, gminy, parafie — to nowy, zaniżony profil emigracji. Już w tej chwili powstały z niczego klub „Orla Białego” na Balham bije „Ognisko Polskie” pod względem obrotów, ilości członków, wielkości sali. Jest w tym pewna symbolika: za rok-dwa „Ognisko Polskie” przestanie istnieć, klubów terenowych w rodzaju „Orla Białego” przybywa. Zniknięcie „Ogniska” napawa żalem. Jeszcze większy żal, że znika i zniknąć ma bez śladu wszystko to, co kiedyś reprezentowała emigracja, o czym marzyła i o co walczyła. Ale i tu możliwa jest poprawa. Powstała ambitna inicjatywa wybudowania ośrodka opartego na zasadach handlowych, a więc takiego jak „Orzeł Biały” tylko wielokrotnie większego, i przeznaczenie dochodów z niego na utrzymanie pamiątek emigracji. W ten sposób zabezpieczono by trwale przyszłość zbiorów w Instytucie Sikorskiego, bibliotek i drobniejszych archiwów porzucanych po różnych instytucjach. Idea ośrodka



(pełna nazwa: Polski Ośrodek Kulturalny i Społeczny, skrót POSK) jest tak stara, jak sama emigracja. Od zarania naszych dziejów dwa nurty ścierały się na emigracji. Jeden chciał działania na zewnątrz, walk orężem, dyplomacją, piórem, i temu celowi pragnął poświęcić wszystkie dostępne środki materialne i energię ludzką. Drugi nurt tworzyli sceptycy. Nie mając pewności, że niepodległość jest tuż za rogiem, dążyli oni do zorganizowania pewnych urzędów socjalnych na wypadek gdyby emigracja przeciągnąć się miała trochę dłużej. Takim podstawowym urządzeniem socjalnym miał być DOM POLSKI, który pomieściłby klub, teatr, hotel itd. Gdyby przeprowadzić referendum wśród całej społeczności polskiej w Anglii, to nie ulega wątpliwości, że duża większość wypowiedziałaby się za nurtem drugim; wypowiedziałyby się tak zarówno w roku 1950, jak 1960 czy 1970-tym. Ale tak silna była presja naszego *establishment'u*, że do niedawna nie było nawet możliwości publicznego wygłoszenia opinii, że emigracja jest zjawiskiem permanentnym. Nawet wtedy, gdy fakt ten stał się dla wszystkich jaskrawo oczywisty, właściciele Polski Emigracyjnej woleli go przemilczeć. Zajęci byli bowiem organizowaniem własnych folwarków, a nie życia zbiorowego emigracji. W ich oczach 'dom polski' jest do dziś pojęciem trefnym. Pachnie on wzorem amerykańskim, a więc 'Polonią' a nie 'emigracją polityczną'. Z drugiej strony, wobec wysychania dawnych funduszy i wzrostu indywidualnej zamożności wśród 'mas', życzenia ogółu po raz pierwszy zaczęły się liczyć. Zaobserwować się tu daje charakterystyczny kompromis: POSK, który jest realizatorem idei domu polskiego nie używa w swej nazwie słowa „dom”, natomiast włączył w nią drętwe brzmienie wyrażenie „społeczny i kulturalny”. Jest to niewątpliwie pójdzie po linii emigracyjnego *establishment'u*, który zawsze lubował się w szumnych nazwach dla swych folwarków. Z drugiej strony główny adwersarz POSK-u, Instytut Sikorskiego, zmienił ostatnio nazwę na „Instytut Polski”, celem nadania sobie bardziej uniwersalnego charakteru. W chwili obecnej sytuacja jest następująca: POSK ma zasobą słuszność idei. Emigracja potrzebuje siedziby o charakterze polskim bez ograniczeń. A więc nie byli weterani, byli więźniowie, byli ministrowie — po prostu Polacy mają mieć prawo członkostwa i głosu. Siedziba ma zaspakajać *ich* potrzeby towarzyskie i kulturalne. Częścią tak projektowanej działalności jest przechowywanie pamiątek z *ich* własnej przeszłości, pamiątek, dla których nie ma miejsca w Polsce Ludowej. Tak właśnie pomyślany jest POSK. Ale od idei do wykonania jeszcze daleko. POSK zakładał, że tak oczywiste cele przyciągną resztki dawnych funduszy, dla których dawno skończyła się jakakolwiek działalność. Częściowo oczekiwania te spełniły się i zebrano wystarczające pieniądze na postawienie gmachu w stanie surowym. Nawiasem mówiąc w gmachu tym jest prawdziwa sala teatralna — pierwszy teatr polski po trzydziestu latach emigracji! W tym punkcie postęp uległ zahamowaniu z powodu ekonomicznej dezorganizacji Anglii. Inflacja sprawiła, że kosztorys budowy

POSK-u, który wynosił początkowo £ 300.000, powiększył się o dodatkowy milion. Dalsze roboty idą tylko dzięki kredytom bankowym. Jeśli POSK stanie się w dużym stopniu zależny od pieniędzy bankowych to jego rola społeczna ulegnie skończeniu. Dochody POSK-u zamiast iść na utrzymanie części społecznej, będą musiały iść na obsługę długów. W ten sposób znów nie będzie pieniędzy na utrzymanie muzeum, biblioteki itd. Założeniem POSK-u było, że koszt kapitałowy poniesiony będzie przez istniejące fundusze. W rzeczywistości żaden z dysponentów większych funduszy nie zaoferował udziału. Nie zgłosił się Harcerstwo, choć sala młodzieżowa POSK-u nadaje się lepiej na zbiórki niż dom na Rutland Gate. Nie zgłosił się Instytut Sikorskiego (Polski), choć właśnie o zabezpieczenie jego zbiorów głównie chodzi POSK-owi. Nie zgłosił się Komitet Obywatelski, bo widocznie nie posesja na Weymouth St. pomyślana jest dla „obywateli” starego stylu. Nawet zjednoczony rząd nie zaoferował „ledwo się opłacającej” kamienicy na Emperor's Gate, a przecież POSK mógłby zapewnić o wiele wspanialsze ramy dla kwartalnych zebrań Rady Narodowej. Wprost przeciwnie nawet. Powstało coś w rodzaju zjednoczenia zarządców folwarków, które wszczęło akcję opozycyjną przeciwko POSK-owi. Akcja toczy się pod sztandarem Instytutu Sikorskiego. Jakie są prawdziwe motywy opozycji nie trudno dociec, ale argumentem wysuwany na pierwsze miejsce jest naiwny snobizm. Zarzuca się POSK-owi, że umieścił się w dzielnicy nie *comme il faut*, w której szanujący się Polak nie postawi nogi! Argument bez sensu, ale niektórzy z odnośnych działaczy sens już dawno postradali. Na razie toczy się walka o spadki. Niedawno delegacja wysoko postawionych dygnitarzy odwiedziła umierającego obywatela, który dom swój zapisał na POSK. Po długich i ciężkich cierpieniach obywatel przepisał dom na Instytut Polski i umarł.

Na krótką metę dużo zależy od Związku Kombatanów. Jest to organizacja społeczna bez cudzysłowu. Sieć terenowa Związku — sto kół — robi na prowincji to, co POSK zamierza robić w Londynie. Nic więc dziwnego, że głosowania wewnątrz Związku wypadają zawsze na korzyść POSK-u. Leżałoby jak najbardziej w naturze rzeczy, aby POSK był kwaterą główną Kombatanów. Do tej pory Związek poparł POSK kwotą £ 75.000. W przekazaniu tej sumy nastąpiła pewna zwłoka, spowodowana biurokratycznym formalizmem SPK, co naraziło POSK na pewne straty (przy tej sumie każdy miesiąc zwłoki kosztuje £ 1.000). Z drugiej strony SPK zgodziło się pokryć koszt urządzenia przypadającej mu części budynku POSK-u, co przyniesie dużą ulgę napiętemu budżetowi POSK-u. Uwzględniając kompletną w praktyce jedność celów POSK-u i SPK trudno sobie wyobrazić aby SPK chciało — a nawet mogło — zaprzęścić taką niepowtarzalną okazję postawienia polskiego życia organizacyjnego na pewnych nogach jaką jest POSK. Spodziewać się należy, że SPK zrobi wszystko, aby POSK został zrealizowany według pierwotnych założeń. Środki SPK nie są oczywiście nieograniczone. Umieściw-



szy sporą część swego kapitału w budynkach na Queens Gate Terrace, Kombatanci — zgodnie z emigracyjnym modelem — potraktowali je częściowo jako pomieszczenie dla zasłużonych, przez co inwestycja straciła poważnie na wartości. Mimo to oczekuje się, że jej sprzedaż przyniesie więcej niż £75.000 i że dzięki temu Kombatanci będą mogli bardziej wydatnie wesprzeć POSK. Kombatanci mogą też być pomocni POSK-owi w inny sposób. Stanowią oni dość sporą grupę w Radzie Narodowej, mogą więc wywierać znaczną presję za przekazaniem POSK-owi jeśli już nie „zamku” to przynajmniej domu na Emperor's Gate. Mogą również niezależnie od sprawy POSK-u domagać się na Radzie Narodowej stworzenia komisji, która zajęłaby się zbadaniem pochodzenia, wysokości i losów funduszy społecznych i ustaleniem ich obecnych właścicieli. Może akcja ta nie odzyskałaby ani jednego pensa dla społeczności polskiej, ale jest konieczna dla porządku, dla przyszłych historyków. Egzemplarz raportu tej komisji powinien znajdować się w Muzeum Emigracji obok łapci z Kołomy i sztandaru z Monte Cassino.

Na długą metę zadecyduje czynnik społeczny. Wprawdzie nie ma polskich milionerów, którzy mogliby jednym ciekim postawić POSK na nogi, ale jest sporo średnich majątków, których właściciele oglądają się za spadkobiercami. Czasem bliskich spadkobierców nie ma w ogóle, czasem są oni w Polsce, co w praktyce pozbawia ich spadku. W tych wypadkach POSK wydaje się naturalnym spadkobiercą. Wystarczy kilka zapisów aby uwolnić POSK od obciążeń bankowych. Niewykluczone również, że gdzieś kiedyś znajdzie się jakiś powiernik sum ongiś publicznych i robiąc ostatni rachunek sumienia odda gdzie potrzeba swoją schedę. Możliwe więc jest rozwiązanie korzystne. Jeśli POSK dostanie odpowiedni kapitał, który uwolni go od długu bankowego, z miejsca będzie mógł uruchomić działalność dzięki której stanie na zdrowych podstawach polski klub, teatr, muzeum, biblioteka.

Przyjmijmy, że to się nie uda, czego POSK-owi życzą serdecznie jego przeciwnicy. Otóż POSK nie zginie, budynek wartości kilku milionów istnieje i istnieć będzie. W najgorszym wypadku trzeba go będzie w całości czy prawie w całości eksploatować handlowo. Za 20-30 lat długi będą spłacone i cały dochód — powiedzmy £100.000 rocznie po cenach dzisiejszych — będzie mógł być użyty na cele społeczne. Że wiele z tych celów straci w międzyczasie aktualność to wielka szkoda. Natomiast błędem — gdybyśmy mieli do czynienia z ludźmi w pełni poczytalnymi powiedzielibyśmy kryminalnym błędem — jest łudzenie się, że odłożenie POSK-u do lodówki na 20 lat cokolwiek polepszy sprawę jego przeciwników. „Ognisko Polskie” jak mają zamknąć tak zamkną. Instytut Sikorskiego jak jest bez grosza, tak będzie, a jego archiwa itd. jak pływały w wodzie od pękniętej rury tak i będą. A na Skarb Narodowy jak nie dają tak jeszcze mniej będą dawali.

B. BRODZIŃSKI

## Roman Gronowski

W sierpniu bież. roku melburneński *Tygodnik Polski* miał obchodzić swe XXV-lecie i Polonia Australijska już szykowałą się do tego jubileuszu. Zawiązał się komitet obywatelski, przygotowywano bal reprezentacyjny, z którego dochód miał zasilić kasę wydawnictwa robiącego — po emigracyjnemu — bokami, redakcja opracowywała specjalny numer. W międzyczasie w dniu 12 lipca redaktor i wydawca pisma, Roman Gronowski, zmarł nagle w wieku 61 lat na zawał serca, trzeci z kolei w Jego pracowitym życiu. Pogrzeb przy tłumnym udziale społeczeństwa polskiego odbył się w dniu 19 lipca.

Na emigracji istnieją różne kliki i hierarchie a ich osady nie zawsze pokrywają się z opinią ogółu emigracyjnego. Najczęściej jednak ludzi ocenia się dopiero gdy ich zabraknie. Tak samo było i z Gronowskim. Często się z Nim nie zgadzałem, najeżdżał mi na siebie niejednokrotnie i tak powinno było być, bo ostatecznie z różnorodności sądów i taktyk, zakładając nadrzędność celu utrzymania emigracji politycznej oraz jej walki o wolną Polskę przyszłości pomimo dzisiejszych niesprzyjających warunków, może się wykluć dzieło lepsze niż poczęta w samodurystwie kapliczki albo pod wtór grupki wazelinarzy, wyżywających się w pisanii, gdzie popadnie nudnych i patetycznych ko-był, w których utwierdzają sami siebie o swej ważności. Tacy panowie wylawszy kubeł pomyj na komunizm i władców PRL, oraz porcję komplementów pod swym własnym adresem, są przekonani, że skutecznie zwalczają wroga.

Gronowski w tym emigracyjnym światku zbawców i dygnitarzy umiał często zachować, mimo presji środowiska — niezależność, umiar, godność a także poczucie proporcji. A poza tym przez wiele lat robił w bardzo trudnych warunkach na ogół dobre i naprawdę potrzebne pismo sam jeden, kosztem snu, odpoczynku i szczęścia osobistego, a także zdrowia i dorobku materialnego, użerając się z różnymi wielkościami i ambicjami, a także z prowincjonalnymi asami literackimi i dziennikarskimi, którym wykreślenie jednego zdania wydawało się zamachem na wolność słowa i kamieniem obraży. Tacy najczęściej zapominają, że ostatecznie redaktor też chce aby jego pismo wyglądało lepiej a nie gorzej. Gronowski, jak każdy z nas, miał swoje słabości i śmieszności, a niektóre jego posunięcia krytykowano. I słusznie. Tak ma być, wszyscy powinniśmy być pod obstrzałem krytyki. Ale był On wprost osłupiająco pracowity, umiał pracować w pośpiechu i gwarze drukarni, a język polski znał jak mało kto. Wykazywał przy tym duże wyczucie dziennikarskie i chętnie pomagał wartościowym inicjatywom; jak mało który z redakto-



rów emigracyjnych propagował czytelnictwo emigracyjne, zbierał przedpłaty dla wydawnictw w Londynie i w Paryżu, propagował *Kulturę* i *Wiadomości* (zebrał ponad 200 subskrypcji na Sołżenicyna) i niejednej lokalnej ale ważnej inicjatywie się przysłużył. Gdyby pracował, jak kiedyś w Sydney, przy metram-paży w dużej drukarni, gdyby był nauczycielem albo nawet śmieciarzem, zarobiłby więcej, żyłby sobie dostatniej i dłużej niż jako wydawca i redaktor. To powinni pamiętać wszyscy. Emigracyjni redaktorzy są po prostu męczennikami i dusze, zdrowie i własne pieniądze wkładają w dzieło, które ogół bierze *for granted* i nagle, gdy dopiero takiego maniaaka zabraknie, wszyscy widzą jak był potrzebny i trudny do zastąpienia. Był po prostu instytucją.

Życie Romana Gronowskiego, Marka dla bliskich, nie było szczęśliwe. Wczesne sieroctwo, pchanie się przez życie o własnych siłach, zawodowa podchorążówka w Rembertowie, służba w pułku częstochowskim oraz piękna karta w AK przed i podczas Powstania, to jedna strona. Druga to studia w Brukseli, praca społeczna, emigracja do Australii, udział w naszym życiu społecznym, praca zarobkowa ciesielką i metrampażem, współpraca i redagowanie przez jakiś czas sydneyjskich *Wiadomości Polskich*, wreszcie od stycznia 1961 roku przejęcie melburneńskiego *Tygodnika Katolickiego* od schorowanego Księdza Trzeciaka i prowadzenie go aż do lipca 1974 pod bardziej świecką nazwą *Tygodnika Polskiego*.

O Trzeciaku, zmarłym 6 lat temu, też na zawał serca, warto tu kilka słów wspomnieć. Pomorski aptekarz, po późnym powołaniu wstępuje do zakonu i wyświęcony wyjeżdża jako misjonarz do Chin, skąd wyrzucony przez komunistów przybywa do Australii w 1948 roku. W obozie emigranckim w Bathurst zakłada *Tygodnik Katolicki*, sam go redaguje, pisze na woskówkach, kręci na powielaczu, spina, rozsyła, i rozwozi na rowerku wśród pierwszych powojennych emigrantów jacy w tym czasie do Australii masowo zjeżdżają. Pismo się rozwija i korzystając z pomocy Księdza Janusa S.J. i społeczeństwa przenosi się do Melbourne, gdzie już drukuje się w prawdziwej polskiej drukarni „Polpress”. *Tygodnik* naprzód *Katolicki* a potem *Polski* drukowany już we własnej drukarni „Typol”, stał się ważnym elementem naszego życia. Pod redakcją obu kolejnych samotników przetrwał 25 lat i jeżeli w Australii nie powstała dlotychczas ani jedna poważniejsza organizacja prorożymowa, której nieliczni członkowie nie byłiby półinteligentami, jest to w dużym stopniu zasługą tego pisma.

Z obu redaktorami współpracowałem i spierałem się od 23 lat, od chwili przyjazdu do tego kraju, i szczerze mogę stwierdzić iż Obaj dobrze zasłużyli się polskości, naszej kulturze i emigracji politycznej. A ich pamięć na długo wielu z nas zachowa w ciepłym kąciку serca aż do naszej własnej śmierci.

Andrzej CHCIUK

## LEKARZ-EMIGRANT WE FRANCJI

We francuskim *Journal Officiel* z 21 maja 1974 roku zostało ogłoszone zarządzenie wykonawcze do ustawy z 13 lipca 1972 roku, nowelizującej francuski kodeks zdrowia publicznego w zakresie wykonywania zawodu lekarza, stomatologa i położnej. Na zasadzie nowych przepisów tak obywatele francuscy, jak i imigranci, którzy mają zagraniczne dyplomy, będą mogli ubiegać się o zezwolenie na wykonywanie tych zawodów we Francji, jeżeli ich dyplomy są równorzędne z francuskimi i jeżeli zdadzą z wynikiem pozytywnym egzamin kontrolny. Odpowiednie komisje, organizowane w tym celu przez władze uniwersyteckie na wniosek ministerstwa Zdrowia, będą obradowały raz do roku przy dwóch sesjach dodatkowych dla tych osób, które na sesji głównej nie uzyskały wyniku pozytywnego. Komisje sprawdzą wiadomości zawodowe kandydatów, poziom ich etyki zawodowej i znajomość francuskiego ustawodawstwa medyczno-socjalnego. W stosunku do osób, które w okresie krótszym niż 5 lat uzyskały doktorat z zakresu nauk medycznych lub były wykładowcami czy asystentami na wyższej uczelni, względnie przez więcej niż 5 lat pracowały we francuskim szpitalnictwie, komisja ograniczy się do sprawdzenia ich dyplomów.

## PRÓBY ROZKŁADANIA POLONII

Redaktor *Dziennika Związkowego* w Chicago, Jan Krawiec, pisze w numerze z 11 maja:

„... Zdobylem następny stopień 'uświadczenia'. Dotąd sądziłem, że ludzie śpiewają i tańczą dla przyjemności. Okazuje się, że byłem w błędzie. Chodzi o darmowe hotele i wyżywienie, by pokazać narodowi, który posiada 'Mazowsze', 'Śląsk' i 'chłopów z Poznania' jak się śpiewa i tańczy... Jestem gorącym zwolennikiem 'uczenia się' polskiej kultury i wyjazdów do Polski, gdzie tę kulturę można poznać, ale na własny koszt. Stąd wnioszek, że jestem przeciwnikiem wszelkiej darmochoy, opłacania przez polskich robotników i chłopów hoteli, podróży po Polsce i wyżywienia przetłuszczonym 'działaczom' polonijnym, sportowcom, śpiewakom i wszystkim innym, szczególnie, gdy jadą by w rocznicę ujarzmienia ojczyzny śpiewać i tańczyć na grobie wolności...”

Zdemoralizowana dobrobytem emigracja jest łatwym łupem. Jednych polscy bolszewicy kupują koncesjami na eksport-import, ułatwieniami dla turystów itp., innych orderami i medalami, a jeszcze innych opłacaniem bytu w Polsce i schlebieniem próżności. Kto płaci ten wymaga. Kto jest na utrzymaniu tam — po powrocie zachowuje się jak utrzymanka. Taka już jest logika życia. Kto poniesie pochodnię wolności? Kto ją przekaże pokoleniom następnym?”...

Ilustracją tych słów jest wystąpienie w Radio Warszawa w dn. 28 maja bież. roku, Henryka Podolskiego, który informuje, że Towarzystwo Łączności z Polonią „otrzymało możliwość skutecznieszego realizowania swego programu” i że będzie „spełniać funkcję koordynatora działalności wszystkich organizacji i zrzeszeń w kraju wśród emigracji”. Został opracowany



„wielostronny i perspektywiczny program działania”. „Główną wytyczną tego programu jest ustalenie, że utrwalenie i ugruntowywanie świadomości więzi licznej Polonii z krajem może być realizowane przez udostępnienie jej w większy i szerszy sposób zdobyczy kulturalnych”.

Nowy program przewiduje znaczne rozszerzenie materiałów jakie zostaną wysłane do środowisk polonijnych. Obejmuje to materiały problemowe i informacyjne, wydawnictwa; reprodukcje, nagrania i serwisy fotograficzne oraz przezrocza ukazujące historię i współczesność polskiej kultury narodowej.

Osobną część programu stanowią wytyczne dla działalności kulturalnej wśród setek studentów polonijnych, studiujących w kraju. Chodzi tu o wykorzystanie ich pięcioletniego pobytu w Polsce dla zapoznania ich z kulturą polską.

W ramach akcji popierania twórczości artystycznej w środowiskach polonijnych ma być rozwinięty system studiów i stażów w krajowych uczelniach artystycznych. Będą organizowane plenery dla plastyków i fotografików. Twórcy polonijni mają brać udział w krajowych imprezach artystycznych. Szczególną opieką będą otaczane zespoły amatorskie. Nie tylko będą one otrzymywały materiały pomocnicze, lecz mają być organizowane specjalne kursy choreografów, dyrygentów chórów i orkiestr, filmowców i fotografików.

Będą regularnie organizowane festiwale chórów polonijnych i polonijnych zespołów pieśni i tańca. Kraj będzie szeroko informowany o ciekawych wydarzeniach kulturalnych w środowiskach polonijnych oraz dorobku i osiągnięciach zasłużonych twórców i zespołów artystycznych.

(Uwagi red. Krawca znalazły całkowite potwierdzenie w tegorocznym „Forum polonijnym” w PRL. Czytelnicy znajdą szczegóły w bieżącym numerze w „Wydarzeniach miesiąca. — Red.).

Wychodzący od 1932 roku

## ZWIĄZKOWIEC

1475 Queen St. West, — Toronto 3, Ontario, Canada

jest jedynym pismem Polonii ukazującym się dwa razy w tygodniu. Chcesz wiedzieć o Kanadzie, być dobrze poinformowanym o życiu Polonii, mieć bezstronne wiadomości i omówienia wydarzeń między narodowych, być w kontakcie z życiem Polaków na całym świecie i w dalekiej Ojczyźnie — czytaj i prenumeruj

PÓŁTYGODNIK „ZWIĄZKOWIEC”

W każdym numerze dwie powieści nowoczesnych pisarzy polskich, artykuły z dziedziny wiedzy, wiadomości, specjalnie redagowane działy: „SPORT” — „ZWIĄZKOWIEC DLA DZIECI” — „KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU”

## Kronika kulturalna

### Trafność widzenia

Atmosfera walki, niedosyt materialny — każda eksterminacja — budzą sprzeciw wyrażający się narastaniem zarówno srogości, jak i wprowadzaniem coraz to nowych metod i środków jako oręża w tej walce. Jednym ze środków było i pozostało dzieło literackie — proza i poezja. — Niech nikt nie twierdzi, że dzieło literackie jest, lub może być niezależne. Kwestia szerokości widzenia rzeczywistości czyni to dzieło bardziej lub mniej zbliżone do zjawisk zauważalnych blisko — tuż — gołym okiem. Przedmiot konfliktu to się zbliża — to oddala, ale zawsze pozostaje w polu widzenia. O wartości dzieła literackiego decyduje — rzecz wiadoma — jego afirmacja u jak najszerszego kręgu odbiorców. Dzieło wybitne, o znaczeniu uniwersalnym musi wyjść z ciasnego kręgu jednej, zasklepionej w swych problemach społeczności — narodu i musi wzbudzić zainteresowanie na arenie — mówiąc popularnie — międzynarodowej. Poezja — dramat Szekspira jako typowo uniwersalne budzą i budziły z tych względów zawsze marzenia adeptów literatury, dobijających się do sławy i uznania.

Czytelnik daruje przypomnienie tych znanych i uznanych kryteriów wartości, ale zmusza do tego obserwowana żonglerka uprawiana przez niejednego z krajowych poetów i prozaików (tych ostatnich mniej), usiłujących wymazać nieraz swoje niedysyjsze zaangażowanie w rzeczywistość, aby „wyjść na pow-szechność”. Ponure z jednej strony wizje konfliktów, groźących zniweczeniem globu, a z drugiej strony bezkonfliktowość nasyconej części bogatego świata, czyni dziś nasz obraz „tła” zjawisk mocno niewyraźnym. Z jednej strony potrzeba walki z groźbą totalnej zagłady, wobec której każdy wysiłek człowieka wydaje się daremny z drugiej strony niwelujący wszystko błogostan

1. Mam tu na myśli przykładowo Wisławę Szymborską, która w wyborze wierszy wymazała swoją socrealistyczną drogę do kariery.



dobrobytu działa równie deprymująco i nie pobudza do aktywności. Czy istnieje w tym świecie potrzeba i możliwość aktywnego oporu? Potrzeba rozwinięcia całego arsenału, tradycją uświadomionych środków oporu społecznego, z wciągnięciem do tego arsenału również i dzieła literackiego?

Zdumiony czytelnik zadziwi się samym postawieniem tak oczywistej kwestii w stan wątpliwości. Dla nas Polaków i innych narodów tzw. Wschodu istnieje tak oczywisty przeciwnik, że sprawa naprawdę wydaje się bezdyskusyjna. Ale to tylko pozory.

Można dostrzec przyczyny dla których epoka współczesna Szekspirowi inspirowała literaturę, operującą problematyką i pojęciami tak ogólnymi, że walor ich przetrwał nienaruszony i stale aktualny. Z pewnością można się również podjąć klasyfikacji różnych epok, stwarzających mniej lub bardziej dogodne warunki do powstawania literatury. W tej klasyfikacji nasze czasy, obarczone ogromnym, nie spotykanym dotąd w historii bagażem nauki i techniki, w której wyławowuje się cała pomysłowość i aktywność człowieka — pozostawiają na pewno mniejszy niż zwykle margines dla twórczości i odbioru literatury. Ale pozostaje jeszcze udział w walce...

Nasza literatura romantyczna i jej hermetycznie narodowy Mickiewicz, który przemawiał najgłośniejszą i najdobitniej, wyrażając uczucia maltretowanego fizycznie i moralnie narodu — spełniał nie uniwersalną ale i niekwestionowaną rolę barda narodowego. Były to czasy walki i oporu, wielkiego społeczno-narodowego zamówienia na literaturę, która ten opór propagowała. Maltretowane dziś społeczeństwa wschodu — a na ich czele naród który w swej historii nigdy nie korzystał z wolności — znajdują się wszędzie w sytuacji podobnej do Polski z czasów Mickiewicza. Istnieje więc obok zblazowanego dobrobytem Zachodu i niedorozwiniętego Dalekiego Wschodu, ogromny rejon walki o wyzwolenie z narzuconego i podtrzymywanego siłą nihilizmu kulturalnego i moralnego. A więc czasy i tło działania dla literatury, może nie dorównujące epoce Szekspira (zresztą nie przesadzajmy) ale już dziś widoczne warunki dla aktywności „Mickiewiczów” uciemiężonego Wschodu. Z recepcji przedzierającej się z trudem na Zachód literatury rosyjskiej — tej walczącej — widać wyraźnie, że Zachód tak właśnie widzi wartość prozy i poezji Wschodu<sup>3</sup>. Dzieła Sołżenicyna, które przeostroży krytyk naszych periodyków ukazujących się na Zachodzie uznałby za publicystykę dziennikarską, traktowane są powszechnie jako po-

2. Warto tutaj zwrócić uwagę, że podobne akcenty powiązania i zaangażowania w walce próbował bez powodzenia podjąć Sartre przez swój udział w „rewolucji kulturalnej” w wydaniu goszystów zachodnich. Cel tej walki jednak, możliwy do przyjęcia przez niedorozwiniętą młodzież i masy konsumentów rozumujące niewłaściwą częścią ciała — nie był do przyjęcia dla przeciętnego, kulturalnego i jako tako intelektualnie zaawansowanego człowieka Zachodu. Z tych względów „literatura walcząca” Sartre’a nie wzbudziła zainteresowania i spaliła na panewce.

ezja. Nasz Kwiatkowski czy Sandauer, z plejadą mniejszych i większych Herbertów usiłują zgodnym chórem „wyjść” z naszą prozą i poezją bezkonfliktowo, aby zadziwić świat swym niezaangażowaniem. W tych warunkach giną — jak to miało miejsce nieraz — ukazujące się tu i ówdzie u nas próby rejestracji zjawisk mających walor moralny społeczny i aktualny. Któż ze ślepych krytyków, albo kto w Polsce Gierka, gdzie ideałem jest „półgłówek z Syrenką” (jak to zostało trafnie sformułowane w jednym z numerów paryskiej *Kultury*) zrozumie i odczyta, sens aluzji związanych z postacią Koziatulskiego<sup>3</sup>.

A jednak kiedyś wiersz Mickiewicza sięgający do odległych czasów Maurów z Alpuhary był należycie rozumiany, nie tylko przez krytyków, ale przez szeroki ogół. Nie było wtedy wprawdzie „Syrenek” i nadprodukcji instalatorów, skądinąd bardzo potrzebnych. Mentalność posiadacza „Syrenki” w równej mierze z mentalnością twórcy usiłującego zadziwić świat nie najlepszego gatunku stoicyzmem i cynizmem, przytłumiły niestety wrażliwość, współczucie i litość. Kto zrozumie w kraju istotny sens „publicystyki” wierszowanej, w obronie<sup>4</sup> — gładzonych narodów Wietnamu i Kambodży, nękanych przez hordy ogłupionych dzikusów. A przecież to Szekspir, do którego tu nawiązujemy, będąc tak uniwersalny reagował właśnie na okrucieństwa popeł-

3. Mam tu na myśli prozę Mariana Brandysa pt. „Koziatulski i inni” oraz wiersz Anny Pogonowskiej pt. „Sztandar” *Tygodnik Powszechny*, który cytuję:

„Rejtan i Koziatulski umarli w obłędzie  
Kościuszkę zdziwaczał.  
Na każdej ruinie pleśń żywa zasiędzie  
I wespie się tłum chwastów.

A komu słowo złamano na wargach  
Jak od chorągwi drzewiec  
Jest w nim jedynie pustka na śmierć  
I ją w łopocie doniesie”.

4. Wyselekcjonowanie szczerzej nuty współczucia od morza krokodyli lecz wylewanych na zamówienie rosyjskich producentów i dostarczycieli narzędzi mordu, stanowi tu nielada majstersztyk intuicji. I tak jak w cytowanym dalej wierszu z *Przekroju* wstajemy w końcu od telewizora zdezorionowani i obojętni na łzy i jęk mordowanych: „Widowisko”:

i znowu ginie jeden naród  
mamy nowe widowisko w telewizji  
że też nam się nie nudzi  
patrzeć na umierających  
ach nudno  
bardzo nudno  
coraz bledsi  
siedzimy w fotelach  
oto jeden odsuwa krzesło  
wybiega  
to najmłodszy”.



niane w jego kraju — obiecywał mordercom zasłużony, najwyższy wymiar kary. To zaangażowanie nie zaszkodziło w żadnym stopniu jego dziełom i nie odebrało im waloru uniwersalności.

Trudne warunki i zamknięta droga dla otwartego mówienia, dla krytyki literackiej w kraju — nakładają na polską krytykę na Zachodzie tym większy ciężar obowiązków. Do obowiązków tych należy w pierwszym rzędzie wydobywanie na jaw niedostrzeganych lub pomijanych celowo wartości literackich. Obawiam się, że w tym celu zajdzie potrzeba rewizji wielu stosowanych dotąd poglądów i nawyków. Istnieje poza tym w pismach polskich na Zachodzie duże zróżnicowanie trafności sądów. Przykładem może być paryska *Kultura*. Ukazujące się tam publikacje trafnie analizują rzeczywistość gospodarczą, polityczną i społeczną. Krytyka literacka natomiast grzeszy kwietyzmem, brakiem wrażliwości<sup>5</sup> i nie dotrzymuje tej publicystyce kroku.

Z. RUDZIŃSKI

(Artykuł dyskusyjny — Red.).

5. Należałoby w tym miejscu, również na marginesie, wypomnieć wyrażone potknięcia *Kultury*, która w jednym z numerów opublikowała autoreklamarską wypowiedź Wirpsy, który ni mniej, ni więcej oświadczył, że w poezji po wojnie w Polsce, tylko on jeszcze z kimś drugim się liczą.

## "POLONIA"

**KSIĘGARNIA POLSKA W CHICAGO**  
2921 Milwaukee Ave., CHICAGO, Ill. 60618.

**Czynna codziennie od 10-ej do 6-ej pp.**

Posiada na składzie: książki i czasopisma polskie, polskie karty okolicznościowe i Dział Antykwariatu; przyjmuje książki do sprzedaży komisowej.

Skład Główny na Chicago wydawnictw Instytutu Literackiego w Maisons-Laffitte (pod Paryżem), m.in. paryskiej *KULTURY* i *ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH*.

Księgarnia przyjmuje prenumeraty na polskie czasopisma i wykonuje pocztowe zlecenia księgarskie.

## Książki

### Czapski nareszcie scalony

Czemu przypisać że Józef Czapski nie jest dotychczas uznany za jednego z wielkich malarzy naszego czasu? Częściowo, myślę, dlatego że dzieło jego dojrzywało powoli, że tak trudno naznaczyć na jego malarskiej drodze jakiś punkt w którym z misjonarza czystego malarstwa, niosącego do Polski dobrą nowinę natury przemienionej w tęczę, przekształca się on w twórcę o wizji własnej i niepowtarzalnej. Uproszczenie, jak zwykle, nieściśle. Własną wizję miał Czapski zawsze, tyle że misjonarz długo wchodził twórcy w paradę. Inni Kapiści (Cybis, Waliszewski, Potworowski) jak ryby pływali w przejrzystym pryzmacie kolorów. Czapski, mimo teorii która czerni usunęła z palety, potrzebował linii cienia który by nie był niebieski. Minęło wiele lat zanim czerni (dla teoretyka heretycka) narzuciła się malarzowi, pozwoliła mu brutalną nieraz krechę określić sylwetki, podkreślić wyraz obrazu. Między teorią i wizją były też inne zgrzyty. W imię czystego malarstwa Czapski długo myślał (a bodaj jeszcze dłużej pisał), że to co spojrzenie przemienia w wizję należy do czystej estetyki: zachwyt czerwoną plamą sukni, odbiciem pochylonej głowy w szybie wagonu. Podziemny wielkomięjski świat korytarzy metra i stacji kolejowych, ciemnych kawiarni i sal teatralnych narzuca się nam jednak w obrazach Czapskiego tak silnie, że niweczy sztuczny podział na „formę” i „treść”. Należy dodać że nie jest to malarstwo łatwe w epoce która żąda aby „styl” był „podpisem”. Styl Czapskiego to wierność dochowana pierwotnej wizji, przeciwieństwo łatwej stylizacji. U źródeł jego wizji bezpośrednio odbicie w malarskim oku zbiega się często ze wspomnieniem obrazu innego malarza który go zachwycał. Stąd martwe natury „derainowskie” czy „soutinowskie”, bardziej spontaniczne od częstych dziś intelektualnych prób przekształcenia „muzeum wyobraźni”, których klasycznym przykładem są Velasquezy Pi-cassa. Tych kilka wskazówek natury plastycznej wyjaśnia może dlaczego dzieło Czapskiego, mimo tak wysokiej malarskiej klasy,



nie zostało odpowiednio *dostrzeżone* przez epokę *zaślepioną* dążeniem do odkrycia „nowości” i „sensacji”.

Są również powody natury biograficznej. Od najwcześniejszych lat był Czapski przedmiotem kolejnych wyzwań rzucających mu przez historię, na które reagował z siłą psychiki tęskniacej do absolutu, fizycznie niemal niezdolnej do uznania zła za lwia część naturalnego porządku rzeczy. Rewolucje, wojny, obozy zmuszały go wprost do kolejnych zaangażowań przeciw owemu Duchowi Historii w heglowskim fraszku, którego dwuznaczną znową z Duchem Ziemi genialnie przejrzał Miłosz w „Traktacie Poetyckim”. Stąd postać z którą Czapski nie ma nic wspólnego, najkarykaturalniej (w najlepszej zresztą intencji) określona przez François Mauriac: „*ce pèlerin polonais qui, de douleur en douleur, avance la main tendue comme cette statue dont Bourdelle, sur la place de l'Alma, a fixé le geste éternel*”. Pielgrzym natomiast, rzecz dla każdego z przyjaciół Czapskiego oczywista, chce jak najszybciej zejść z cokołu, a ręka, jeśli wyciągnięta, to po pędzel. Cóż, kiedy dla wielu Polaków (a nawet dla niektórych cudzoziemców) „pielgrzym” przesłania malarza. Dodajmy do tego że wczesny malarski dorobek Czapskiego jest niemal całkowicie zniszczony, że jego powojenne obrazy są rozproszone po świecie (a twórca często nie zachował nawet ich fotografii), co może sprawić wrażenie braku ciągłości dzieła, które wyłania się fragmentami, jak szczyty górskiego łańcucha na pół zalanego powodzią.

Dlatego trzeba było, aby dziełu Czapskiego przywrócić jedność, aby wykazać jego prawdziwą oryginalność, podejść do tego dzieła z uwagą i uporem eksploratora i archeologa. Uczyniła to z wielką inteligencją i równie cennym entuzjazmem młodzieńca szwajcarska historyczka sztuki Murielle Werner-Gagnebin w obszernej i pięknej monografii<sup>1</sup>. Murielle Werner spotkała się z malarstwem Czapskiego za pośrednictwem Jeanne Hersch, profesora filozofii na uniwersytecie genewskim, która posiada jedną z najczujniej dobranych kolekcji jego obrazów. „Malarstwo Czapskiego — pisze autorka w przedmowie — pociągnęło mnie natychmiast. Narzucało się z siłą, a zarazem jakby się wymykało. Czułam, pod figuratywną anegdotą, zawsze bezpośrednią i prostą, coś tajemniczego, zagadkowego. Urzekała mnie w pierwszym rzędzie silnie zaakcentowana konstrukcja, a w niej celowe cięcia (postacie przedstawione w fragmentach, niezwykły kadraż). Skądinąd, motywy wzięte były z życia powszedniego: zamiatacz ulic, poczekalnia, para w kawiarni czy teatrze itd. W tej syntezie, codzienny banał ukazany był w innym wymiarze”. Podobnie jak wielu miłośników malarstwa Czapskiego (sam poświęciłem kilka tekstów temu aspektowi jego dzieła, a najcelniej bodaj ujął go w pięknym szkicu poeta Fernand Tourret), Murielle Werner głów-

ną uwagę zwraca zatem w swej monografii na to co nazywa jego „teatrem powszedniości”. Zasluga jej jest równie rzetelne spojrzenie na twórczość równoległą Czapskiego: martwe natury w „klasycznej” tradycji Cézanne’a, portrety „bonnardowskie”, impresjonistyczne pejzaże których malarz nigdy nie poniechał i które pozwalają, wraz z niewieloma uchronionymi od zagłady fotograficznymi świadectwami, odtworzyć ducha i kierunek jego wczesnych prac. Z dokładnością i sumiennością rzadko spotykana we współczesnej krytyce sztuki, autorka nie lekceważy żadnego obrazu, dzięki czemu udaje jej się rekonstrukcja rozwoju powolnego, nie pozbawionego wahań, w którym częste są powroty w przeszłość. Tak czujna wierność pozwala jej na pogodzenie pozornie sprzecznych punktów widzenia na malarstwo Czapskiego, który jest „impresjonistą” dla większości Polaków, „ekspresjonistą” dla Francuzów. Murielle Werner natomiast bardzo słusznie ustawia Czapskiego w linii Goya, Daumiera, Toulouse-Lautreca: widzi w nim „ekspresjonistę łacińskiego”. Śledzi ona dzieło Czapskiego poprzez serie bliskich sobie obrazów, ujmując je w podwójnej perspektywie, tematycznej i chronologicznej: łoża, metra i pociągi, kawiarnie i bistra. Zwraca uwagę na stopniowe spotęgowanie stawianych przez malarza zasadzek, z których jedno są oczywiste, inne bardziej przemyślane (lustra, odbicia), a zwłaszcza na coraz silniejszą obecność „innego wymiaru”, przekazanego za pomocą chwytów własciwych Czapskiemu: odśrodkowej kompozycji i śmiałego kadrażu. Kadrażowi poświęca najoryginalniejszy rozdział swej monografii, zawierający odśrodkowe omówienie sposobu w jaki stosowali ten chwyt średniowieczni malarze włoscy i polscy, dawni Japończycy i (pod ich wpływem) Bonnard i Degas. Omawia również zasadniczą rolę kadrażu w filmie i współczesnym afiszu, poświęcając wiele miejsca pracom Romana Cieślewicza. Ta wzorowa analiza pozwala jej na wykazanie oryginalnego wkładu Józefa Czapskiego do nowej wizji rzeczywistości uchwyconej w nieoczekiwanej ramie.

Zachowałem na zakończenie wyznanie Murielle Werner-Gagnebin, dotyczące przyczyny dla której spędziła ona parę lat na pisaniu tej pracy bez wielkich szans na jej wydanie. Malarstwo Czapskiego rzuciło jej wyzwanie: „*L'interrogation pressentie*, — pisze ona w przedmowie — *s'avérait métaphysique*”. I tak, w wieku dwudziestu trzech lat zaczęła piękna Murielle tropić ślady starego polskiego malarza, głównie dlatego aby sprawdzić ścisłość swego metafizycznego przeczucia. Sądzę, że tej niemal abstrakcyjnej i całkowicie bezinteresownej motywacji należy przypisać przekonującą siłę tej książki (a również, nawiasem mówiąc, jej wydanie przez nieustraszonego szerzyciela kultury słowiańskiej jakim jest twórca „*L'Age d'Homme*”, Vladimir Dimitrijevič).

Czy można uzasadnić „metafizyczny” charakter sztuki? Pytanie to ma dla mnie sens tylko w ramach zakreślonych przez Kołakowskiego w „Obecności Mitu”. Obraz może wzmocnić w nas przekonanie, że chaos świata oparty jest na ukrytym porządku

1. Murielle Werner Gagnebin: „Czapski, la Main et l'espace”, Editions L'Age d'Homme, Lausanne, 1974, 195 stron, 77 reprodukcji, w czym 15 kolorowych.



nie obalając pewności, że przekonanie to jest tylko najdziwniejszą pochodną chaosu. Wiem tyle, że na wystawie Czapskiego w paryskiej Galerie Lambert<sup>2</sup> przed paroma miesiącami wzruszenie które zawsze odczuwam patrząc na jego obrazy wzbogaczone zostało, dzięki książce Murielle Werner, nową ciekawością.

K. A. JELEŃSKI

2. 14, rue Saint-Louis-en-l'Île, Paris 4<sup>e</sup>.

## Aksamitny baryton

Złe książki mówią więcej od dobrych o sytuacji społeczeństwa dla jakiego są przeznaczone. Zazwyczaj dlatego, że reprezentują średni poziom czytelników. W Polsce, gdzie istnieje centralny plan wydawniczy i cenzura, złe książki odzwierciedlają nie tyle potrzeby czytelników, ile władz — ponieważ jednak od tychże władz zależą losy zarówno książek jak czytelników, reprezentatywność zostaje zachowana, choć drogą nieco okrężną. Z tych to względów przeczytałem z zainteresowaniem podrzuconą mi przez znajomych powieść Andrzeja Przytkowskiego (nie należy mylić z Tadeuszem z Jędrzejowa), pt. „Arena”, wydaną pod koniec zeszłego roku nakładem MON\*.

Rzecz należy do tego samego gatunku co sławetna „Wyobcowani” pióra Jerzego Bronisławskiego-Kudasia, z zawodu pułkownika UB (choć wieść niesie, że ostatnio stracił posadę i zajmuje się *full-time* literaturą). Akcja „Areny” toczy się w roku 1968 i opisuje niebezpieczeństwa, czyhające na Zachodzie na cnotę polityczną bohatera. Ów bohater jest lekko sfrustrowanym młodym prawnikiem z Warszawy, który otrzymuje nieoczekiwane wiadomość, iż ojciec jego — o którym sądził, że zginął w Powstaniu — zmarł niedawno w Ameryce i zostawił mu spadek. Nowojorski adwokat, zajmujący się sprawą przysyła zaproszenie, a ponadto przez okazję, nie pocztą (dlaczego, autor nie wyjaśnia) list z pouczeniem, że Polacy pragnący wyjechać na Zachód w sprawach spadkowych „z zasady nie otrzymują paszportów” (dlaczego, autor nie wyjaśnia). Młody człowiek zataja więc rzecz w biurze paszportowym i gładko wyjeżdża. I tu się zaczyna... Głównym celem bohatera jest wykrycie, kim był naprawdę jego ojciec. Szubrawy adwokat, będący w stałym kontakcie z CIA i demonicznym doktorem Spaskim, prowadzącym w Paryżu emi-

\* MON zapowiada II wydanie w nakładzie 30.000 egzemplarzy.

gracyjne wydawnictwo i wydającym polskie pismo (kto to taki, kto to taki?) utrudnia rzecz jak może, ale na szczęście ma córkę, postępową Amerykankę potępiającą wojnę w Wietnamie i dyskryminację Murzynów i ta pomaga odkryć bohaterowi straszną prawdę: ojciec należał w czasie wojny do reakcyjnego podziemia (autor pozostawia w dyskretniej mgłę kwestię, czy chodzi o NSZ czy AK), później zbiegł do Stanów i tam latami współpracował z komisją McCarthy'ego, denuncjując rodaków spośród Polonii, oraz z CIA, dla której przygotowywał plany dywersji w Polsce. Bohaterowi wpada w ręce przykładowy takiej roboty; pozwól sobie zacytować:

Wyciągnęła broszurkę w zielonej okładce. Podała mu ją. Spojrzał na tytuł: *Rzeczywistość krajów ujarzmionych*, rok wydania 1961. [...] „Program ludowego oporu”, czytał i dalej: „wykazywanie szczególnej troski przy indywidualnej uprawie ziemi i złe użytkowanie gospodarstw skolektywizowanych”. Po kilku stronach: „indywidualistyczny charakter dzieł literackich, przeciwstawiających się zasadom realizmu socjalistycznego. Odmowa przedstawiania w malarstwie współczesnego społeczeństwa socjalistycznego. Zainteresowanie zachodnią twórczością artystyczną, popularyzacja malarstwa abstrakcyjnego i muzyki jazzowej. Popularyzacja mody zachodniej, muzyki oraz tańców...”.

Zamknęła broszurkę i położył ją na stoliku (str. 191).

Tak wyglądała dywersja w roku 1961 — a w 1968? O odpowiedź łatwo, gdyż sam bohater okazuje się nieświadomą częścią jej programu. Chodzi mianowicie o przesmyglowanie do Polski i Czechosłowacji dwóch — tak, dwóch — paczek z książkami z wydawnictwa doktora Spaskiego. Cały sztab ludzi w Waszyngtonie, Nowym Jorku i Paryżu przygotowuje tę szatańską operację; zajmuje się tym CIA, Deuxième Bureau i oczywiście sam doktor Spaski, który szantażem (ten zatajony przed PRL spadek! — każdy grzech się mści) zmusza bohatera do przyjęcia plugawej przesyłki. Na szczęście zakochana w bohaterze postępową Amerykanka uwozi go, myląc pogonię, do Włoch, gdzie młodzieniec z ulgą topi książki w Morzu Śródziemnym i wsiada do warszawskiego samolotu. „Podszeł do okienka i zdecydowanym ruchem podał urzędnikowi paszport wraz z biletem. Uchwycił jeszcze jakby spłoszony wzrok urzędnika i zaraz wszedł do hali, skąd prowadziło wyjście na płytę lotniska”. Finis.

W książce jest jeszcze dużo zabawnych rzeczy, z których mnie osobiście najbardziej przypadł do gustu redaktor Giedroyc — to znaczy, przepraszam, doktor Spaski — gęsto ciskający sarmackim „panie dziejski”, ale całość nie jest wesoła. Nie chodzi rzecz prosta o książkę Przytkowskiego jako taką, tylko o fakt, że takich bredni do niedawna jeszcze nie odważano się w Polsce serwować z taką bezczelnością. W Rosji tak, w Polsce nie. Nie mówię oczywiście o prasie i przemówieniach, które miały swój osobny status — „racja stanu”, trudno, trzeba; w dziedzinie utworów przeznaczonych do czytania czy oglądania dla przyjemności w czasach postalinowskich panowała milcząca umowa, że



choć odbiorca i tak nie może protestować, *nie wypada* traktować go jak idiotę. To, że obecnie zaczyna wypadać, jest niepokojące — wracamy do klimatu, który mnie osobiście zawsze kojarzy się z filmem Aleksandra Forda „Piątka z ulicy Barskiej”, z niezapomnianą, pełną subtelnego symbolizmu sceną, w której rodzimy dywersant, planujący wysadzenie w powietrze trasy W-Z, żąda od omamionych współników przysięgi i szukając po kieszeniach krzyża, wyciąga przez pomyłkę rewolwer. Otóż takiego subtelnego symbolizmu pełno znów w książeczce Przypkowskiego — która stanowi zapewne tylko jedną z jaskółek.

W porównaniu z czasami stalinowskimi uderza jednak pewna zmiana tonu: ówczesna propaganda przemawiała wrzaskiem neofity, akcentowała nową, niedawno odkrytą ewangelię, była otwarcie głosem mniejszości — tyle, że zwycięskiej. Obecnie zabrzmiał aksamitny baryton *establishment'u*, „prosta, ludzka, odwieczna prawda”, odwołująca się do uroków konformizmu i niewinnej, dziecięcej wiary. „Arena” zdumiewająco przypomina utwory księdza Paślowskiego — niewątpliwie znane całej średniej generacji czytelników z lat młodości — z których wynikało niezbitie, że każdy chłopiec zadający się z łobuzami palącymi papierosy nieuchronnie skończy na szubienicy, a każda dziewczynka podbierająca konfitury zostanie prędzej czy później zabita przez piorun. Ten świadomy infantylizm jest symptomem niepokojącym, gdyż świadczy o przekonaniu właścicieli barytonu, że *już* mogą sobie nań pozwolić — jak w Rosji.

M. BROŃSKI

## Krajowe nowości wydawnicze

Opracowała Maria Danilewicz Zielińska na podstawie nowych nabytków Biblioteki Polskiej w Londynie i książek nadesłanych autorce na adres: Quinta das Romazeiras, Feijó, Portugal.

### Poezja polska

28. GROCHOWIAK, Stanisław i MACIEJEWSKI, Janusz, oprac.: *Poezja polska*. Antologia w układzie Stanisława Grochowiaka i Janusza Maciejewskiego. Warszawa, 1973, Państwowy Instytut Wydawniczy, 8°, t. I, str. 454 (2); t. II, str. 667 (1). (Okładkę, obwolutę i strony tytułowe projektował Wojciech Freudreich). Nakład 20.000 egzemplarzy.

Antologie poezji są smutną koniecznością. Zadaniem ich jest w teorii ukazanie twórczości poszczególnych pisarzy w skrócie, w wyborze wierszy

zestawionym według celów postawionych sobie przez odpowiedzialnego za wybór wydawcę. Kryteria mogą być różne: chronologiczne, tematowe, „dowolne” („Wiersze, które lubimy”). Tym razem otrzymaliśmy „antologię poezji, a nie wierszy”. Przedmowa wyjaśnia, iż „rozumieć to należy i w sensie formalnym: szata wersyfikacyjna jest naszym zdaniem ważnym, ale nie zawsze najważniejszym elementem poezji”. Trudno oprzeć się wrażeniu, że dokonujący wyboru tekstów byli głęboko przeświadczeni, iż dali zestaw utworów w ujęciu bez precedensu. W praktyce, zarysowała się jednak konieczność odstępstw, — i ukazała się jeszcze jedna antologia dobra i użyteczna, wytrzymująca zwycięsko porównanie z antologią liryki polskiej „Od Kochanowskiego do Staffa” w oprac. Wacława Borowego i „Wierszami polskimi wybranymi” przez Mieczysława Grydzewskiego. Sądzić można, że Grochowiak i Maciejewski nie znali tej ostatniej antologii, bo chętnie się, iż „wbrew dotychczasowym praktykom antologiiowym zaczynają [...] od początku pisanej tradycji poezji polskiej — od Bogurodzicy”, podczas gdy na k. tyt. antologii Grydzewskiego figuruje podtytuł: „Antologia poezji od 'Bogu rodzicy' do chwili obecnej”, a kryteria doboru wierszy — mimo trudności wyszukiwania niektórych tekstów w czasie wojny w Londynie — wykazują zadziwiająco zbieżności. Antologia londyńska obejmuje 908 utworów 178 pisarzy, — obecna ogranicza się do przedstawienia 140 autorów, uzupełniając jednak tę pozornie surowszą selekcję potężną dawką utworów anonimowych, w większości dających się podciągnąć pod określenie „poezji ludowej”. Jest to *novum*, które zapisać należy na plus obecnie wydanej antologii. W sumie daje to (w dwu tomach) ok. 1200 utworów „samodzielnych” lub wyjątków z większych całości, co jest także posunięciem udanym. Nieśmiała próba włączenia pewnej ilości tekstów, kwalifikujących się jako „proza artystyczna”, zachęca do wysunięcia postulatu rozszerzenia tego działu w następnym wydaniu. Sprzeciw budzą natomiast utwory zbyt długie np. ballada Mickiewicza „Lilije”. Intencje jej umieszczenia dadzą się jasno odczytać z przedmowy: jest to wczesny przykład inspiracji poety romantycznego przez poezję ludową. „Czysta” anonimowa pieśń ludowa zajmuje w antologii miejsce uprzywilejowane na prawach „taryfy ulgowej” stosowanej dziś szeroko do prymitywów we wszystkich dziedzinach sztuki. Czy jednak nie są takimi „nikiforami” poezji plony jej użytkowych przedpół patriotycznych, a więc np. Edward Słoński lub Or-Or? Ułaskawienie Lenartowicza jest tu ciekawym i wymownym precedensem. Wstęp głosi, iż w niektórych wypadkach odstąpić wypadło od teoretycznych założeń wyboru. Uczyniono to prawdopodobnie przy Konopnickiej, choć, jak dowiodła prof. Maria Dłuska, była to poetessa podejmująca ciekawe eksperymenty wersyfikacyjne utopione w przeżajającej obfitości utworów pisanych na zamówienia społeczne i twórczości rocznicowej i nekrologowej. Wiersze takie jak „Na Jungfrau”, czterowiersz „Myśl wielka, to obelisk” albo ośmiowiersz „A ci, co giną” zasługiwały na „ponowne odczytanie” i zastanowienie.

Antologie petryfikują utwory przedrukowywane najczęściej, zwiężają znajomość wielu poetów do garstki przykładów, przyzwyczajają do pewnych nazwisk, krzywdząc inne podobnej klasy. Każdy z wytrawniejszych użytkowników antologii zgłosić może pretensje o pominięte wiersze czy autorów. Jak np. — o „Dumy podolskie” Tymona Zaborowskiego, wczesne wiersze z podtekstem pisane w przededniu powstania listopadowego. Warto także przypomnieć, że Iwaniuk, Łobodowski, Pietrkiewicz czy Przyłuski debiutowali przed 1945 i zasługiwali na uwzględnienie bez względu na ich obecny adres i pracodawców. Z drugiej strony dochodzą z Kraju głosy, że do powodzenia rozsprzedanej na pniu antologii przyczynić się miał fakt, że włączono do niej utwory Skamandrytów i Miłosza, powstałe poza Krajem i że po raz bodaj pierwszy ujawniono istnienie poety o nazwisku: Tadeusz Sułkowski... *Sunt*



*lacrimae rerum*. Nawiasem dodam, że włączono do antologii utworów pisarzy emigracyjnych bez uzyskania zgody autorów i porozumienia z wydawcami. Ten wyłom w dobrych obyczajach wydawniczych brzydko plami PIW, przestrzegający tych formalności przy przekładach z języków obcych. Dwie moralności?

I wreszcie sprawa bolesna, gromko zganiona przez Radio Wolnej Euro-py: „skrót” w „Grobie Agamemnona” i wierszu Lechonia „Matka Boska Częstochowska”, czy też sprowadzenie „Poematu dla dorosłych” Ważyka do antologii wyjątków z tego utworu. Może przykład... Portugalii przyniesie ojczyźnie ludowej wolność słowa...

Autorzy antologii wyrazili w przedmowie pragnienie, by spełniła trzy funkcje: 1. „pomnika dorobku narodowego w zakresie poezji”, 2. „podręcznego kompendium ulubionych lektur” i 3. „pomostu między czytelnikiem a poezją współczesną”, by wykazać „jak mocno jest poezja dzisiejsza osadzona w tradycji, jak konsekwentnie wyrasta z przeszłości kultury polskiej”. Twórcy antologii włożyli w spełnienie tych postulatów co najmniej tyle wysiłku, co paraliżująca ich starania cenzura.

29. JAKUBOWSKI, August Antoni: *Poezje*. Z rękopisu wydał i wstępem opatrzył Julian Maślanka. Kraków (1973), Wydawnictwo Literackie, 80, str. 73 (1).

Antoni Małczewski, poeta romantyczny, był ojcem nie tylko „Marii”, ale i nieślubnego syna, którego autor wstępu, bez mijania się z prawdą, nazywa „naturalnym”. Kim była matka? — „pewną damą wielkiego świata warszawskiego”, pochodzącą ze „znanej w kraju” rodziny? czy nazywała się Jakubowska? Nie udało się tego ustalić ani prof. Pigoniowi ani prof. Julianowi Krzyżanowskiemu.

Ów syn Małczewskiego „z pobocznego łoża”, jak delikatnie ujmował sprawę Seweryn Goszczyński, popełnił samobójstwo 25 kwietnia 1837 roku „w miasteczku Northampton w Stanach Zjednoczonych”. Miał lat najwyżej dwadzieścia dwa i *curriculum vitae*, w którym mieściło się kilka lat nauki w Liceum Krzemienieckim, udział (?) w wyprawie Zaliwskiego, więzienia we Lwowie, Brnie i Trieście, deportacja do Ameryki w towarzystwie 235 ex-powstańców (w tym Kazimierza Gzowskiego z Kanady), wreszcie posada nauczyciela francuskiego w szkole żeńskiej... w Stockbridge, Mass., gdzie po upływie stulecia „z hakiem” Kazimierz Wierzyński pisał książkę o Chopinie? I jeszcze jeden ciekawy szczegół biografii: opracowanie i wydanie „Remembrances of a Polish exile” (dwa wyd. 1835 i 1836), których istotną częścią jest miniaturowa antologia przekładów wierszy polskich.

Julian Maślanka ogłosił obecnie z odnalezionego w Bibliotece Polskiej w Paryżu rękopisu tomik nieznanych wierszy owego Jakubowskiego-Małczewskiego. Zapowiadał się on niewątpliwie dobrze a własne losy i klimat epoki sprawiły, że — jak ujmuję to wydawca — był „poetą tragicznym”, „poetą rozpacz”. Tworzył pod wyraźnym wpływem Mickiewicza, ojcowskiej „Marii” i — czego Maślanka nie dostrzegł — „Dum podolskich” Tymona Zaborowskiego. Obok nostalgicznych wierszy o Podolu, erotyków zwróconych do „łubej niebianki” itp. — pozostawił dwa ciekawe utwory o tematyce indiańskiej, świadczące o dobrej znajomości folkloru amerykańskiego i sympatii dla Indian. Najlepszy wiersz — napisany w Gibraltarze, w drodze do Ameryki w 1833, o tytule „Bonaparte”, w pełni zasługuje na przypomnienie:

„Wielki, lecz tylko kilka kropel krwi wytoczył  
Dla wielkiej sprawy świata, dla sprawy ludzkości,

Wielki, lecz tylko kilka perłami otoczył  
Wieniec chwały przypięty do karty wieczności.

Jak wulkan kilka razy załazł ziemię lawą,  
Kilka razy na mieczu ważył świata dół.  
Był szczęśliwym ze sławą, nieszczęsnym ze sławą,  
Ludy pobił w niewolę i losy w niewolę.

Gdy w końcu jak bałwany do nadbrzeżnej skały  
Na niego razem losy natarły zażarte,  
Wszystkie się o tę twardą duszę rozstrzelały —  
Nie wiedziały, z kim walczą — to był Bonaparte.

I jeszcze na wygnaniu wśród morskiej oazy  
Straszyła jego głowa gromami strzaskaną,  
I gdy ją złożył pod grobowe głązy,  
Duch jego straszy jeszcze jak upiór szatana”.

Ostatnia linijka wiersza jest bardzo charakterystyczna dla twórczości młodego samobójcy. Zeschła róża była dla niego „szkieletem” kwiatu, „wojna z trupich czaszek wianek sobie wila” itp. Niemal prekursorskie.

Książeczka wydana bardzo starannie w opracowaniu graficznym Janusza Bruchnalskiego. Wydawca cytuję Colemanów, Lerskiego, Haimana, Kusielewicza itd. i z godnym podziwu umiarem ocenia twórczość jeszcze jednego parającego się poezją Krzemienieczanina.

#### Pamiętniki. Biografie

30. OLCHOWICZ, Konrad: *Czwierć wieku z „Kurierem Warszawskim”* (1914-1939). Słowo wstępne: Adam Grzymała-Siedlecki. Kraków, 1974, Wydawnictwo Literackie, 80, str. 343 (1).

Autor, Konrad II Olchowicz, zwany powszechnie „Kondziem” lub „młodym” Olchowiczem, objął redakcję *Kuriera Warszawskiego* w roku 1924 po śmierci ojca, także Konrada, i zajmował to stanowisko do „kresu kurierowego żywota” we wrześniu 1939 roku, gdy dobiegała końca budowa nowej siedziby przy ul. Smolnej 12.

*Kurier Warszawski* wychodził od roku 1821 i, jak słusznie określił w przedmowie Grzymała-Siedlecki, był „instytucją użyteczności publicznej”. Reputację swą opierał nie tylko na nekrologach i ogłoszeniach, ale i na umiejętnym doborze czy (jak mawiali złośliwi) „zakupie” głównych współpracowników — a więc np. w objętym Władysław Rabski, Bolesław Koskowski, cyjnemu w skład którego wchodził Władysław Rabski, Bolesław Koskowski, Stanisław Stroński i Adam Grzymała-Siedlecki. Pismo, w teorii „bezbiasne” i „niezależne” miało „oblicze narodowe i katolickie” i wyraźne ciągoty prawnicze. Dla przeciętnego Warszawianina było głównym źródłem informacji bieżących o życiu stolicy. *Życie Warszawy* niejedno przejęło ze starego „Kuriera”. Nie na tym jednak wyczerpuje się znaczenie pisma.

Prus, a w wyższym jeszcze stopniu Sienkiewicz, wypracowali obiegowe klisze poprawnej polszczyzny. *Kurier Warszawski* reprezentował przez długie lata praktyczne zastosowanie tego potocznego języka inteligencji, aż spłyć się on i spowszedniał, obrócił w klisze. Tą właśnie gładką i bezbarwną polszczyzną pisane są wspomnienia Konrada II.

Sylwetki współpracowników pisma i personelu Redakcji wypadły laurkowo: o wszystkich dobrze. Liczne wzmianki o masonerii są zdecydowanie



*inconclusive* i zostawiają wrażenie, że autor nie podzielił się z czytelnikami wiadomościami z dobrze mu znanej dziedziny. Dużą wartość mają gesto rozsięte po tomie wspomnienia o gen. Sikorskim, z którym „Kondzio” utrzymywał bliskie stosunki. Generał, nie zaliczając się do stałego zespołu, stale „zasilał *Kurier* artykułami swego pióra”. Najzupełniej wiarogodnie brzmią wspomnienia o tym, co Olchowicz określa jako „uniemożliwienie Sikorskiemu wzięcia udziału w pogrzebie marsz. Piłsudskiego w grupie generalskiej”. Gen. Sikorski zjawił się jednak w katedrze św. Jana, skorzystawszy z karty wstępu odstąpionej mu przez Olchowicza. „Wybrał się tam w cylindrze i płaszczu czarnym, skoro nie pozwolono mu przybyć w mundurze, jak przystało żołnierzowi”. W ciekawej charakterystyce stosunków wzajemnych gen. Sikorskiego i Ign. Paderewskiego, Olchowicz podkreśla „skłonność do nadmiaru otwartości” Generała i to, że „lubił, aby mówiono o nim i pisano, aby było o nim głośno. Wolał bodaj, żeby mówiono choćby nieprzychylnie, niżby miano milczeć. Było nie było o nim głośno”. Wręcz sensacyjnie brzmią informacje o artykule gen. Sikorskiego, napisanym dla *Kuriera* już po wybuchu wojny i wycofanym na skutek opinii Olchowicza, że „dla chwilowego, jednodniowego efektu propagandowego” gen. Sikorski mógł „na szwank narazić całą swą powagę, pod znakiem zapytania stawiając własną kompetencję i obowiązującą go zdolność trafnego oceniania rozwoju wypadków i to nie tylko pod kątem polityki ale i strategii”. *Novum* w obrazie działalności prof. Kota jest podana przez Olchowicza wiadomość, iż we wrześniu 1939 roku we Lwowie liczył się z możliwością objęcia dyrekcji Ossolineum po nagłym zgonie dyr. Ludwika Bernackiego w dn. 18. IX. 1939.

Wspomnienia były przygotowane do druku przed kilkunastu laty a w roku 1964 opatrzył je przedmową Adam Grzymała-Siedlecki. Brak wyjaśnienia, czym tłumaczy się 10 lat opóźnienia.

31. TABORSKI, Roman: *Wśród wiedeńskich poloników*. Kraków (1974), Wydawnictwo Literackie, 80, str. 172.

Zbiór szkiców ujmujących pewne aspekty życia kulturalnego polskiego, z wyraźną przewagą tematyki XIX-wiecznej. Na plan pierwszy wybijają się starannie opracowane sylwety Karola Lanckorońskiego i Tadeusza Rittnera. W obu wypadkach ma się jednak wrażenie, że są to przygrywki do opracowań monograficznych, znacznie obszerniejszych, na które obaj w pełni zasługują. W Depozycie Lanckorońskich w Bibliotece Polskiej w Londynie, znajduje się m.in. obszerny zbiór listów wybitnych osobistości współczesnych (nie tylko Małczewskiego) do Karola Lanckorońskiego, odstawiający nie tylko szerokość ale i głębokość zainteresowań historycznych, archeologicznych i malarskich wiedeńskiego mecenasa sztuki i zbieracza. Jest wśród nich arcyciekawy list Sienkiewicza w sprawie Wawelu, o którego konserwację i udośćpienie Lanckoroński walczył jak „lew ogniem palający” ze swego herbowego znaku. Rittner, którego utwory niemieckie w komplecie niemal znajdują się także w Depozycie (z czołobitnymi dedykacjami dla Lanckorońskiego) jest raczej niedoceniony przez Taborskiego. Sądzi on, że „w wyniku zdecydowania się na twórczość dwujęzyczną Tadeusz Rittner niewiele — na dłuższą metę — zyskał w Austrii, a sporo chyba stracił w Polsce!”.

Dobrze wypadł rozdział o tragicznej rodzinie samobójców — Gumpłowiczów i wspomnienia o Theodorze Csokorze i Ottonie Forst-Battaglii. Ogólnie biorąc, są to jednak raczej biogramy à la Polski Słownik Biograficzny, niż szkice o indywidualnościach — raczej materiały *in crudo* i przypomnienia pamiątek polskich, niż ich obrazy. W dawnej książce o ojcu Conrada, Apollu Korzeniowskim, Taborski wykazał, że stać go na więcej. Co się mu podsuwa życiowie do przemyślenia.

## Historia

32. ZAHORSKI, Andrzej: *Spór o Napoleona we Francji i w Polsce*. Warszawa, 1974, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, 80, str. 338, ilustr.

W eseju pt. „Napoleon z nami!” (w „Listopadowym wieczorze”) Andrzej Kijowski znakomicie podsumował stosunek Napoleona do Polaków, przywołując Wybickiego i Handelsmanowi. „Napoleon jest dla Polaków wielkością niezaprzeczoną bez względu na to co im da czy dał” — to Wybicki. „Cała epopeja napoleońska wyniszczyła doszczętnie Polskę, nie dając jej w zamian nic” — to Handelsman. „Dla całego pokolenia romantycznego Bonaparte był po prostu młodzieńcem, który sięgnął po władzę”, przykładem „cudu historycznego, którego wyczekiwał wciąż ujarzmiony naród; stąd uwielbienie, które miał ów naród dla człowieka wbrew faktom, nakazującym go raczej nienawidzić” — to Kijowski.

Intencją autora wydanej ostatnio w Warszawie książki pt. „Spór o Napoleona we Francji i w Polsce” jest podsumowanie kontrowersyjnych sądów o legendzie napoleońskiej. Widzi dwie ostateczności: „jedni uważać będą jego losy za przestrożę, uzasadniając, że obrał drogę zbrodni i klęski, a inni wywodzić będą, iż był prekursorem postępu, dobroczyncą ludzkości, a męczennikiem, „człowiekiem wieku”, wskrzesicielem Polski”. Najtrafniej ujął rolę Napoleona patronujący książce Zahorskiego, zmarły przed rokiem prof. Stanisław Herbst: „Sukcesy i klęski polityczne i wojskowe tego wybitnego człowieka stanowią dziś bodziec do analiz i refleksji zasadniczych, będących szkołą nie romantyzmu działania jak niegdyś, lecz realizmu”.

Opracowanie Zahorskiego jest ciekawym i sumiennie opracowanym prze-wodnikiem po olbrzymiej literaturze, dotyczącej legendy napoleońskiej. Rewolucyjnie, nie sądzi. Stąd papierowość wywodów, — umiar chwalebny, ale nudny. Ożywiają książkę ilustracje, dopowiadające wiele i ciekawie. Nikt przed Napoleonem nie pozostawił po sobie tak wspaniałej i tak sugestywnej dokumentacji od portretów i „militariów” poczynając a kończąc na symbolicznym „N” na meblach i porcelanie. To też element legendy.

## Nadesłane nowości wydawnicze

JASIEŃCZYK (Janusz) — (Janusz Poray-Biernacki). *Gwiazdzyści szalik* czyli *Piotr Paweł detektywem*. Dreszczowiec kryminalny. Str. 191 i 1 nlb. (Nakładem Polskiej Fundacji Kulturalnej, Londyn, 1974).

SOLSKI (Wacław). *Miedzy Chicago i Wenecją*. Str. 186 i 6 nlb. (Nakładem Polskiej Fundacji Kulturalnej, Londyn, 1974).

BORKOWSKI (Piotr). *O językach i słownikach na wesoło*. Str. 157

i 3 nlb. (Nakładem Polskiej Fundacji Kulturalnej, Londyn, 1974).

DUBANOWICZOWA (Magdalena). *Na mongolskich bezdrożach*. Wspomnienia z zesłania 1940-1942 spisane w 1943-45. Str. 229 i 3 nlb. (Nakładem Polskiej Fundacji Kulturalnej, Londyn, 1974).

SZTREM (Krystyna). *Nieznosi cudzoziemcy*. Str. 199 i 1 nlb. (Nakładem Polskiej Fundacji Kulturalnej, Londyn, 1974).



MEYSTOWICZ (Walerian, X.). *To co trwałe*. Gawędy o czasach i ludziach — II. Str. 187 i 1 nlb. (Nakładem Polskiej Fundacji Kulturalnej, Londyn, 1974).

PUJDAK (Józef). *Antoni Wiśniewski prekursor filozofii oświecenia w Polsce*. Str. 175 i 1 nlb. oraz mapa: Szkoły pijarskie w Polsce w rozwoju historycznym. (Katolicki Ośrodek Wydawniczy Veritas, Londyn, 1974).

SKOGLIMOWSKI (H.). *Zmierzch światopoglądu naukowego*. Str. 207 i 1 nlb. (Wyd. Odnova Ltd., Londyn, 1974).

ZARZYCKI (Tadeusz). *Pierwszy i ostatni dzień*. Słowo wstępne od wydawców: Wienczyśław Wagner. Przedmowa: Stefan Korboński. Str. 280 i 8 nlb. (Katolicki Ośrodek Wydawniczy Veritas, Tom 13 serii Zielonej Biblioteki Polskiej; Londyn, 1974).

KIRKOR (Stanisław). *Polscy donatariusze Napoleona*. Str. 324 i 4 nlb. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1974).

WYRWA (Tadeusz). *W cieniu legendy Majora Hubala*. Str. 125 i 3 nlb. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1974).

*Miejsce Polski w Europie*. Sprawozdanie z sympozjum zorganizowanego przez Polskie Towarzystwo Naukowe na Obczyźnie i odbytego w dniu 24 listopada 1973 roku w sali Wydziału Fizycznego Imperial College w Londynie. Str. 64. (Wyd. Polskiego Komitetu do Spraw Współpracy i Bezpieczeństwa w Europie, Londyn, 1974, cena £ 0.25).

ZAWIEYSKI (Jerzy). *Dobrze, że byli*. Str. 307 i 1 nlb. (Biblioteka „Więzi”, tom 36, Warszawa, 1974, cena zł 65).

MORSTIN-GÓRSKA (Maria). *Poezje*. Str. 119 i 1 nlb. (Wyd. Znak Kraków, 1974, cena zł 28).

LENGOWSKI (Michał). *Mój życiorys*. Wybór wierszy. Wstęp i opracowanie Władysława Gębika. Str. 106 i 2 nlb. (Wyd. Pojezierze, Olsztyn, 1974, cena zł 20).

ZIENTARA-MALEWSKA (Maria). *Działacze spod znaku rodła*. Wstęp, opracowanie i przypisy Tadeusz Oracki. Str. 136 i 4 nlb. (Wyd. Pojezierze, Olsztyn, 1974, cena zł 30).

WSZEDOR (Jan). *Głos krwi i ziemi*. Powieść z życia Mazurów. Str. 135 i 1 nlb. (Wyd. Pojezierze, Olsztyn, 1974, cena zł 16).

HEYDENKORN (Benedykt) — (współautor i redaktor całości). *Past and Present*. Praca zbiorowa. Str. 224. Selected topics on the Polish Group in Canada. Na tom składają się następujące pozycje: Rudolf Kogler: *Introduction*, Hon. Stanley Haidasz: *The Policy of Multiculturalism*, T. Brzeziński: *The Yesterday and Today of the Polish Community in Canada*, R. Kogler & B. Heydenkorn: *Poles in Canada 1971*, Joanna Matejko & Alexander Matejko: *Polish Canadians*, Henry Radecki: *How Relevant are the Polish Part-Time Schools?*, Aleksander Matejko: *The Slavic Influx*, H. Radecki: *The Polish Voluntary Organization Structure*, Jacek Adolf: *The Polish Press in Toronto*, B. Heydenkorn: *The Polish Alliance of Canada*, Vincent Zolobka: *Polonica Canadiana*, Wojciech Chojnacki: *Canadiana in the Polish Publications*, B. Heydenkorn: *Memoirs of the Polish Immigrants*, Stefania Niesiołowska: *People at Close Range*. Str. 224. (Wyd. Canadian-Polish Congress, Canadian-Polish Research Institute (Studies 8), Toronto, 1974, cena £ 5.50).

PANUFNIK (Andrzej). *Impulse and Design in my music*. Str. 27 i 1 nlb. (Wyd. Boosey and Hawkes Music Publishers Ltd., Londyn, 1974).

VERYHA (Wasył). *Library of Congress Classification and Subject Headings Relating to Slavic and Eastern Europe*. (Odbitka z *Library Resources and Technical Services*, Fall 1972, Vol. 16, Nr 4, str. 470-487).

Polskie drogi do socjalizmu: droga benzyna, drogie mięso i drogi towarzysz Gierek.

◆  
Gierek tonął. Uratowało go trzech chłopców. Gierek pyta czego chcą, a dostaną. Pierwszy: rower; drugi — motocykl; a trzeci po namyśle: — katolicki pogrzeb I klasy na koszt państwa. — Czemu? — pyta Gierek. — Bo jak się mój ojciec dowie kogo uratowałem, to mnie zabije.

◆  
Pytanie z historii: — Jakie były największe mordy polityczne w Polsce? Odpowiedź Jasia: — Bierut, Cyrankiewicz, Gomułka...

◆  
O nowowyprowadzonym w Warszawie hotelu „Forum”, bardzo brzydkim w kolorze, Polacy mówią: to zemsta Szwedów za Częstochowę.

◆  
Polska zużywa najwięcej mydła: wszyscy cały dzień się pienią.

◆  
Sentencja: nie wszyscy w partii są świnię, ale wszystkie świnię są w partii.

◆  
— Jaki jest związek między produkcją, a sprzedażą?  
— Związek Sowietki.

◆  
Nowy taniec w Polsce: O-gierek. Dwa kroki naprzód, trzy w tył, przyklasnąć, ale podskakiwać nie wolno.

#### Z KRAJU RAD

Z okazji 50-lecia każdy obywatel sowiecki dostał po 1/4 świni, a komu jeszcze było mało, to dodatkowo dostał po ryju.

◆  
Breżniew pyta papieża: — Jak wy to robicie, że w kościołach jest pełno, a na nasze zebrania partyjne musimy ludzi siłą spędnąć? — Bo my dopiero obiecujemy raj — odpowiedział papież — a wyście go ludziom już pokazali.

◆  
Pytanie turysty z zagranicy: czy to prawda, że każdy u was może kupić wołga?

Radio Erywań: — Może — ale na co komu tyle wody.

◆  
Na Juwenaliach w Krakowie: napis na piersiach jednego z akademików: „nie lubię ruskich” — a na plecach: „pierogów”.

Zebrała Zofia HERTZ







otrzymali: Maria Kuncewiczowa za twórczość w dziedzinie prozy, Marian Brandys za cykl esejów historycznych, Andrzej Kuśniewicz za twórczość powieściową, Jerzy Lisowski za twórczość przekładową z języka polskiego na francuski, Tadeusz Nowak za powieść „Diabły”, płk Zbigniew Załuski za publicystykę.

#### 21-7-74

Rada Państwa PRL nadała order Zasługi PRL I-szej klasy sekretarzowi generalnemu ONZ, K. Waldheimowi.

#### 22-7-74

Leonid Breżniew, który był w Warszawie na uroczystościach 30-lecia PRL, został odznaczony Wielkim Krzyżem Orderu Virtuti Militari. W Warszawie mówi się, że otrzymał on ten order za... Katyń. W ramach uroczystości jubileuszowych szeregu literatów i pisarzy zostało odznaczonych i dobór nazwisk jest bardzo charakterystyczny: order Budowniczego Polski Ludowej otrzymali Henryk Korotyński, Jerzy Putrament, Jan Szczepański; order Sztandaru Pracy I klasy — Eugeniusz Paukšta; Krzyż Komandorski z Gwiazdą orderu Odrodzenia Polski — Janina Broniewska. Redaktor naczelny *Tygodnika Powszechnego*, Jerzy Turowicz, otrzymał Krzyż Oficerski orderu Odrodzenia Polski. Odznaczono ponadto 5-ciu członków redakcji *Tygodnika Powszechnego* i *Znaku*. Natomiast jedynie Medalem XXX-lecia Polski Ludowej odznaczono Konstantego Lubieńskiego i dla równowagi ks. Stanisława Owczarka, prezesa Zrzeszenia Katolików „Caritas”. Jednocześnie w *Literaturnej Gazecie* ukazał się artykuł Jarosława Iwaszkiewicza pt. „Lietopis sławnego puti”. *Literaturna Gazieta* ponadto podała dane dotyczące przekładów na język rosyjski, ukraiński i białoruski szeregu poezji polskich pisarzy. Z pisarzy współczesnych są wymienieni: W. Broniewski, M. Dąbrowska, Z. Nałkowska, J. Iwaszkiewicz, L. Kruczkowski, J. Tuwim, K. I. Gałczyński, J. Przyboś, J. Andrzejewski, J. Putrament, M. Jastrun, T. Hołuj, J. Kawalec. ■ Na skutek umowy o współpracy kulturalnej polsko-sowieckiej, w przyszłym roku akademickim 500 polskich studentów rozpocznie studia w 14-tu ośrodkach naukowych ZSSR. ■ Edward Gierek zapowiedział, że ceny podstawowych artykułów żywnościowych zostaną utrzymane na niezmienionym poziomie do końca br. ■ W związku z 30-leciem PRL w całym kraju oddano do użytku wiele nowych obiektów. W stolicy przekazano Trasę Łazienkowską (8 km długości wraz z mostem, 10 bezkolizyjnych dwupoziomowych skrzyżowań i 20 bezpiecznych przejść dla pieszych), Wisłostradę (16 km długości), bryłę Zamku (w stanie surowym). Rozpoczął pracę Port Północny w Gdańsku: w niespełna cztery lata ukończono zaautomatyzowaną bazę załadunku węgla; za rok ruszy baza przeładunku ropy naftowej (przybijając będą mogły tankowce do 150 tys. ton nośności). Uruchomiono centrum radiowe w Konstancynie, gdzie postawiono maszt wysokości 646 m. Zakończono budowę trzeciej z kolei w zagłębiu lubińsko-głogowskim kopalni miedzi („Rudna”) oraz drugiego zakładu huty miedzi „Głogów”. Nastąpił technologiczny rozruch nowych wodociągów krakowskich wraz z ujęciem wody na Rabie. Zaawansowano elektryfikację linii kolejowej do Zakopanego (pociągi elektryczne docierają na razie do Suche).

#### 23-7-74

E. Gierek przyjął w gmachu Sejmu przedstawicieli środowisk polonijnych. W rozmowie, która następnie się toczyła zabrał głos wielu uczestników spotkania, reprezentantów różnych organizacji i stowarzyszeń polonijnych: działacz Związku Polaków w Danii — inż. Zygmunt Szadkowski; członek zarządu jednego z komitetów departamentalnych Towarzystwa „France-Pologne” — Emil Ważny; prezes nowojorskiej Fundacji Kościuszkowskiej —

dr Eugeniusz Kusielewicz; prezes Zjednoczenia Polsko-Narodowego w USA — Józef Głowacki; redaktor naczelny „Głosu Ludowego” w Detroit — Stanisław Nowak; francuski przemysłowiec — Jan Zarzycki; prezes Związku Kupców i Przemysłowców Polskich we Francji — Józef Zyto; sekretarz organizacji polonijnej „Bratnia pomoc” w Szwecji — Zdzisław Piechocki; prezes ZG Związku Polaków „Zgoda” w NRF — Ignacy Łukaszczyk; naukowiec z Kanady — Stanisław Wujec; handlowiec z Wielkiej Brytanii — inż. Jan Stepek; prezes jednej z organizacji polonijnych w Chicago — ks. Michał Pawełek; prezes Związku Lekarzy Polskich w USA — dr Aleksander Rytel; wiceprezes Polsko-Amerykańskiego Stowarzyszenia Biur Podróży — Adam Grzegorzewski; dyrektor Liceum Polskiego w czeskim Cieszynie — Janusz Kowala; prezes Związku Polaków „Zgoda” w Liverpool — dr Roman Uchotski; wiceprezes Związku Polaków „Strzecha” w Wiedniu — Waldemar Maryniec; ordynariusz Polskiego Narodowego Kościoła Katolickiego w Chicago — ks. bp Franciszek Rowiński; prezes Rady Polonii w Holandii — Czesław Lech; sekretarz Komitetu Łączności z Krajem w Adelajdzie (Australia) — Jan Perliński; wykładowca Szkoły Związku Polaków w Niemczech — inż. Jan Jarczyński; członek ZG Związku Polaków w Niemczech — Maria Stefańska. Zabrał też głos prezes NOT — prof. Jerzy Bukowski. W wystąpieniach goście podkreślali zadowolenie ze swego spotkania w kraju, rozmów z czołowymi reprezentantami życia Polski.

#### 24-7-74

W czerwcowej *Prasie Polskiej* Józef Stecki chwalebnie piętnuje rozpanoszone w kraju proceder podkradania artykułów, reportaży i fotografii z pism i magazynów zagranicznych bez podawania źródeł. Tytuł artykułu Steckiego mówi sam za siebie „Pożyczki bezzwrotne — granice kompilacji”. Znamy proceder posunięty jeszcze dalej — kompilację (bez podania źródła) plus fałszerstwo: „rozmówki dziennikarza argentyńskiego” z Gombrowiczem w *Miesięczniku Literackim*. ■ Prezes PAN, prof. dr Wł. Trzebiatowski, został członkiem mongolskiej Akademii Nauk. Gratulacje!

#### 25-7-74

Mazowiecki miesięcznik kulturalno-społeczny *Barwy* ustanowił doroczne, ogólnopolskie nagrody im. Oskara Kolberga dla twórców i popularyzatorów kultury ludowej oraz medal „Za zasługi dla kultury ludowej”. ■ Vladimir Palancanin, student uniwersytetu belgradzkiego, został skazany na dziesięć miesięcy więzienia. Jego proces uważa się w Belgradzie za przygrywkę do generalnego ataku na zagrzebski miesięcznik *Praxis*.

#### 26-7-74

Zmarł w Warszawie, w wieku 77 lat, dr Jan Żabiński, wybitny zoolog i popularyzator wiedzy przyrodniczej. Był on organizatorem i długoletnim dyrektorem warszawskiego Ogrodu Zoologicznego.

#### 27-7-74

Edward Gierek odznaczył orderem Sztandaru Pracy I Klasy redakcję *Trybuny Ludu*.

#### 30-7-74

Zmarł w Warszawie, w wieku 79 lat, Stanisław Eustachy Świeżawski, b. poseł na Sejm RP, b. szef Kancelarii Cywilnej Prezydenta RP.

#### 1-8-74

Rząd PRL podniósł najniższe uposażenia w gospodarce uspołecznionej z 1.000 na 1.200 zł. ■ Wyższe uczelnie w PRL przyjmą w bież. roku na I-szy



**24-6-74**  
Rada Fundacji im. Kościelskich przyznała na rok 1974 trzy nagrody literackie po 3.500 franków szwajcarskich, które otrzymali: Alicja Iwańska z Nowego Jorku za książkę „Świat przetłumaczony”, Jerzy Borejsza z Warszawy za pracę historyczno-literacką „Sekretarz Adama Mickiewicza” oraz Edward Redliński z Warszawy za powieść „Konopielka”.



26-6-74

Naczelny Komitet Wolnych Polaków w Belgii w osobie prof. St. Glasera, prezesa zarządu, oraz gen. Stanisław Maczek zaprotestowali przeciwko akcji organizowanej przez Polski Konsulat Generalny w Brukseli z okazji 30-tej rocznicy PRL-u, gdyż akcja propagandowa Konsulatu stwarza wrażenie, że wszyscy Polacy w Belgii biorą udział w tych uroczystościach, a przecież jedynie znikoma mniejszość współpracuje z PRL.

27-6-74

Staraniem Polskiego Towarzystwa Naukowego i Polskiego Towarzystwa Historycznego w Londynie odbył się w Instytucie Polskim i w Muzeum Sikorskiego odczyt Wacława Jędrzejewicza pt. „Zasoby archiwalne w Instytucie Piłsudskiego w Nowym Jorku i ich wykorzystanie”. ■ Biuletyn *Ost-Europa Dienst* podaje, że zadłużenie PRL w krajach zachodnich wynosi 3 miliardy dolarów. Deficyt bilansu handlowego PRL z krajami zachodnimi wyniósł w ub. roku 1,4 miliarda dolarów, w roku bieżącym ma być jeszcze wyższy (już w okresie pierwszych pięciu miesięcy br. wzrósł o 150 milionów dolarów). ■ W gmachu Biblioteki Polskiej w Paryżu odbyło się walne zebranie Polskiego Towarzystwa Historyczno-Literackiego. W czasie zebrania p. Claude Wrzecian wygłosił referat „Réflexions sur la vie et l'œuvre de Pasteur”.

2-7-74

Na uniwersytecie paryskim VIII (Vincennes) miała miejsce obrona pracy doktorskiej pt. „Gombrowicz, autor barokowy” p. Rosine Schubiger-Georgin. W skład jury wchodził profesorowie: Claude Frioux, Jean Levaillant, Maria Szurek-Wisti, Jacques Veyrenc i Olga Scherer, która od szeregu lat wykłada na tym uniwersytecie teorię literatury i komparatystykę w stopniu Maître de Conférences (profesor nadzwyczajny). Obrona trwała 4 i pół godziny i praca została przyjęta z tzw. *mention bien*.

6-7-74

W Honfleur (Francja), w Galerie „Maison Bleue” została otwarta wystawa obrazów Ernesta Kosmowskiego.

7-7-74

Zmarł w Londynie, w wieku 78 lat, gen. bryg. Stanisław Skowroński, b. kwatermistrz 2-go Korpusu.

8-7-74

W Santiago de Chile zmarł Marian Rawicz, uczestnik wojny hiszpańskiej, który przebył długie lata w więzieniu w Walencji — skazany na śmierć i ułaskawiony wyemigrował do Chile, gdzie przebył około 30-tu lat. Był on profesorem grafiki użytkowej papieskiego uniwersytetu katolickiego — współpracował z *Kulturą*.

10-7-74

Międzynarodowa Organizacja Ekspertów Muzycznych (IMZ) wybrała na stanowisko wiceprezesa redaktora Janusza Cegiełę. Jest on pierwszym przedstawicielem krajów socjalistycznych w tej organizacji. ■ W 55-tą rocznicę bitwy pod Jazłowiecem zarząd Koła 14-pułku Ułanów Jazłowieckich wręczył ambasadorowi E. Raczyńskiemu, prezesowi zarządu Instytutu Polskiego w Londynie, czek na sumę £1.825. ■ Prez. St. Ostrowski mianował prezesem Najwyższej Izby Kontroli dr. Wł. J. Zaleskiego. P. Zaleski, ur. w 1894 roku był w okresie międzywojennym urzędnikiem MSZ.

11-7-74

W Instytucie Polskim — Muzeum Sikorskiego w Londynie odbył się odczyt prof. Jerzego Hauptmana, zorganizowany przez Polskie Towarzystwo Naukowe i Historyczne, pt. „Polityka zagraniczna USA, a sprawa polska”.

15-7-74

W Rustic Gallery w Melbourne (Australia) została otwarta wystawa monotypii Borysa Borkowskiego, zaś w Gallery Beaumont w Adelajdzie wystawa obrazów Władysława Dutkiewicza z okazji 25-lecia jego twórczości artystycznej. ■ Słynny szachista, Ludek Pachman, który dwa lata przesiedział w więzieniu praskim i w zeszłym roku wyjechał za zgodą władz czeskich do NRF, protestuje przeciwko sowieckim naciskom dyskryminacyjnym. Pachman jest członkiem klubu szachistów w Solingen. Miał brać udział w turnieju, do którego zaproszono Spasskiego oraz innych szachistów sowieckich i wschodnio-niemieckich. Sowiecka federacja szachistów przyjęła zaproszenie pod warunkiem, że z turnieju zostanie wykluczony Pachman. Klub w Solingen podporządkował się warunkowi. Pachman wystąpił z klubu i zapowiedział przeniesienie się do innego miasta w NRF, ale istnieje obawa, że organizatorzy wszystkich przyszłych turniejów międzynarodowych będą się liczyć z szantażem sowieckim. Całej historii dodaje pikanterii fakt, że Pachman jest zaprzyjaźniony ze Spasskim, którego rodzima federacja nie powiadomiła w ogóle o swoim kroku.

19-7-74

Polski lekkoatleta Andrzej Badeński, specjalista w biegach na 400 m wybrał wolność w czasie rozgrywek piłki nożnej i znajduje się obecnie w Australii. ■ Zmarł w Sao Paulo (Brazylia), w wieku 88 lat, Karol Wędrzyński, autor „Pamiętników” wydanych w 1972 roku przez Polską Fundację Kulturalną w Londynie.

20-7-74

Jerzy Mond wziął udział w wykładach na Wydziale Nauk o Informacji przy uniwersytecie madryckim.

21-7-74

Auberon Mark Henry Yvo Molyneux Herbert, krewny Earl of Carnarvon, zmarł nagle, w wieku 52 lat, w swojej posiadłości w Pixton, Somerset. Nie przyjęty do armii brytyjskiej z powodu płaskich stóp w 1940 roku wstąpił do wojska polskiego, co stało się początkiem jego zainteresowania sprawami wschodniej Europy, które trwało do końca jego życia. Był znany w Westminsterze jako rzecznik spraw polskich, ukraińskich i białoruskich.

22-7-74

Zmarł nagle w Monachium Józef Jarema, malarz o dużym talencie i ogromnej energii. W roku 1923 był on założycielem grupy Kapistów i tamże w latach 20-tych zorganizował awangardowy teatr malarzy i literatów „Cricot” i sam napisał kilka sztuk teatralnych. W czasie wojny, należąc do grupy sam napisał kilka sztuk teatralnych. W czasie wojny, należąc do grupy plastyków stanowiących część Wydziału Kultury i Prasy 2-go Korpusu, zmontował szereg wystaw malarzy-kapistów, m.in. w Bagdadzie i w Rzymie. Po 2-giej wojnie zamieszkał na południu Francji i stał się malarzem abstrakcyjnym i namalowanym propagatorem tej sztuki. Zorganizował na Côte d'Azur Club d'Art, którego był prezesem, i urządzał festiwale malarstwa abstrakcyjnego.



**25-7-74**

Dla zabezpieczenia ukazywania się *Tygodnika Polskiego* w Melbourne po śmierci R. Gronowskiego została powołana do życia Spółka Wydawnicza, która objęła opiekę finansową nad pismem. Redaktorem pisma został Marian Kałuski.

**31-7-74**

Związek Sowiecki założył veto by uniemożliwić przyjęcie rezolucji dotyczącej układu genewskiego odnośnie Cypru (veto to zostało następnego dnia odwołane). W okresie istnienia ONZ-u ZSSR założyło veto 110 razy, Wielka Brytania — 9 razy, Stany Zjednoczone — 5, Francja — 4, Chiny Ludowe — 2, Formoza — 1.

**2-8-74**

W sali Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego w Londynie została otwarta wystawa prac malarskich Teresy Lewandowskiej pt. „Minuta milczenia”. Wystawa została zorganizowana staraniem Studium Polski Podziemnej i redakcji *Tygodnia Polskiego*. ■ Australijskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych potwierdziło wiadomość podaną przez Moskwę, że rząd australijski uznaje inkorporację do ZSSR trzech republik bałtyckich: Estonii, Litwy i Łotwy.

**4-8-74**

Z okazji obchodu 30-lecia pierwszej dywizji pancerniej w Normandii Związek Kół Oddziałowych Dywizji zorganizował uroczystości, w których wzięli udział: generałowie Stanisław Maczek, Klemens Rudnicki, Bronisław Noel i Antoni Grudziński.

**5-8-74**

W nocy z niedzieli na poniedziałek dokonano włamania do Biblioteki Polskiej w Londynie. Wyłamano szuflady w biurkach, przetrząsnięto papiery, ale nie ruszono kasy. Zachodzi podejrzenie, że włamanie miało charakter polityczny — podejrzenia idą w kierunku PRL.

**8-8-74**

Zmarł w Niemczech Zachodnich, w wieku 67 lat, Baldur von Schirach, byłszy szef młodzieży hitlerowskiej. Skazany w procesie norymberskim na 20 lat więzienia został zwolniony ze Spandau w 1966 roku. Niedawno wydał swe wspomnienia pt. „Wierzyłem w Hitlera”. ■ Prasa szwedzka donosi, że mimo umowy polsko-szwedzkiej o ruchu bezwizowym nie są wpuszczani do Polski polscy emigranci pochodzenia żydowskiego, którzy opuścili PRL po 1968, mimo że posiadają obywatelstwo szwedzkie.

**15-8-74**

We wrześniu br. ukaze się w Szwecji pierwszy numer dwumiesięcznika *Krzyżówka*, poświęconego rozrywkom umysłowym, pod redakcją Marka Trokenheima. Adres redakcji: *Krzyżówka*, Högalidsgatan 42 D III. 117 30 Stockholm, Szwecja.

**16-8-74**

Wszczęta rok temu przez Władysława Żeleńskiego z Paryża akcja u władz sądowych NRF, domagająca się ustalenia sprawców i wyświetlenia kulis morderstwa, popełnionego przez hitlerowców na profesorach lwowskich, ich rodzinach i domownikach, w lipcu 1941 roku — o czym pisaliśmy ostatnio w nr. 4/319 — wywołała rozległe echo w szerokich kołach emigracji. Wobec tego, że prokuratura niemiecka zwleka z wytoczeniem dochodzenia, zasłaniając się argumentem, że jeden z podejrzanych pozostałych przy życiu,

b. gestapowiec Hans Krüger, jest już skazany w innej sprawie na dożywotnie więzienie, do władz sądowych niemieckich wystosowane zostały liczne pisma, nalezające na potrzebę przeprowadzenia w tej sprawie rzetelnego postępowania i wyjawienia roli wszystkich winnych tej zbrodni. Listy w tym duchu wysłane zostały przez Polskie Tow. Prawnicze w Stanach Zjednoczonych (prezes dr Jan Morelowski, sekr. dr J. Z. Jabłoński), Polskie Tow. Naukowe na obczyźnie (Londyn, prof. dr Bronisław Hełczyński), Instytut im. J. Piłsudskiego w Ameryce (dr Jan Fryling i Edward Kleszczyński), Polski Instytut Naukowy w Ameryce, skupiający 700 profesorów polskiego pochodzenia w USA i w Kanadzie (prof. dr Eugeniusz Kleban), Związek Pisarzy polskich na uchodźstwie (Londyn, Kazimierz Sowiński i Józef Garliński), Instytut Polski i Muzeum Sikorskiego w Londynie (ambasador Edward Raczyński) i Tow. Historyczno-Literackie w Paryżu (ksiądz Andrzej Poniatowski). Podobny list wystosowany został z Paryża przez polskich profesorów wyższych uczelni we Francji i badaczy naukowych w Centre National de la Recherche Scientifique w Paryżu; list ten podpisali pp. Irena Gąsiorowska, Jerzy Kalinowski, Jerzy Langrod, Jan Marczewski, Edward Marek, Zygmunt Markiewicz, Józef Modrzejewski, Jerzy Mond, Anna Moszkowska, Jan Myciński, Jerzy Nomarski, Olga Scherer, Tadeusz Wyrwa i Eugeniusz Zaleski. Podobnie i z Warszawy skierowano żądania wytoczenia w tej sprawie procesu. Penklub polski zwrócił się do prezesa Penklubu niemieckiego, Hermana Kestena, zaś Zw. Literatów polskich do Zw. Literatów NRF. Wdowa po zamordowanym rektorze politechniki lwowskiej, prof. dr. Włodzisław Krukowski, dr med. Helena Krukowska w Warszawie, przyłączyła się do akcji jako strona procesowa i wystawiła pełnomocnictwo dla adw. dr. Roberta Kempnera w Frankfurtu, który z pomocą dr. Stanisława Gomdzińskiego z Paryża prowadzi już tę sprawę w imieniu Władysława Żeleńskiego i syna Boya, Stanisława Żeleńskiego z Warszawy. Na koniec, w wysłanym do Komisji badania zbrodni hitlerowskich w Polsce, z siedzibą w Warszawie, Zawiadomiła ona dr Krukowską, że przystępuje do sprawy i wniesie urzędowe oskarżenie do władz niemieckich. Czy odezwą się, powiadomieni o tej sprawie, intelektualiści zachodni Niemcy, którzy w spotkaniach z intelektualistami polskimi deklarują potrzebę wyrównania stosunków między obu narodami?

**KRONIKA AMERYKAŃSKA**

14. 5. br. zmarł płk Zygfryd Maciej Piątkowski, b. dyrektor Departamentu Lotnictwa Cywilnego w Min. Komunikacji, uczestnik bitwy o Anglię. ■ 14. 7. br. zmarł nagle Arthur Pradden Coleman, b. prezydent Kolegium Związkowego Cambridge Springs, przyjaciel Polski i 295 esejów o sztuce i literaturze polskiej. ■ 18. 7. br. *New York Times* i telewizja amerykańska podały wiadomość, że szereg firm amerykańskich pertraktuje z władzami sowieckimi w sprawie sprzedaży ZSSR sprzętu mogącego przyczynić się do „efektywniejszej walki z przestępczością”. Spośród proponowanych artykułów miało to być m.in. urządzenie do identyfikowania głosu, tzw. *voice print* — odpowiednik odcisku palców. To i temu podobne urządzenia — których jedynymi nabywcami w Sowietach mogą być wyłącznie M.V.D. i K.G.B. — mają być pokazane przez producentów amerykańskich na wystawie „Krimtehnika 1974” na Stadionie Pionierów w Moskwie w







polskie grupy folklorystyczne. ■ Dr Jerzy Zarzycki, członek Stowarzyszenia Techników Polskich w Ottawie, został dyrektorem departamentu w federalnym ministerstwie Kopalń i Energetyki. ■ Dr Aleksander Matejko, profesor uniwersytetu w Alberta, będzie w najbliższym roku akademickim wykładał na Carleton University w Ottawie w ramach programu zagadnień etnicznych. ■ W czerwcu br. zmarł, w wieku lat 80, dr Hilary Stykolt. W czasie wojny był on przedstawicielem Polskiego Czerwonego Krzyża w Kanadzie i założycielem fabryki części samolotowych. Prowadził szeroką działalność charytatywną na rzecz Polski. ■ W ostatnich wyborach kanadyjskich wyborcy pochodzenia polskiego w Ontario, Quebec i Brytyjskiej Columbii przypuszczalnie w większości popierali kandydatów liberalnych. Jakkolwiek nie można mówić o jednolitym nastawieniu wyborców polskiego pochodzenia, to wiele danych wskazuje na to, że liberałowie korzystają z największego poparcia Polonii. Dr Stanley Haidasz, minister stanu do spraw wielokulturowości utrzymał swój mandat w okręgu Toronto-Parkdale. Znany milioner pochodzenia słowackiego, Stefan Roman, przepadł po raz drugi w wyborach. Przepadł również publicysta pochodzenia czeskiego, Lubor Zink. ■ 9. 7. br. zginęła w Bergen (Norwegia) dr Danuta Irena Bieńkowska, profesor języka, literatury i kultury polskiej na University of Toronto. Wracając z Helsinek z konferencji poświęconej zagadnieniom folklorystycznym zwiedzała Bergen. Wagonik kolejki górskiej, w którym się znajdowała, oderwał się i spadł z wysokości 600 metrów. Zwłoki, po spopieleniu, zostały pochowane w Warszawie. Danuta Bieńkowska była pierwszym profesorem polonistyki w Toronto. Jej wielką zasługą pozostanie wprowadzenie języka polskiego do programu nauczania w szkołach średnich. Przeprowadziła te akcje wspólnie z Okręgiem Toronto SPK. Przygotowywała antologię pisarzy polskich dla użytku szkół średnich. W *Bibliotece Kultury* ukazał się przed paru laty tomik jej wierszy pt. „Pieśń suchego języka”. ■ Zarząd Główny Kongresu Polonii Kanadyjskiej z okazji 30-lecia PRL ogłosił oświadczenie, w którym przestrzega przed wszystkimi kontaktami z PRL. ■ Przez dwa tygodnie grupa kanadyjskich Ukraińców demonstrowała przed gmachem ambasady sowieckiej w Ottawie, domagając się zwolnienia z więzienia Walentego Moroza. Pięciu demonstrantów rozpoczęło strajk głodowy koczując przed ambasadą, przed którą gromadziły się tłumy, wyrażając sympatię i solidarność z manifestantami. Odwiedzali ich różni politycy kanadyjscy, posłowie i senatorowie. Na zlecenie lekarzy strajkujący kolejno odstawieni zostali do szpitala, gdyż groziła im głodowa śmierć. Dwaj wytrzymali 12 dni. Ambasada sowiecka nie zareagowała na tę demonstrację. ■ Wydział Nauk Politycznych McMaster University w Hamilton organizuje w dniach 25-27 października trzydniową konferencję poświęconą problematyce ukraińskiej. Przewiduje się kilkanaście referatów z zagadnień gospodarczych, społecznych, prawnych, konstytucyjnych i politycznych. Udział zapowiedziało szereg profesorów pochodzenia ukraińskiego w tym również ze Stanów Zjednoczonych oraz innych nieukraińskiego pochodzenia profesorów i pracowników naukowych zajmujących się problemami ukraińskimi. Organizatorem i przewodniczącym konferencji będzie prof. Peter Potichnyj, mówiący zresztą doskonale po polsku. Jednym z mówców będzie dr Borys Lewickij z Monachium a głównym mówcą bankietowym dr S. Bialer z Columbia University. Tematem jego przemówienia będzie „Défente i rozwój wewnętrzny w Sowieciach”. ■ Z końcem lipca bawiła w Kanadzie 7-osobowa grupa geografów z Uniwersytetu w Łodzi, która następnie udała się do Stanów Zjednoczonych. Wyprawa ta ma na celu zapoznanie się z kanadyjskim i amerykańskim systemem kształcenia geografów na wyższych uczelniach a w szczególności poznania metod rozwiązywania problemów transportowych i ochrony środowiska w wielkich ośrodkach przemysłowych. Zwiedzili oni również kilka ośrodków górniczych w Ontario.

## Listy do Redakcji

Bermagui, 11 lipca 1974.

Szanowny i Drogi Panie Redaktorze!

W sukurs idę tu p. Grażynie Nowak, choć go nie potrzebuje, bo sama daje sobie radę znakomicie. Chcę jednak dać upust krwi własnej, Autorce zaś podziękować, że bezwiednie dodała mi bodźca.

O tej więc pomocy, niesionej biedakom w Polsce (nr 4/319 *Kultury*). Nie będę słów dolizywał literacko, bo sam przez trzy lata byłem frajerem, który dawał się nabierać cwaniakom z kraju. Więzy krwi, wprawdzie dalszej ale jednak więzy, więc żal że są w nędzy, sumienie gryzło, boć przecież, było nie było, nam działa się tu lepiej, przeżył człek i łagier sowiecki samo po wojnie — a tu u nas na emigracji, choć nieraz przyszło pasa dociskać, przecież prawdziwego głodu nikt nie zaznał. Aż tu listy, listy błagalne, przysłij, kochany, bo sytuacja tragiczna, łachy z grzbietu opadają i nie ma co do garnka włożyć...

Zarabiałem wtedy £5 tygodniowo, stałem więc z Anglii paczuszki miżerne, ale po przyjeździe do Australii nagle aż całe £12 — więc zlecenie do „Tazaba”, by moim biedakom co miesiąc wysyłał paczkę wartości £4, z zawartością według ich wyboru. No i radość i listy dziękczynne, dziękuję, kochany, bo jedna puszcza „Neski”, opylona na lewo, równa się miesięcznym poborom głowy rodziny.

Później jednak już nie tylko „Neska” i sardynki, bo owe lekarstwa, konieczne nie te cudowne, i owe sweterki i ta maszyna do dziergania, koniecznie ta droższa. A z biegiem czasu już żaliki, że te otrzymane ciuchy nie są pierwszej klasy i że cło teraz trzeba w kraju opłacać, więc właściwie wysłać za mało — na domiar zdarzyło się kilka zamówień dodatkowych, ponad umówioną normę miesięczną. Pretensje do mnie też poczęły rosnąć, no i niecierpliwić, bo mi się nie przelewało i zadłużylem się już w „Tazabie” paskudnie...

Nagle — list od wyrodnego syna rodziny. Chłopak, urodzony podczas wojny, w szkole napompowany mądrością „socjalistyczną”, w ludowe osiągnięcia zapatrzony jak sroka w gnat (bo mięsa nie widziała) — chyba wstydził się, że własna jego rodzina zabiega o pomoc emigracyjnego kapitalisty. List przysłał mi szczerzy: że więc jego rodzinie bynajmniej nie dzieje się tak źle jak wynikałoby z jej listów, i zakończył nutką żalu, że ja się tu może niepotrzebnie nadwierzam finansowo. Ano, natychmiast zasięgnąłem języka u innych krewniaków w kraju: chłopak nie łgał, moi „biedacy” byli dobrze sytuowani, lepiej niż przeciętnie.



Ocknąłem się w sam czas, bo dług w „Tazabie” był już niepokojący. Musiałem wziąć dodatkową robotę i harować po nocach, aby budżet załatać. Byłoby z tym długiem większe kłopoty, ale na szczęście „Tazab” zgodził się bym spłacał ratami. Spłacałem przeszło rok po wstrzymaniu wysyłki paczek.

Grażynie Nowak zatem winniśmy wdzięczność, że sprawy wstydlive wyciągnęła na światło. Tym bardziej, że o podobnych sprawach wiele słyszało się pośród znajomych.

Tu jednak — jako iż byłem kiedyś marynarzem — dygresja marynarska. Otóż w zagranicznych portach turyści i marynarze z obcych krajów zawsze są obskakiwani typami spod ciemnej gwiazdy: stręczycielami, handlarzami dewiz, przewodnikami po burdelach, całym tłumem wszelkiej hołoty. Cudzoziemiec zawsze jest łatwym żerem i działa jak magnes, przyciągając ku sobie wydrwigroszów. Nie dziwota, że np. angielscy turyści twierdzą, iż wszyscy Włosi to oszuści, albo że polski marynarz, nie znający języka, to samo sądzi np. o Anglikach. Bieda w tym, że przygodny obcokrajowiec nie ma czasu ani sposobności do zetknięcia się z ludźmi uczciwymi, których przecież w każdym kraju jest więcej niż łobuzów. Otóż ofiarny emigrant też jest łatwym żerem, przyciągającym tylko tałatajstwo — i nie sądzę, by kombinacjami speców od wyzysku można było obciążać wszystkich w kraju. Z wielu przyjaciółmi w kraju wymieniam częste listy i — poza odosobnioną instancją z paczkami „Tazaba” — nikt nigdy nie próbował, nawet cieniem sugestii, wyłudzić ode mnie czegokolwiek.

Proszę, Panie Redaktorze, wraz z wyrazami mego poważania przyjąć serdeczne pozdrowienia.

Zbigniew JASIŃSKI



Londyn, 14 czerwca 1974.

Szanowny Panie Redaktorze,

W liście do Redakcji *Kultury* zamieszczonym w numerze 5/300 z maja 1974, p. Br. Łokaj pisze: „Z artykułów prof. A. Pragiera (*Dziennik Polski* i *Dziennik Żołnierza* i *Wiadomości*) wiemy, że Fundusz Pomocy Polakom po śmierci jego kierownika ś.p. Karola Poznańskiego wynosił £ 700 tysięcy. Co się z tą sumą stało — czym służy celom i kto nią obecnie dysponuje?”

Zacznę może od wytknięcia autorowi listu kilku nieścisłości. Po pierwsze prof. Pragier nie zamieścił swoich „artykułów”, z których autor czerpie informacje, w *Dzienniku Polskim* i *Dzienniku Żołnierza*, natomiast napisał jeden artykuł, poświęcony pamięci ś.p. Konsula Poznańskiego, wydrukowany tylko w *Wiadomościach*, mianowicie w Nr. 1327 z 5. 9. 1971. Po drugie nie jest ściśle jakoby prof. Pragier napisał w tym artykule: „Fundusz Pomocy Polakom po śmierci jego kierownika ś.p. Karola Poznańskiego wynosił £ 700 tysięcy”. Prof. Pragier tego nie napisał, natomiast w jego artykule jest zdanie: „Komitet Obywatelski rozporządzał znaczną jak na nasze stosunki sumą około £ 700.000”.

Jako obecny Przewodniczący Komitetu Obywatelskiego Pomocy Uchodźcom Polskim (należy przypuszczać że p. Łokaj miał właśnie tę organizację na myśli pisząc o „Funduszu Pomocy Polakom”), które to stanowisko objąłem po ustąpieniu Konsula Poznańskiego, uważam za swój obowiązek wyjaśnić co następuje:

Komitet Obywatelski Pomocy Uchodźcom Polskim nigdy nie rozporządzał sumą £ 700.000. Natomiast Komitet, który powstał w roku 1940 i

który po wycofaniu przez aliantów uznania Rządowi R.P. w Londynie został reaktywowany w roku 1945 przeobrażając się w organizację, która przejęła opiekę nad rzeszą uchodźców polskich, otrzymał w roku 1945 od Interim Treasury Committee for Polish Questions sumy w wysokości £ 142.000.

W oparciu o te fundusze Komitet Obywatelski w ramach swej akcji charytatywno-społecznej udzielał pomocy prawnej i finansowej, obejmującej między innymi przyznawanie subwencji polskim organizacjom społecznym i kulturalnym, przyznawanie bezprocentowych pożyczek na zakładanie warsztatów pracy, udzielanie doraźnych zasiłków, prowadzenie Przychodni Lekarskiej itd.

W miarę krystalizowania się potrzeb społecznych Zarząd Komitetu Obywatelskiego uznał, że w hierarchii tych potrzeb jednym z najistotniejszych problemów jest problem ludzi starych i chorych i kierując się tą wytyczną stworzył dom dla starszej inteligencji — „Antokol” — w Beckenham, w roku 1972 przeniesiony do Chislehurst. Ponadto Komitet zakupił dom przy 33 Weymouth Street w Londynie, gdzie znalazła pomieszczenie Przychodnia Lekarska Komitetu oraz biura Komitetu.

Mając na uwadze konieczność stworzenia bardziej trwałych podstaw dla swej działalności Komitet zainwestował część pieniędzy w nieruchomościach i w tej chwili posiada dwa domy czynszowe, których dochody stanowią podstawę finansową naszej akcji charytatywnej. Dzięki przezornej polityce kosztowej Zarządy były w stanie udzielić na przestrzeni blisko 30 lat różnym polskim organizacjom i instytucjom społeczno-kulturalnym subwencji łącznie sumą około £ 80.000 oraz bezprocentowych pożyczek na zakładanie warsztatów pracy na łączną sumę około £ 164.000, nie mówiąc już o sporych sumach wydanych na pomoc doraźną w formie indywidualnych zasiłków.

Na pytanie czym celom służą fundusze Komitetu wyjaśniam, że w dalszym ciągu celem Komitetu jest pomoc dla uchodźców polskich ze szczególnym uwzględnieniem opieki nad ludźmi samotnymi, starymi i chorymi.

Na drugie pytanie, kto tymi funduszami dysponuje odpowiedź jest następująca: administruje nimi Komitet Obywatelski Pomocy Uchodźcom Polakom: administruje nim Komitet Obywatelski Pomocy Uchodźcom Polakom złożony z 35 osób, zainteresowanych w pracy społecznej, za pośrednictwem wybieranego co roku Zarządu złożonego z dziewięciu osób. Komitet zarejestrowany jest jako Charity i wskutek tego podlega kontroli władz brytyjskich mianowicie Charity Commissioners.

Komitet Obywatelski, mając na uwadze że coraz bardziej nagłą jest potrzeba rozwiązania problemu opieki nad ludźmi starszymi i chorymi postanowił rozbudować obecny dom „Antokolu” aby w ten sposób zwiększyć ilość jego mieszkańców do 50. Komitet rozpoczął już realizowanie tego planu obliczonego na £ 160.000 i oczywiście cały wysiłek finansowy Komitetu, który niewątpliwie pochłonie sporą część jego majątku, idzie w tym kierunku.

Łączę wyrazy prawdziwego szacunku i poważania,

A. KAMIENIECKI  
(Przewodniczący)

Jak wynika ze wspomnienia prof. Pragiera dr Poznański przejął £ 700.000 po śmierci gen. Sikorskiego. Sumy tej nie należy mieszać z £ 142.000, które Komitet Obywatelski otrzymał od Interim Treasury Committee w 1945 r. Zainteresowanie losem pierwszej z tych sum, jak również wielu innych funduszy, pozostałych po delegalizacji państwa polskiego w Anglii, jest najzupełniej uzasadnione. Dziwić się należy, że odpowiednie czynniki nie uczyniły dotychczas nic, aby sprawę tę wyjaśnić. (Redakcja).







się w Londynie — a komunistami, których przywódcy przebywali w Moskwie, nie można dziś porównywać do normalnych konfliktów, polegających na ścieraniu się odmiennych ideologii. Po wybuchu wojny niemiecko-rosyjskiej, działalność komunistów w Polsce zaczęła się przeważnie od zwalczania tego wszystkiego co związane było z przedwojenną Polską. Robili to bądź bezpośrednio, bądź też przez tworzenie różnych fermentów w poszczególnych komórkach Z.W.Z. i A.K., uciekając się niejednokrotnie do zbrojnych napadów, co w konsekwencji doprowadzało do odwetu. Podobne wypadki miały miejsce w powiecie koneckim (woj. kieleckie) gdzie pracował J. Wyrwa.

Działalność konspiracyjną zaczął J. Wyrwa w październiku 1939 roku z mjr. Hubalem, z którym współpracował do śmierci majora tzn. do końca kwietnia 1940 roku. Następnie kontynuował organizowanie ruchu podziemnego z ramienia Komendy Z.W.Z. — a później A.K. — w Końskich. W roku 1942 Komenda A.K. w Końskich wydała J. Wyrwie rozkaz nakazujący przerwanie na pewien okres wszelkiej pracy konspiracyjnej. Rozkaz ten był motywowany tym, iż z uwagi na fakt, że gestapo wyznaczyło wówczas specjalną nagrodę za schwytanie J. Wyrwy, poszukujący go Niemcy mogliby łatwiej wykryć sieć podziemnego ruchu oporu. Zgodnie z tym rozkazem J. Wyrwa zaprzestał prowadzenia działalności konspiracyjnej. Zorganizowane jednak przez J. Wyrwę placówki w dalszym ciągu usiłowały utrzymać z nim kontakt. W międzyczasie Komenda A.K. w Końskich przeniosła J. Wyrwę w „stan spoczynku”. Był to skutek gorszących tarć, jakie miały miejsce w Komendzie A.K. w Końskich i na które J. Wyrwa, pracując w terenie, nie miał żadnego wpływu. Zwracano się jednak do niego o interwencje i to był przypuszczalnie powód przeniesienia go w stan spoczynku. Tarcia w Komendzie w Końskich doprowadziły wkrótce do tego, że jeden z jej członków (Szymański) zdradził Niemcom miejsce i datę odprawy Komendy Obwodu koneckiego. Niemcy otoczyli budynek i aresztowali znajdujących się tam członków Komendy, którzy zostali jednak uratowani udanym rozbiem więzienia (zginął jednak wówczas Stoiński, komendant Obwodu).

Przeniesiony w stan spoczynku, J. Wyrwa nawiązał kontakt z N.S.Z., z ramienia których został komendantem wojskowym na terenie powiatu koneckiego. Działalność J. Wyrwy skupiona była wyłącznie na walce z Niemcami. Sprawami politycznymi w ogóle nie zajmował się, gdyż był żołnierzem a nie politykiem. Akcje dywersyjno-partyzanckie zaczął J. Wyrwa w 1942 roku. Żadna z tych akcji nie była skierowana przeciwko komunistom. W lecie 1943 roku, na ustalone miejsce zbiórki nowych ochotników do oddziału, we wsi Koliszowy, bojówka komunistyczna zrobiła zasadzkę zabijając podchorążych „Mściwoja” i „Prawdica”, oraz szeregowca o nieustalonym do dziś nazwisku. Zwabieni podstępem, że mają do czynienia z polskim oddziałem partyzanckim, wszyscy trzech zostali zamordowani i ciała ich wrzucono do stawu skąd zostały wyłowione kilka miesięcy później. Bojówką dowodził „Żbik” — Władysław Staromłyński, który był podobno najpierw w Z.W.Z., później przeszedł do komunistów, zachowując kontakt z A.K. w Końskich. Świadkowie tej zbrodni żyją do dnia dzisiejszego. Pomimo tego bestialstwa dokonanego na Polakach, którzy wstąpili do oddziału, żeby walczyć z Niemcami, J. Wyrwa nie szukała odwetu, nie zabił żadnego komunisty dlatego że był komunistą.

W zimie 1944 roku, gdy oddział kwaterował koło Rudy Malenieckiej, J. Wyrwa otrzymał rozkaz z Okręgu w Radomiu (komendantem był ppłk „Witold”), że ma natychmiast udać się do Pardołowa i połączyć się tam z „Tomem”. Toma J. Wyrwa nie znał, nie wiedział kto to jest i jakie zajmuje stanowisko w konspiracji. Po przybyciu do Pardołowa, Tom oznajmił J. Wyrwie, że nastąpiło połączenie oddziałów N.S.Z. i A.K. i on obejmuje komendę nad całością. Oddział Toma był bardzo dobrze uzbrojony w broń

otrzymaną ze zrzutu z Anglii. Tom poinformował wówczas J. Wyrwę, iż otrzymał wiadomość z Komendy Obwodu A.K. w Końskich, że do Pardołowa ma przyjechać „Żbik”. Staromłyński, na którego robi obławę. Wiadomość ta nie zdziwiła J. Wyrwy, gdyż zamordowanie przez Żbika trzech jego żołnierzy było powodem ogólnego wzburzenia tak na terenie powiatu jego koneckiego jak i w Komendzie w Radomiu. Pardołowa J. Wyrwa nie znał, był tam wówczas po raz pierwszy. W obławie, jaką urządził wtedy Tom, oddział J. Wyrwy nie uczestniczył. Tom miał wszystko wcześniej przygotowane. J. Wyrwa wiedział jedynie o ujęciu i rozstrzelaniu „Żbika”.

W następnych tygodniach — po przeorganizowaniu zgrupowań partyzanckich na „Las 1” (dowódca „Lucjan” — Maslocha), „Las 2” (dowódca J. Wyrwa), oraz „Las 3” (dowódca „Bończa” — K. Załęski) — Tom zarządził wymarsz do powiatu opatowskiego gdzie miała nastąpić koncentracja oddziałów N.S.Z. i A.K. Zgrupowanie Toma zajęło kwatery w miejscowości Łyse Wody, gdzie Tom urządził obławę na komunistów. Oddział J. Wyrwy, podobnie jak i „Bończa”, nie brał żadnego udziału w obławie, co zostało stwierdzone w Polsce przez świadków i czego również dowodem jest to, że „Bończa” jest dziś uznanym i mile widzianym kombatantem w Polsce, jak również zresztą i w środowisku akowskim w Londynie, skąd otrzymał odznaczenia, m.in., jak sam twierdzi, Krzyż Wirtutis Militari 5-tej klasy. Po zorientowaniu się w metodach, jakich używał Tom w Łysych Wodach, po przypuszczeniu — które w przyszłości okazało się faktem — iż jest on w kontakcie z Niemcami, J. Wyrwa natychmiast zameldował o tym Komendzie w Radomiu. W międzyczasie, zgrupowanie Toma przybyło do powiatu opoczyńskiego. Tutaj J. Wyrwa otrzymał rozkaz z Komendy z Radomia, żeby bezzwłocznie od Toma odłączyć. Było to w drugi dzień Wielkanocy. J. Wyrwa zameldował Tomowi o otrzymanym rozkazie. Tom usiłował przekonać J. Wyrwę, żeby pozostał nadal w jego zgrupowaniu. J. Wyrwa odmówił. Wówczas Tom wysłał swój oddział celem rozbrojenia żołnierzy J. Wyrwy. Rozbrojony został najpierw żołnierz z ubezpieczenia, któremu udało się dotrzeć do J. Wyrwy i zameldować mu o zbliżającym się z bronią do ręki oddziale Toma. Żołnierze J. Wyrwy zdążyli zająć stanowiska. Oddział Toma, widząc skierowaną przeciw sobie broń, po dłuższych wahaniach przerygnował z ataku. Nocą, zachowując wszelkie środki ostrożności, oddział J. Wyrwy odłączył definitywnie od Toma. Świadkowie tej sceny żyją w Polsce i wiedzą, że J. Wyrwa był pierwszym, który zdemaskował Toma. Od tej daty, aż do przyłączenia do 25 p.p. A.K., jesienią 1944 roku, oddział J. Wyrwy podlegał znowu bezpośrednio komendzie w Radomiu, podporządkowanej dowództwu A.K. W 25 p.p. J. Wyrwa pełnił funkcje dowódcy 2-go batalionu i — po śmierci mjr. „Kursa” — zastępcy dowódcy pułku do czasu podzielenia 25 p.p. na poszczególne oddziały partyzanckie.

W „Pamiętnikach Partyzanta”, jakie napisał J. Wyrwa — niezbyt udolnie gdyż w ciężkich warunkach — brak jest wielu faktów, co jest zupełnie zrozumiałe, chociażby tylko z uwagi na specyficzną atmosferę towarzyszącą wydaniu tych „Pamiętników” w Chicago w 1951 roku. Brak jest tam również relacji o N.S.Z. i o Tomie, co jednak nie oznacza, że J. Wyrwa sprawy te usiłował przemilczeć. Jako jeden z dowodów, że takiego zamiaru nie miał, świadczy fakt, iż w 1969 roku, na prośbę swoich b. żołnierzy, którzy znajdują się w Polsce, wysłał do Warszawy wyjątki z przygotowanego przez siebie drugiego wydania „Pamiętników Partyzanta” gdzie mowa jest o N.S.Z. i o Tomie. Nie zawierają one żadnych niedomówień lub upiększeń. Oddane są tam fakty tak jak je autor widział dawniej i pamiętał później u kresu swojego życia, w ciągu którego całym swoim jestestwem walczył o Polskę, której historia nie byłaby pisana przez paszkwilantów. Żeby i w niniejszym liście nie było niedomówień wobec cytowanych przez paszkwilantów faktów, należy jeszcze odnotować, że wymieniony w *Polityce* Kord, niemiecki żandarm,



oddadł bardzo duże usługi polskiemu ruchowi podziemnemu, za co został zamordowany w Końskich przez gestapo, o czym dobrze wiedzą ci, którzy zabierają w Polsce na ten temat głos. Wyjaśnienie innych oszczerstw, jakimi posługują się autorzy tych paszkwili, znajdzie Czytelnik w mojej książce pt. „W cieniu legendy majora Hubala”, wydanej ostatnio w Oficynie Poetów i Malarzy w Londynie.

Wspomniany Konkurs im. J. Wyrwy ogłoszony został przez *Kulturę* w pierwszej dekadzie stycznia 1974 roku. Paszkwił w *Polityce* ukazał się 15 czerwca br., czyli sześć miesięcy później. Tyle potrzebowało zapewne czasu, żeby przygotować kampanię przeciwko Wyrwie, zapoczątkowaną przez warszawską *Politykę*. Jest to przypuszczalnie dopiero początek. Na razie głównie chodzi o Konkurs, unicestwienie którego, wydaje mi się, nie jest jedynym celem tej kampanii. Po śmierci J. Wyrwy (w 1970 roku), mojego Ojca, jestem chyba jedyną na Zachodzie osobą, która zna wiele epizodów z historii ruchu podziemnego na terenach opoczyńsko-koneckich w kielecczyźnie i która posiadając materiał zaczyna w tej sprawie zabierać głos. To jest również powodem zaczętej przez Warszawę kampanii, w której „historycy” nie podjęli dyskusji, lecz zastosowali metody gorsze od tych, jakimi posługiwano się w latach pięćdziesiątych, w okresie różnych procesów „pokazowych”. Obecnie metody te są tym bardziej niebezpieczne, że świadków wojennych wydarzeń jest już coraz mniej, zwłaszcza tych, którzy nie mając złamanego kręgosłupa, mogliby wiele faktów naświetlić zgodnie z rzeczywistością. Na to liczą paszkwilanci, pragnąc tym sposobem, w oparciu o aparat policyjny, uczcić trzydziestolecie Polski ludowej.

Łączę wyrazy prawdziwego szacunku i poważania,

Tadeusz WYRWA

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI  
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE  
91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi, 78600 - Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.  
Dépôt Légal : 3<sup>e</sup> Trimestre 1974.

| PRZEDSTAWICIELSTWA                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                        | Egz. poj.    | Prenumerata   |               |
|---------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------|--------------|---------------|---------------|
|                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                           |              | 1/2-roczna    | roczna        |
| AFRYKA POLUDNIOWA : Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str., New Muckleneuk, Pretoria, 0002 .....                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                               | R. 1,20      | R. 7,50       | R. 14,50      |
| ARGENTYNA : Natalia Dabrowska, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires, Suc. 25 .....                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                             | F. 9,00      | F. 50,00      | F. 95,00      |
| AUSTRALIA : Polish Book Depot VISTULA, Daking House, Rawson Place, Sydney NSW. 2000, tel. 212-2013 .....                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                  | \$ A. 1,50   | \$ A. 9,00    | \$ A. 17,50   |
| AUSTRIA : Henryk Odlanicki-Pocobut, Wien I, Schönlaterngasse Nr 5/2, Stiege/Türe 14, Tel. 52-40-762 .....                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                 | —            | Sch.A. 250,00 | Sch.A. 450,00 |
| BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Amédée Lynen, app. 57, 1030 Bruxelles, Nr konta pocztow. 7315-20. Tel. 218-69-23 .....                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                        | F.B. 90,00   | F. B. 500,00  | F. B. 950,00  |
| BRAZYLIA : Janina Pomian-Piatkowska, Al. Barao de Limeira 1022, ap. 74. CELis., 01202 Sao Paulo (SP) tel. 221-1724 .....                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                  | \$ US 2,00   | \$ US. 11,00  | \$ US 20,00   |
| FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w księgarniach polskich w Paryżu .....                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                      | F. 9,00      | F. 48,00      | F 90,00       |
| HOLANDIA : Mrs J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, Vlissingen, (01184) 4073, Postgiro 137917c .....                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                           | Flo. h. 6,00 | Fl. h. 35,00  | F. h. 65,00   |
| KANADA : Krystyna Krakowska, 5109 Blvd de Maisonneuve, O., Montreal, Que. H4A 1Z1, Tel. 486-2839; B. Krasuski, 8 High Park Blvd., Toronto, Ont. M6R 1M4; Very rev. Donald Malinowski, Coralberry Ave., Winnipeg, Man. R2V 2P2; Tel. 339-5577; Z. Micherdzinski, 285-287 Ottawa St.N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8, Tel. 545-2115; Henryk Słowikowski, 14 Southern Drive, Ottawa, Ont. K1S 0P4; Polish Voice Publishing Co., 1089 Queen str. W., Toronto 145, Ont., « ZWIĄZKOWIEC », 1475 Queen Str. W. Toronto 3, Ont., Tel. LE 1-2491 .....                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                   | \$ Can. 2,00 | \$ Can. 11,00 | \$ Can. 20,00 |
| NIEMCY : St. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr 7/1 .....                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                               | DM. 6,00     | DM. 35,00     | DM. 65,05     |
| NORWEGIA : Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss .....                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                      | F 9,00       | F. 50,00      | F. 95,00      |
| SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, Case postale, 1211 Genève 7. Tel. 33 34 20, Nr konta pocztow. 12.14431 .....                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                 | F. . 8,00    | F. S. 40,00   | F. S. 75,00   |
| SZWECA : Norbert Zaba, Kallskärsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm., Tel. (08) 60 15 70 .....                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                   | K. S. 9,00   | K. S. 50,00   | K. S. 95,00   |
| U.S.A. : S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009; L. Dudarew-Ossetynski, 1603 No Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90046; Maria E. Dobrowolska, 4419 N. Pershing Dr., Arlington, Va. 22203; Ada Dziewanowska, 41, Katherine Road, Watertown, Mass. 02172; T. Konopacki, 27437 Detroit Road, Cleveland, Ohio, 44145, Tel. 8714847; Ch. M. Kretowicz, 4254-34th St., San Diego, Cal. 92104, tel. 284-6271; V.B. Kwast, 376, Wallingford Terr., Union, N.J. 07083, Tel. MU 8-0346, M. Kosciuch, 12331 French Road, Detroit, Mich 48234; Polish Book Store, The Polish Book Importing Co., Philadelphia, Pa, 19111; The Polish Book Importing Co., 410 Matchaponix Av., Jamesburg, N.J. 08831. POLONIA, Bookstore, 2921 Milwaukee Ave., Chicago, Ill. 60618. R.J. Sas-Babczynski, 15717 Woodruff Ave., Nr 44, Bellflower Cal. 90706, Tel. 867-1857; Jan Wojcik, 674 Farmington Ave., New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347 Chene Str., Detroit, Mich., 48211 ..... | \$ US 2,00   | \$ US 11,00   | \$ US 20,00   |
| W. BRYTANIA : Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London, S.W 5. ORD. .....                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                         | £ 0,75       | £ 4,00        | £ 7,75        |
| WŁOCHY : Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 int. 27., Tel. 75-67-241 .....                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                              | L. It. 1200  | L. It. 6000   | L. It. 11000  |

W krajach niewymienionych prenumerata roczna F. 95; półroczna F. 50.  
Przesyłka pojedynczego numeru: F. 0,80.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe:  
INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le-Mesnil-le-Roi,  
par 78600 - MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18-228-56 (z Francji)  
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).



# Nowości wydawnicze

**TOM 246 — SERIA « DOKUMENTY »**

**ZESZYT 42**

## **POWSZECHNA DEKLARACJA PRAW CZŁOWIEKA**

w językach: polskim, białoruskim, czeskim, litewskim, rosyjskim,  
słowackim i ukraińskim.

Str. 64.

Cena F. 10 (dol. 2,50)



**TOM 247 — ALEKSANDER SOŁŻENICYN**

## **ARCHIPELAG GUŁag**

**Tom I-szy**

Str. 560.

Cena F. 60 (dol. 13)



**TOM 248 — ZESZYTY HISTORYCZNE**

## **ZESZYT DWUDZIESTY DZIEWIĄTY**

zawiera m.in. prace: J. Garliński: *Polskie państwo podziemne (1939-1945)*; R. Buczek: *Działalność opiekuńcza Ambasady R.P. w ZSSR w latach 1941-1943*; J. Ciechanowski: *Notatki z rozmów z gen. Marianem Kukielem*; Zb. S. Siemaszko: *Niektóre wypowiedzi płk. W. Bąkiewicza*; *Wspomnienia W. T. Drymmera (3)* i *Ż. Borkowskiego* oraz RECENZJE, STRATY HISTORII POLSKIEJ, LISTY i POLEMIKI.

Str. 240.

Cena F. 20 (dol. 5,00)